

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

**FRANKOWICZE
MAJĄ ELDORADO**
uważają ci z kredytem
w złotówkach ▶ 4



**WYSOKIE
OBCASY**
Zapach,
który demaskuje
i zdradza



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Krajobraz po bitwie

Zwycięzca zjednoczył,
czy podzielił?

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL (2), PAP/EPA/ALEJANDRO GARCIA

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 3448198



**Moja męskość
się zachwiała**
mówi Karl Ove
Knausgård ▶ 28

**Freud by się
załamał** Badania
Europejczyków
▶ 12

**Róża
Luksemburg szła
własną drogą.**
W poprzek ▶ 40

**Niby renesans,
prawie rokoko.**
Podrobione
zabytki ▶ 44

Agnieszka
Kublik

Aaa. Sondaż tanio kupię

Nowy sondaż. Sondaże wskazują. Według sondaży... Sondaże stały się niezbędnym narzędziem prowadzenia polityki. Świetnie! Twarda, precyzyjna nauka w szczytnym celu zagościła w politycznej codzienności.

No niestety nie. Sondaże mamy od groma. Nawet po kilka jednego dnia. Sprzecznych, powierzchownych, opisujących rzeczywistość niedokładnie albo wręcz błędnie.

Media zamawiają badania niemal w każdej sprawie. A trzeba wiedzieć, jak pytać, kiedy i o co. Badania opinii to jest sztuka i trzeba się tego uczyć. Tymczasem są pracownice, które przeprowadzają każde badanie. Wcale niedrogo. Bo nie mają certyfikatu OFBOR, czyli Organizacji Firm Badania Opinii i Rynku, instytucji, która pilnuje jakości badań.

Nie mają, bo się o certyfikat nie ubiegają. Unikają weryfikacji swojego warsztatu. Dlaczego? To pytanie powinno trapić każdego, kto u nich zamawia sondaże. Ale nie trapi.

Bo media kochają sondaże prawie tak samo, jak – o czym niżej – politycy. Sondaże pozwalają dobrze poczuć się każdej światopoglądowej grupie, poprawić samopoczucie każdemu odbiorcy,

bo wcześniej czy później każdy znajdzie sondaż potwierdzający jego przemyślenia, od aborcji przez piratów drogowych po pokój w Ukrainie. Albo pozwolą zirytować się poglądami i wyborami innych. Tak czy owak – sondaże angażują jak zdrap-

Z sondaży nie korzysta się tak, jak ostatnio skorzystał Radek Sikorski. Tak się sondaże psuje.

ka: jesteśmy ciekawi, co tym razem wypadnie.

Pracownice takie jak Ariadna, CBOS, Ipsos, Kantar Polska, Opinia24 czy SW Research certyfikaty mają. Czy przeprowadzone przez nie badania widzicie codziennie w mediach? Nie. I bardzo dobrze. Widzicie badania innych sondażowni. I to dobrze dla polityków.

Politycy sondaży nie cierpią, jeśli procentów dostają za mało. Kochają, gdy prowadzą w rankingach.

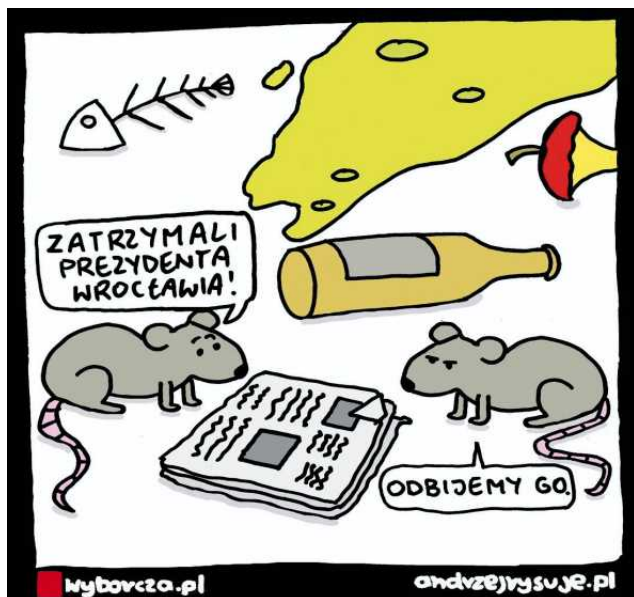
Gdy KO ujawniła wyniki wrześniowego sondażu korzystnego dla Rafała Trzaskowskiego, Radek Sikorski się oburzał, że głupota jest pytać, gdy PiS nie wskazał kandydata. Gdy teraz Tusk ujawnił wyniki sondażu, który pokazuje, jak wiele poparcia Sikorski zyskał, szef MSZ już wyniki honoruje, choć kandydata PiS wciąż nie znamy. A potem podważa oba sondaże, bo Trzaskowski twierdził, że oba dają mu zwycięstwo.

Tak się z sondaży nie korzysta. Tak się sondaże psuje. Tak odbiera się im wiarygodność. A jeżeli im nie ufamy, to częściej nie chcemy odpowiadać ankietnikom na pytania, a jak odmawiamy, psujemy próbę i mamy mniej wiarygodne wyniki. Już drugi raz przekonaliśmy się o tym Amerykanie. Co nie przeszkodzi sondażowym szarlatanom – nieźle z nich żyjącym, bo klienci, świadomi, jak sondaże są angażujące, zamawiają i płacą – mówić nam, co myślimy, czego pragniemy i jacy jesteśmy.

A my będziemy – bo tak angażują, gdy coś nam potwierdzają albo pozwalają się wzmocnić na „ich głupotę” – z wypiekami otwierali kolejny „sensacyjny sondaż”. Z którego pomocą politycy będą starali się uzasadnić nam każdy przekaz dnia i każdą tezę, która w danej chwili wymaga uzasadnienia.

To po prostu psuje demokrację. ●

Andrzej rysuje



AI na służbie

Czy złapie złodzieja za nogawkę?



Pies-robot z Secret Service patroluje teren rezydencji prezydenta-elekta USA Donalda Trumpa w Mar-a-Lago w Palm Beach na Florydzie.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

D6SE2L5

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 23–24.11.2024 r.

Liczba tygodnia

50

MILIONÓW ZŁOTYCH
Za tyle sprzedano willę na warszawskim Żoliborzu.
Ma pięć kondygnacji, dziedzię sypialni, garaż podziemny na osiem samochodów i siłownię z sauną. To rekord na polskim rynku mieszkań.

Auć!
Ból wszędzie brzmi tak samo

Nie niezależnie od miejsca na ziemi zwykle odruchowo i głośno objawiamy swój ból, radość czy wstręt. Wprawdzie jęki z bólu czy wybuchy śmiechu nie mają charakteru językowego, ale często pojawiają się w nich elementy słowne, wtrącenia w rodzaju „auć, „ouch”, „wow” czy „ups”.

Na łamach „The Journal of the Acoustical Society of America” szczegółowo przeanalizował je międzynarodowy zespół ekspertów.

Jak mówi jedna z autorek pracy Katarzyna Pisarska: – Wiele ekspresji wokalnych ma jakąś funkcję. Na przykład płacz niemowląt jest głośny i wyraźny, ewoluował w celu zirytywowania rodziców na tyle, aby powstrzymali awersyjny sygnał.



Spodziewaliśmy się, że wokalne wyrażanie bólu, wstrętu i radości również odzwierciedla ich funkcje.

Naukowcy przeanalizowali samogłoski, pojawiające się w 131 językach w odruchowych wtrąceniach z radości, bólu i wstrętu.

Odkryli, że elementy językowe związane z ekspresją bólu zawierają podobne otwarte samogłoski „a” i dyftongi tak jak dźwięki „al” „ou/ow” czy „ouch”. Nie znależli natomiast podob-

nych spójnych i wspólnych dla różnych języków wzorców samogłosek dla wyrażenia radości i wstrętu.

To odkrycie ich zaskoczyło.

Zamierzają prze-testować i zbadać to zjawisko dokładniej – w szczególności rozszerzając zakres emocji oraz analizując inne właściwości pozajęzykowych zwrotów, takie jak proporcje samogłosek do spółgłosek, czy ich zabarwienie emocjonalne. ●

Kasper Kalinowski

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Polacy czekają na związki partnerskie

Myślałam, że to już

Małżeństwo kojarzy mi się z układem patriarchalnym: kobieta obiecuje posłuszeństwo mężowi i krząta się po kuchni, mąż na kanapie czyta gazetę. A to, co jest między nami, to par excellence związek partnerski.

Reportaż Katarzyny Włodkowskiej



Szczyt klimatyczny w Baku

Skamielina dnia dla Rosji

Rosjanie pomogli nam odejść od węgla, bo zniszczyli prawie wszystkie nasze elektrownie konwencjonalne – mówiła na COP29 ministra ochrony środowiska Ukrainy.

Gurgul

Mimo wojny Ukraina jest obecna na szczycie klimatycznym COP29 w Baku. W ukraińskim pawilonie (rosyjski znajduje się raptem 100 metrów dalej) Switłana Grynczuk, ministra ochrony środowiska i zasobów naturalnych opowiadała o zniszczeniach, które spowodowała inwazja wojsk Putina. Grynczuk mówiła m.in., że wychowywała się blisko natury, a dziś ukraińskie lasy płoną: – Natura stała się ciłą ofiarą tej wojny.

Trudno było jej jednak mówić o neutralności klimatycznej, redukcji emisji gazów cieplarnianych albo o nowych technologiach, gdy w kraju nie ma prądu, a zaczyna się właśnie kolejna zima.

– Dwa dni temu Rosjanie masowo zaatakowali naszą infrastrukturę energetyczną, niszcząc elektrownie i hydroelektrownie oraz stacje przesyłowe. W Odessie był totalny blackout – mówiła ministra. Ukraińcy boją się, że zimą nastąpi katastrofa naturalna.

Grynczuk wyliczyła na spotkaniu z dziennikarzami (a przyszły tłumy), że wojna w Ukrainie już spowodowała ok. 180 mln ton dodatkowych emisji CO₂.

– Staramy się redukować emisje i wprowadzać polityki klimatyczne, ale co z tego, skoro codziennie wybuchają bomby i walczymy z pożarami lasów, zmagamy się ze skażeniem wody i gleby – mówiła.

Przypomniła, że kolejny szczyt klimatyczny (COP30) w brazylijskim Belem, będzie koncentrował się na ochronie lasów. Sama wychowywała się w wiosce w Karpatach, więc to, co dzieje się z przyrodą w Ukrainie, odbiera bardzo osobiście. – Dla mnie las to nie tylko pochłaniacz dwutlenku węgla, ale także szczęśliwe dzieciństwo – mówiła.

Wyliczyła, że z powodu wojny Ukraina straciła 3 mln hektarów lasów, a to przekłada się na 1,7 mln ton CO₂, które te lasy mogłyby pochłoniąć.

– Miałam dziś wiele spotkań z ministrami z innych krajów i gdy wspominałam tę liczbę, mówili mi, że u nich wszystkie lasy mają mniejszy obszar – wspomniła Grynczuk.

Mimo wojny Ukraina stara się odbudować zasoby leśne i ekosystemy. W ostatnich trzech latach Ukraińcy posadzili blisko 555 mln drzew na powierzchni blisko 75 tys. hektarów.

Kolejnym olbrzymim problemem w Ukrainie jest zaminowanie terenu. Grynczuk szacowała, że ok. 174 tys. km kw. zostało zaminowane. – To dwa razy więcej, niż wynosi powierzchnia Azerbejdżanu – porównała.

Odminowanie zajmie dekady. Ministra podziękowała partnerom, którzy w tym pomagają.

– Rosjanie praktycznie zniszczyli nasz system energetyczny. To cud, że dziś w ogóle mamy prąd, no może nie codziennie, ale mamy i staramy się codziennie system naprawiać – opowiadała. Europejscy sąsiedzi przesyłają



• Tłum dziennikarzy słuchał w Baku Switłana Grynczuk, ministrowi ochrony środowiska i zasobów naturalnych Ukrainy FOT. REUTERS/MURAD SEZER

Ukrainie energię i pomagają odbudowywać moce.

Dodała, że kilka dni temu zginęło pięciu pracowników sektora energetycznego. A jeśli sytuacja jeszcze się pogorszy, to Europę może czekać kolejna fala uchodźców. – Będę szczerą, sytuacja jest bardzo trudna – mówiła.

Ukraina stara się decentralizować swoją energetykę, tak by była bardziej odporna na punktowe uderzenia. Buduje dodatkowe, małe źródła energii odnawialnej i turbiny gazowe.

– Chwytny się każdej możliwości, żeby przetrwać – powiedziała Grynczuk. Chodzi o to, żeby nowy system energetyczny był bardziej zrównoważony i elastyczny. – To nam pomoże w walce i zwycięstwie – dodała.

Zwycięstwo Ukrainy jest ważne dla Europy także z tego powodu, że ma ona istotne zasoby rzadkich minerałów, potrzebnych do zielonej transformacji. Dobrze, by nie dostały się w rosyjskie ręce.

Rosja wykorzystała COP29 do zawarcia nowych umów na paliwa kopalne

– Mamy 21 z 30 najważniejszych surowców, których społeczność międzynarodowa potrzebuje do zielonej transformacji – wyliczała Grynczuk. – I razem z naszymi partnerami musimy myśleć nad tym, jak je chronić. A także, jak je wydobywać w sposób zrównoważony dla bezpieczeństwa Ukrainy, Europy i świata.

Na koniec ministra skomentowała jeszcze zniszczenie zapory w Kachowce, którą wysadzili Rosjanie. Ukraina straciła przez to olbrzymie zasoby wody. Zginęło wielu ludzi i domostw.

– Straty z tego powodu oszacowaliśmy na 14 mld dol. – mówiła.

Tradycją szczytów klimatycznych stało się przyznawanie antynagrody, zwanej Skamieliną Dnia (ang. *Fossil of the day*). Kiedy w pawilonie ukraińskim przemawiała Grynczuk, Skamielinę Dnia dostała delegacja rosyjska za „promocję paliw kopalnych”.

Climate Action Network (CAN), która przyznaje te antynagrody, uzasadnia, że zamiast wspierać przejście na energię odnawialną, Rosja wykorzystywała COP29 do zawarcia nowych umów na paliwa kopalne.

„Podczas dwustronnego spotkania między Azerbejdżanem a Rosją odbyły się dyskusje na temat rozszerzenia współpracy w zakresie ropy i gazu, co rzuciło cień na cel szczytu. W swoim pawilonie Rosja otwarcie promuje paliwa kopalne, odnosząc się do gazu kopalnego jako 'ostatecznego paliwa dla ludzkości' i promując energię jądrową, jako 'najczystsza energię na świecie'” – napisali aktywiści z CAN.

Rosja wysłała rekordową liczbę 900 delegatów na COP29, a więc dwukrotnie większą delegację niż na ubiegłoroczny COP28 w Dubaju. „Grupa ta obejmuje przede wszystkim kierownictwo wyższego szczebla aktywnie promujące paliwa kopalne podczas konferencji [klimatycznej – red.]. Premier Michaił Miszustin twierdził, że 85 proc. rosyjskiej energii jest 'czyste', ale liczba ta w dużej mierze opiera się na gazie i energii jądrowej, które są dalekie od zrównoważonych rozwiązań” – pisze CAN w oświadczeniu.

I przypomina, że pełnoskalowa wojna w Ukrainie spowodowała dodatkowe, potężne emisje gazów cieplarnianych.

Grynczuk nie ma wątpliwości, że kiedy wojna się skończy, Ukraina odbuduje się w sposób zrównoważony, korzystając z najnowszych technologii.

Zwróciła uwagę podczas spotkania z dziennikarzami pewien wojenny paradoks: – Rosjanie pomogli nam odejść od węgla, bo zniszczyli prawie wszystkie nasze elektrownie konwencjonalne [użyła słów „thermal generation”, które mogą także oznaczać elektrociepłownię]. Teraz rozumiemy, że musimy odbudować bardziej zdecentralizowany i odporny system energetyczny. Najlepsze w tym zakresie są małe źródła odnawialne.

OZE dla Ukrainy (jak i dla innych państw UE) jest więc dzisiaj kwestią niezależności energetycznej.

W Ukrainie już powstają farmy fotowoltaiczne i wiatrowe, do których podłączane są magazyny energii. – Musimy dać ludziom możliwość, by mogli produkować energię dla siebie – powiedziała ukraińska ministra. I dodała, że Ukraińcy zmieniają także swoje podejście do zużycia energii – wojna wymusza oszczędzanie.

Ujawniła, że jedna z elektrowni wiatrowych (o mocy 150 MW) powstała przy wsparciu firmy z Danii, ok. 100 km od linii frontu.

Ale mówiła także, że Ukraina bierze pod uwagę rozwój energetyki atomowej, w tym małych reaktorów SMR.

Czy zielona odbudowa (w której zapewne wezmą udział zachodnie firmy) to dla Ukrainy także szansa, by silniej związać się z Europą i w przyszłości wstąpić do UE? – pytała „Wyborcza”.

– Zdajemy sobie sprawę, że odbudowa musi być zielona, nie mamy innego wyboru, także ze względu na naszą ścieżkę do integracji z Europą i celów, jakie sobie wyznaczaliśmy i które chcemy osiągnąć. Budowanie nowej gospodarki przy pomocy nowych technologii oraz rozwiązań zrównoważonych niskowęglowych, jest po prostu racjonalne – odpowiedziała. Nie ukrywała, że tylko takie projekty będą mogły liczyć na wsparcie finansowe Zachodu. •

Aleksander Gurgul, Baku

Był już mąż Magdaleny wziął kredyt na 340 tys. zł w banku BPH na 54-metrowe mieszkanie. Magdalena do kredytu dołączyła. Raty wynosiły początkowo 2-2,5 tys. zł. W 2017 roku problemem było nie tylko to, że się podwoiły, bo frank drożał, ale też to, że para nie była już razem, a były mąż przestał spłacać raty. Magdalena dowiedziała się o tym dopiero po roku, z wezwania komorniczego. Mieszkała już wtedy sama z trojgiem dzieci.

Nie mogła pozbyć się mieszkania – gdyby je sprzedała, dług i tak by został. Bank wyliczył wtedy kapitał do spłacenia na 550 tys. zł, mimo, że spłacone już było 270 tys. zł. Wartość mieszkania wynosiła 400 tys. zł. Do tego dochodziły opłaty i odsetki komornicze. Bank rozmawiać nie chciał, nie dało się negocjować.

Komornik ściągał pieniądze z pensji obojga byłych małżonków, dzieci były świadkiem jego wizyt, informacje o zadłużeniu dochodziły do pracodawcy. Nie dało się nie żyć sprawą kredytu. Mieszkanie zostało wystawione na licytację. Było ryzyko eksmisji i że mieszkanie zostanie sprzedane za jedną trzecią wartości. W tym scenariuszu nie miałaby mieszkania, tylko dług.

Skontaktowała się z adwokatem, który pomagał pro bono, z Rzecznikiem Finansowym – to państwowa instytucja, działa na rzecz ochrony klientów na rynku finansowym -, z Ministerstwem Sprawiedliwości. Pomogło, komornik na chwilę się wycofał, ale bank się odwołał.

Kolejny sędzia zmienił wyrok, mieszkanie znowu było wystawione na licytację. – Przed stratą mieszkania uratowała mnie tylko pandemia, bo eksmisje były wstrzymane. Udało się doczekać do rozprawy w kolejnej instancji i komornika jednak zatrzymać – mówi Magdalena. W innych rodzinach w podobnych sytuacjach działa się jednak dramaty – małżeństwa rozpadają się, znajomy mężczyzna popełnił samobójstwo.

Sprawa komornicza w sądzie trwa już pięć lat. Toczy się też jeszcze jedna – o podważenie umowy kredytowej, bo zawiera wszystkie nie dozwolone klauzule. Pierwszy pozew sąd odrzucił. Nie wiadomo, ile jeszcze może to potrwać, może rok, a może pięć lat. Od dłuższego czasu jest cisza, Magdalena czeka na wyznaczenie terminu kolejnej rozprawy.

Waha się, czy brnąć w proces. – Miałabym duże szanse wygrać i unieważnić umowę. Ale sprawa jest skomplikowana przez postępowanie komornicze. Wiszą nad nami nakazy zapłaty, choć są wstrzymane – mówi.

Chciałaby zawrzeć z bankiem ugodę. Proponował najpierw, zamiast miliona złotych – na tyle wycenił kredyt – spłatę jeszcze 340 tys. Magdalena zaproponowała 250 tys. zł, i możliwość sprzedaży mieszkania – by spłacić kredyt i zapomnieć o sprawie.

Bank jednak, póki co, na sprzedaż się nie zgadza. – Gdyby się zgodził, wciąż nie byłoby to dla mnie korzystne finansowo rozwiązanie. Tyle, że marzę, by się pozbyć tego balastu. Normalne życie jest ważniejsze niż pieniądze – mówi.

Dlaczego nie wszyscy frankowicze idą do sądu?

Wspomniane niedozwolone czy też abuzywne klauzule w umowach frankowych są dziś i przez ostatnie lata podstawą roszczeń frankowiczów. Umowy są unieważniane, bo były nieuczciwe względem kredytobiorcy, banki nadużyły swojej pozycji.

Co ważne, nie wszystkie zdecydowały się udzielać kredytów we frankach, właśnie przez ich ryzykowność. Bo kredyt powinno brać się w walucie, w której się zarabia. Wylał się na przykład bank PEKAO SA i kredytów frankowych nie oferował. Te były jednak dla klientów atrakcyjne, bo były tańsze niż złotowe.

Choć wydaje się, że frankowicze odnieśli już sukces, bo prawie każdy sprawę w sądzie wygra, to ta walka wciąż trwa. Tak naprawdę niewielki procent spraw zostało już na korzyść frankowiczów rozstrzygniętych. Unieważnionych prawomocnie jest tylko 20 tys. umów, a udzielonych kredytów było około miliona, choć część na niewielkie kwoty. Większość kończy się ugodą.

Największym problemem frankowiczów jest teraz to, że postępowania ciągną się latami. Część rozpraw jest wyznaczona na 2028 rok, normą jest 2026 albo 2027 rok. W ocenie Ziemowita Bałajewskiego, zastępcy rzecznika finansowego, problem frankowy jest na ostatnim, ale najtrudniejszym etapie rozwiązywania, ze względu na jego masowość.

Kredyty mieszkaniowe

Złość złotych wiborowców



Rodzice są frankowiczami, dzieci wiborowcami

Edyta Bryła

– Na koniec 2023 roku w sądach było 180 tys. postępowań, a może wpłynąć drugie tyle, jeszcze przez nikogo nie tkniętych – mówi Bałajewski.

Arkadiusz Szczesiński, prezes Stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu, mówi, że sytuacja poprawia się o tyle, że w końcu załatwia się więcej spraw niż wpływa. – Od niedawna w mniejszych sądach jest lepiej, sprawy idą szybciej, choć mniejsza jest pewność jakie to będą wyroki, bo mniejsze sądy mają z takimi sprawami mniejsze doświadczenie – mówi.

Ale, co do zasady, sądy mają dziś łatwiej niż na samym początku, bo mogą się posilować wyrokami już wydanymi, w tym prawem europejskim. Banki co prawda odpowiadają procesami, na przykład za bezumowne korzystanie z kapitału, co wydłuża sprawę, ale prawie zawsze przegrywają. Jeśli sprawa trafia do kasacji, konsumenci wygrywają w 100 proc. przypadków.

Arkadiusz Szczesiński brał kredyt na 330 tys. zł i na początku rata wynosiła 1,5 tys. zł. Teraz to 2,7 tys. zł. Po spłaceniu kredytu przez 10 lat był winny więcej niż na początku. Jest w pozwie grupowym od 10 lat, obecnie sprawa jest w apelacji.

– Z grupy 4 tys. kredytobiorców zmarło już kilkadziesiąt osób. Nie doczekali wyroków. Sprawę może kontynuować rodzina, ale nie każdy kredytobiorca końca sprawy doczeka – mówi Szczesiński.

Dlaczego nie wszyscy frankowicze idą do sądu? Przez niepewność. Nawet jeśli kredytobiorca ma zabezpieczenie na czas procesu i nie musi płacić rat, to często te pieniądze i tak odkłada, na wypadek, gdyby musiał je zwrócić w razie niepowodzenia.

Przez kilka lat procesu może się zebrać ponad 100 tys. zł. W tym okresie nie możemy też w pełni dysponować nieruchomością, sprzedać jej, bo kwota kredytu przewyższa wartość nieruchomości, a poza tym banki nie zgadzają się na sprzedaż, gdy umowa kredytowa jest przedmiotem pozwu.

Ale dziś ryzyko, że sprawa będzie przegrana, jest poniżej 1 proc. Początkowo tylko jedna czwarta spraw była skutecznie rozpatrywana, teraz to 80 proc.

Irina nie interesuje anulowanie kredytu

Irina, graficzka, brała kredyt w czerwcu 2008 roku. Najgorszym, bo wtedy skoczyły ceny mieszkań. A przelicznik franków był w okolicy 2,06 zł. Wynajem mieszkania był nieopłacalny. Razem z ówczesnym chłopakiem postanowiła mieszkanie kupić, na Bielanach, tuż przy metrze, za 450 tys. zł. Dostała ofertę kredytu frankowego na 420 tys. zł z Multibanku.

Początkowo rata wynosiła ok. 1,3 tys. zł, a w 2023 roku już 4 tys. zł. Rosły też zarobki – gdyby nie to, rat nie dałoby się spłacać. Ale nie starczało praktycznie na nic innego. Zabieg in vitro zalecany przez lekarzy, założenie własnej firmy czy nawet zwykłe wakacje były już nieosiągalne.

W harmonogramie spłat przesyłanym z banku rosły i raty i kapitał. – Próbowałam liczyć, skąd mają takie kwoty w tych swoich tabelach i za każdym razem nie dało się ich powiązać z żadnym obiektywnym przelicznikiem – mówi.

Szłała reklamację w lipcu 2016 roku. – Bank odpowiedział tak, jak to wtedy odpowiadał, na drzewo, klientcie.

Nie było wyjścia, zaczęła składać pozwą. Pierwszy – z tytułu bezprawnie naliczonego ubezpieczenia niskiego wkładu. Wygrała w drugiej instancji. Drugi po-



zew, zaskarżający umowę kredytową, z lipca 2017. Sędzia mroził rozprawę do grudnia 2019, w końcu oddalił pozew. Trzeci pozew dotyczył ustalenia nieważności umowy.

Ponieważ kwotę kapitału już spłaciła, kancelaria, która jej pomagała, wystąpiła o zawieszenie rat, ale znowu odmowa. Irina sama sobie zawiesiła raty, a pozew nadal trwa.

Bank proponuje Irinie anulowanie kredytu, ale jej to nie interesuje, bo wtedy nie dostanie pieniędzy z ustawowych karnych odsetek, które bank jest jej winien. Zebrało się ich już, według Iriny, około 150 tys. zł.

Bank uważa, że Irina do spłaty ma jeszcze około miliona. – Jak dla mnie, mogą krzyknąć nawet 3 mln. Nie ma to już znaczenia. Zbyt długo nas straszyla, że w końcu znudzilo nam się bać – mówi.

Irina działa w Stowarzyszeniu Stop Bankowemu Bezprawiu. Nigdy nie myślała, że stanie się ekspertką od umów frankowych. Inni w stowarzyszeniu też nie. – Do walki z bankami stanęły fryzjerki, mechanicy, malarki, lekarze, stolarze, treserzy psów. Sektor bankowy dzięki swojej chciwości wychował sobie rzeszę ludzi, która będzie teraz stać i go pilnować – mówi.

Dziwi się, że na wielu frontach reakcje na aferę nie były mocne. – Polacy są ugodowi, nie chcą rewolucji, nie buntują się. A rząd zostawił ich na pastwę losu. Cały ciężar swojego błędu, czyli pozwolenia na prowadzenie na rynek instrumentu toksycznego przerzucił na słabego konsumenta. Przypomina mi to Białoruś – mówi.

Jacek się zawziął

Jacek, lat 39, jest doradcą kredytowym. Był już nim, gdy 16 lat temu brał kredyt we frankach na około 400 tys. zł. – Doradzaaliśmy kredyty we frankach i sami je braliśmy. Do dziś ma je wielu doradców kredytowych i pracowników banków – mówi Jacek. Kilka lat później, po pierwszym skoku kursu franka, jego kredyt był wart niemal dwa razy tyle.

Ale Jacek i tak nie jest w najgorszej sytuacji. Cieszy się, że mieszkanie w ogóle wtedy kupił, bo to był ostatni moment, by zrobić to w miarę tanio – za mieszkanie pod Warszawą płacił 5,5 zł za metr. Po drugie, raty kredytu wzrosły, ale po latach nie były już takim obciążeniem ze względu na wzrost zarobków.

Finansowo Jacek będzie na plusie już całkiem, gdy wygra sprawę w sądzie z mBankiem (trwa od 2019 roku), i umowa będzie anulowana. Wygrał już w pierwszej instancji, ale bank złożył apelację. Od dwóch lat nie ma jeszcze terminu kolejnej rozprawy.

Co prawda bank najprawdopodobniej straci finansowo przeciągając sprawę – Jackowi będą przysługiwać karne odsetki-, ale chodzi zapewne o coś innego – żeby inni kredytobiorcy, widząc, jak długa to droga, decydowali się na mniej korzystne ugody, a inni, którzy jeszcze do sądu nie poszli, zrezygnowali z tego całkiem.

– To lata spędzone w zawieszeniu. Mógłbym mieć wypadek, zachorować, nie doczekać końca sprawy – mówi Jacek. No i dziś „darmowy” kredyt nie do końca wynagrodzi mu lata wysokich rat – gdyby nie one, zdołałby być może do dziś kupić drugie mieszkanie. I dawno sprzedałby to, które ma, bo go już nie chce.

Bank proponuje mu ugody, które on regularnie odrzuca przez co czeka na zakończenie od pięciu lat. – Widzę, że ich to zniechęca, nie chcą chodzić po sądach do pięćdziesiątki. Ale ja się zawziąłem. Stać mnie, by w kredycie trwać i płacić – mówi.

Kancelarie zarabiają na frankowiczach

Oba kredyty, frankowy i złotowy, wziął Jan Maria Kleńewski, manager w branży IT w dużej korporacji. Kredyt frankowy brał 15 lat temu i początkowo był z niego bardzo zadowolony, aż do czarnego czwartku. Sporo kredytu wtedy nadpłacił, by spłaszczyc ratę.

Zaskarżył umowę, ale okazało się, że nie da się jej unieważnić – zawierała łagodne naruszenia, klauzule były abuzywne tylko trochę. Narzeka, że ma najgorzej: nie dość, że ma umowę we frankach, to jeszcze dość legitną i nie da się z bankiem wygrać. – Czysta złośliwość ze strony banku. Szkoda, że nie trafiłem trochę gorzej – mówi.

Wiborowiec może stwierdzić, że frankowicze mają eldorado. Kredyt bez odsetek, a mieszkanie warte dwa razy więcej niż przy zakupie. Ale...

A tak serio, bank zaproponował sensowne, według Jana, warunki ugody – przewalutowanie kredytu na złotówki i umorzenie części długu. Kwota całego kredytu będzie trochę niższa niż podwojony kapitał. Raty wynoszą teraz 2,2 tys. zł, kilkaset zł więcej niż na początku, spłacać kredyt będzie jeszcze przez 15 lat.

Dziś to mieszkanie spłaca się jednak samo, bo jest wynajęte, a Jan mieszka w nowym, na który wziął kolejny kredyt, w złotówkach, na prawie milion. Rata wynosi 7,2 tys., do podziału z żoną. – Ledwo mnie stać, ale stać. Jestem spokojny, bo lepiej się nie dało, a gorzej już nie będzie. A mieszkać gdzieś trzeba – mówi.

Biuro Rzecznika Finansowego wspiera frankowiczów na wszystkich etapach ich spraw, od porad ekspertów, przez przekonywanie instytucji finansowej do zmiany stanowiska, po sądowe. RF może też złożyć skargę nadzwyczajną do Sądu Najwyższego – to w praktyce jedyna droga dla tych frankowiczów, którzy przegrali swoje sprawy sądowe jeszcze przed ukształtowaniem się pod wpływem wyroków TSUE korzystnej dla konsumentów linii orzeczniczej.

Ale RF skupia się obecnie na wspieraniu mediacji między bankami i kredytobiorcami, by doprowadzić strony do ugody. To alternatywa dla wieloletniego oczekiwania na rozwiązanie sprawy w sądzie.

– Postępowanie pozasądowe przy Rzeczniku Finansowym pomaga stronom wypracować rozsądny sposób rozwiązania ich sporu, oszacować ryzyko związane z dalszym prowadzeniem sporu – mówi Ziemowit Bałajewski.

Mediacje są też opcją dla poirytowanych, że ze spraw frankowych zrobiono biznes, na którym korzystają głównie kancelarie, a nawet fundusze inwestycyjne, które skupują roszczenia. Ponieważ w większości przypadków frankowicze wygrywają, portfolio spraw frankowych to dla prowadzących sprawy łatwy zysk. Ale bywa, że proponują frankowiczom warunki bardzo niekorzystne – podział po połowie kwoty, którą uda się ugrać w sądzie.

Wiborowcy zazdroszczą frankowiczom

Pomstowali, gdy w 2021 i 2022 roku oprocentowanie kredytów wzrosło z 1,5 do około 8 proc., tak, że raty kredytów podwoiły się. Pojawiły się pierwsze głosy, że WIBOR, składowa oprocentowania, jest nieuczciwie naliczany, a jego mechanizm mało transparentny. I że banki tylko nabijają sobie kabzę kosztem kredytobiorców.

Zysk sektora może w tym roku sięgnąć nawet 40 mld zł, ponad 12 mld zł więcej niż w rekordowym pod tym względem 2023 roku.

Wiborowcy narzekali, że im nikt nie pomaga, rząd nie reaguje, a frankowicze pomoc dostali (to ostatnie to mit) i mają teraz darmowe kredyty. Panuje dość powszechne poczucie, że frankowicze mają za dobre. Wiborowcy rozumieją, że z umowami frankowymi rzeczywiście coś może było nie tak, może były nie fair, ale finalnie frankowicze mają darmowe kredyty. To się nie podoba.

Czy słusznie mają żal? Zdaniem Macieja Samcika, blogera finansowego, od strony ekonomicznej, kara w postaci darmowego kredytu wydaje się większa w skali niż wina banku – to znaczy bank traci więcej niż by zyskał na oszustwie, o które się go oskarża. Ale taka kara jest adekwatna, jeśli wziąć pod uwagę, że ma mieć sankcyjny charakter. Czyli sprawić, że bank kolejny raz już nie będzie chciał oszukać. Ale to nie wszystko.

– Wiborowiec rzeczywiście może stwierdzić, że frankowicze mają eldorado. Kredyt bez odsetek, a mieszkanie warte dwa razy więcej niż przy zakupie. Inwestycja życia. Ale ta ocena nie uwzględnia psychologicznych skutków zmagania się z niespłacalnym kredytem. Nim frankowicze odnieśli sukces, wielu przechodziło albo nadal przechodzi gehennę – mówi Samcik.

Bo gdy kredyt rośnie z miesiąca na miesiąc, wydajesz na raty połowę wypłaty, a potem dowiadujesz się, że kapitału do spłacenia jest coraz więcej, trudno to unieść psychicznie. Wiborowców i frankowiczów trudno więc porównać.

– Wśród frankowiczów z powodu obciążenia rozpadały się rodziny, zdarzały się nieszczęścia, samobójstwa. Kredyty były windykowane, mieszkanie wystawiane na licytację przez komorników. Dla wielu darmowy kredyt to żadne pocieszenie, skoro stracili rodzinę – mówi.

Wiborowcy mogą się też cieszyć, że choć WIBOR będzie falował, to wzrost nie przekroczy 50 czy 100 proc. We frankach wszystko było możliwe – nieograniczone było ryzyko wzrostu raty jak i poziomowi zadłużenia.

Inna rzecz, że, jak zwraca uwagę Samcik, to bardziej kwestia mniejszego zła niż dobrych warunków. – W Polsce nigdy nie było normalnych, stabilnych kredytów. Kilka pokoleń spłacało kredyty dziwne, toksyczne, ryzykowne, niestabilne – mówi.

Kredyt o stałym oprocentowaniu

Zaczął się od kredytów „Alicja” w latach 90., proponowanych przez PKO BP w okresie hiperinflacji. Skończyło się 100 tys. osób. Początkowe raty były niskie, bo płacić trzeba było tylko część odsetek. Ale pozostała część dopisywana była do kapitału, przez co kredyty stawały się niespłacalne, jeśli kredytobiorcy kredytu nie nadpłacali.

A nie robili tego, bo, wbrew przewidywaniom ekonomistów, sytuacja gospodarcza poprawiała się bardzo wolno. Kredytobiorcy szli więc do sądów i często sprawy wygrywali, ale i tu ciągnęły się latami. W jednej ze spraw, w której „Alicję” unieważniono, wyrok zapadł w grudniu 2022 roku.

Okolo roku 2005 weszły umowy frankowe, a teraz kolejne pokolenie zмага się z kredytami o zmiennym oprocentowaniu. Wiborowcy płacą raz 2 tys., raz 4 tys.

– W zasadzie dopiero teraz dochodzimy do kredytów o stałym oprocentowaniu, jakie Zachód praktykuje od dekad – tzn bank określa wtedy, ile wyniesie

– Część kredytobiorców się na nie decyduje i pewnie też bym takie polecał, bo oprocentowanie jest obecnie niższe niż w przypadku zmiennego. Ale zobaczysz, jak będą klienci narzekać, jeśli stopy procentowe i oprocentowanie kredytów zmiennych spadnie niżej niż ich oprocentowanie stałe – mówi Jacek.

I o ile z kredytu na zmienne oprocentowanie można się przenieść na kredyt na stałe, to odwrotnie już nie. Na stałym musimy odsiedzieć te pięć lat, jedyną furtką jest refinansowanie kredytu do innego banku, ale też na oprocentowanie stałe.

Majstrowanie przy WIBORZ-e

Już od 2018 roku Stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu zajmuje się także kredytami złotowymi, bo według ekspertów WIBOR jest zawyżany. Szczesniak uważa, że złość złotówkowiczów jest zrozumiała. Wiele przeżywa déjà vu. – Rodzice są frankowiczami, dzieci wiborowcami – mówi.

Tyle, że wiborowcy nie próbują na razie walczyć na większą skalę. Frankowicze protestowali w 2015 roku, manifestacje liczyły po 7 tys. osób. Z wiborowcami nie wyszło. Dlaczego? – Przez wakacje kredytowe. Bez nich mogło być jak na Węgrzech, gdzie trzy czwarte kredytobiorców kredyty przestało spłacać. W Polsce problem rozciągnął się w czasie, uniknęliśmy szoku – mówi Szczesniak.



oprocentowanie kredytu na określony czas, nawet na 20 lat. To zdrowsze, choć oznacza, że kredyty są droższe, bo bank będzie się zabezpieczał przed wahaniem WIBOR-u – mówi Samcik.

Dlaczego wcześniej było tak trudno? Wyjaśnieni jest wiele. Winny był system bankowy, nadzorujące go instytucje, do tego my byliśmy biedni i trudno było tak skonstruować mechanizm kredytowania, by był dla nas dostępny.

Winni byli politycy, którzy nie zwrócili uwagi, że wypychają nas w ryzykowne umowy, że nie zapewniają nam mieszkań. Może winni byliśmy my sami, że za wszelką cenę chcieliśmy mieć mieszkania na własność?

W przypadku kredytów złotówkowych, Jacek (ten, który się zawziął) nie widzi podstaw, by je podważać. Że stopy procentowe będą się zmieniać, było wiadomo, a nawet jeśli WIBOR jest nieprzejrzystym wskaźnikiem, to, cóż, w umowach też było napisane, że to on będzie użyty. I było wiadomo, że może się zmieniać, tak jak się zmienia – w następstwie decyzji Rady Polityki Pieniężnej.

– W przeciwieństwie do umów frankowych tych ryzyk wzrostów nikt nie ukrywał, klienci byli informowani o działaniu tego mechanizmu. Nie ma tajnego planu – uważa.

Zmienne stopy procentowe są w Polsce oczywistością, nie kwestionowaliśmy ich – nie robiła tego zwłaszcza rzesza kredytobiorców, która brała kredyty na początku pandemii, gdy były wyjątkowo tanie – średnio oprocentowane na około 2,5 proc.

Ale i wcześniej stopy były niskie, więc prawie nikt kredytem na stały procent nie był zainteresowany, bo był droższy. Dopiero teraz, gdy stopy wzrosły, jest coraz więcej głosów, że to nie są cywilizowane warunki kredytowania, że na zachodzie normą są stopy stałe.

Kredyty na stały procent także w Polsce stały się więc niedawno powszechne w ofertach i są dostępne w każdym banku, ale na razie tylko na pierwsze pięć lat.

– Słuszne są zarzuty, że WIBOR-u nie wylicza się w oparciu o realne transakcje, tylko o deklaracje, jakie byłyby dla banku koszty udzielenia kredytu, gdyby go udzielał. Jest nieprzejrzysty, bo nie mówi, jakie są stopy procentowe, tylko jakich się spodziewają za trzy czy sześć miesięcy. Czasem błędnie, czasem nie – mówi Samcik.

Ale i tak wiele wskazuje, że WIBOR podważyć będzie trudno. To wskaźnik zaakceptowany przez rząd i struktury unijne.

– Przesłanką na rzecz tezy, że WIBOR nie był strukturalnie manipulowany przez banki jest to, że jego zmiany są podobne do zmian stóp procentowych NBP. Wykresy wzrostów i spadków są podobne, choć oczywiście z kilkumiesięcznym przesunięciem – mówi Samcik.

Natomiast inną kwestią jest to, jak dodaje, czy WIBOR rzeczywiście odzwierciedla koszt pozyskania przez banki pieniądza, bo oprocentowanie depozytów – które są głównym źródłem finansowania dla banków – jest znacznie niższe.

Narracja banków brzmi obecnie tak, że zakwestionowanie umów złotówkowych będzie oznaczało upadek banków. Samcik przyznaje, że konsekwencje w przypadku tych umów byłyby trudniejsze niż w przypadku frankowiczów. Choćby dlatego, że jest ich więcej – hipoteki ma około 2 mln rodzin, w większości to kredyty złotowe.

Gdyby doszło do unieważnienia umów i kredyty byłyby za darmo, część banków pewnie by nie przetrwała. Ale tym razem sytuacja raczej nie będzie tak

• **Demonstracja frankowiczów pod Belwederem w Warszawie. 10 września 2016 r.**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

jednoznaczna. W przypadku umów frankowych sądy uznały, że umowy nie da się wykonywać bez tych klauzul, które zostały uznane za abuzywne. Dlatego unieważnić trzeba było całość umowy.

W przypadku kredytów złotowych raczej tak nie będzie. – Decyzja sądu mogłaby po prostu dotyczyć usunięcia WIBOR-u z oprocentowania kredytu przy utrzymaniu samej umowy – mówi Samcik.

Tak też się jednak prawdopodobnie nie stanie. WIBOR kredytobiorcy próbują zasądzać, a sądy szukają wsparcia w TSUE. Z Sądu Okręgowego w Częstochowie w sprawie WIBOR-u wpłynęły do Trybunału pytania, m.in., czy unijne dyrektywy pozwalają polskim sądom na badanie umów kredytowych opartych o ten wskaźnik, czy zapisy dotyczące oprocentowania opartego o WIBOR mogą powodować niewłaściwe poinformowanie kredytobiorcy o możliwości oprocentowania kredytu, i, w końcu, jak właściwie kredyt rozliczać.

Nim TSUE odpowie, WIBOR ma dla niego zaopiniować też polski rząd. Mogłoby to dać szansę na podważenie wskaźnika. Ale, jak podał Business Insider, rząd nie zamierza tego robić. Napisał w opinii, że rozporządzenie BMR (wydane przez Parlament Europejski w sprawie wskaźników referencyjnych) jest w hierarchii źródeł prawa „nad” dyrektywą 93/13 (w sprawie nieuczciwych warunków w umowach konsumenckich). WIBOR wynika z rozporządzenia BMR, przez co umowy ze wskaźnikami WIBOR miałyby nie podlegać kontroli przez sądy w świetle dyrektywy.

To kompromisowe stanowisko, na które zgodziły się Ministerstwo Finansów, Ministerstwo Sprawiedliwości, Komisja Nadzoru Finansowego, Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów i Rzecznik Finansowy.

M.in. RF był przeciwny podważaniu mechanizmu WIBOR. – Naszym zdaniem nie jest dopuszczalne badanie mechanizmu WIBOR-u w drodze postępowania cywilnego. Jest on ustalany na podstawie prawa krajowego i unijnego, przez niezależny od stron umowy kredytowej podmiot, nie przez banki i konsumentów – mówi Ziemowit Bałajewski.

Dodaje, że wskaźnik jest ustalany przez administratora, który działa na podstawie i w granicach upoważnienia udzielonego ostateczną i prawomocną decyzją administracyjną przez KNF, a ta nigdy dotąd nie zaobserwowała w tym zakresie nieprawidłowości.

Zwraca uwagę, że gdyby zakwestionować WIBOR, miałyby to ogromny wpływ także na osoby, które na przykład kupowały obligacje Skarbu Państwa, których oprocentowanie także było wyliczane na podstawie tego wskaźnika. WIBOR jest ważny nie tylko dla przedsiębiorców, lecz również dla klientów podmiotów rynku finansowego i ma znaczący wpływ na ich decyzje dotyczące domowego budżetu.

Ziemowit Bałajewski mówi, że prawnicy zachęcaeni sukcesem frankowiczów, próbują wykorzystać dyrektywę 93/13 (w sprawie nieuczciwych warunków w umowach konsumenckich) jako instrument służący do dokonania pod tym pretekstem oceny sądowej WIBORU na drodze cywilnej, choć tego rodzaju instrumentalizacja prawa mogłaby skutkować pośrednio pozbawieniem wysokiego poziomu ochrony kredytobiorców przewidzianego w rozporządzeniu BMR.

– Dlatego, gdy sądy krajowe pytają TSUE, czy powinno się traktować dyrektywę jako instrument dopuszczający kontrole abuzywności w sytuacji, gdy istnieją już mechanizmy jego wyznaczania i nadzoru nad nim, odpowiadamy, że nie – mówi Bałajewski.

Według niego ingerencja w WIBOR z uwagi na charakter i sposób wyznaczania oraz kontroli wskaźnika byłaby niekorzystna dla konsumenta i dawałaby tylko iluzję bezpieczeństwa. – Jest to zresztą sprzeczne z samą dyrektywą – dodaje.

– Pozwy w sprawie WIBOR-u to szukanie dziury w całym. W zamian powinniśmy skupić się na tym, co naprawdę jest do poprawy, na przykład na pracy nad zwiększeniem transparentności wskaźników, a także nad zmniejszeniem kosztów kredytowania jakiegoś klienta – mówi.

O co chodzi? Zdaniem Bałajewskiego, koszty kredytów rzeczywiście są często za wysokie, ale nie z powodu nieprawidłowości w WIBOR. Oprocentowanie kredytu jest wyliczane na daną liczbę lat, na przykład 30, ale jeśli spłaciłszy go wcześniej, płacimy za dużo odsetek i innych opłat wyliczanych za okres, o który klient wskutek wcześniejszej spłaty skrócił obowiązywanie umowy.

Można żądać w wielu przypadkach ich zwrotu – takie przepisy wprowadziło prawo unijne. – Banki jednak często zwrotu odmawiają, dzieląc włos na czworo. RF często interweniuje w takich sprawach, gdy konsumenci składają reklamacje, a banki nie uznają ich zasadnych roszczeń – mówi Bałajewski. ●

Do walki z bankami stanęły fryzjerki, mechanicy, malarki, lekarze, stolarze, treserzypso



• Urszula Brzezińska-Hołownia. Czy pierwsza dama mogłaby latać samolotem wojskowym?

FOT. TWITTER.COM/POLISHEM-BASSYUK

KRÓLOWA MATKA KUMPELKA

Mają własne życie zawodowe, rozwijają kariery, są niezależne finansowo.
Potencjalne Pierwsze Damy będą raczej jak Jolanta Kwaśniewska niż jak Agata Duda

Arkadiusz Gruszczyński

Danuta Wałęsa, Jolanta Kwaśniewska, Maria Kaczyńska, Anna Komorowska, Agata Duda. Mieliliśmy ich raptem pięć. Pierwsza Dama w polskim krajobrazie politycznym i społecznym jest kimś stosunkowo nowym.

W czasach PRL-u żony pierwszych sekretarzy Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej żyły w cieniu mężów, pojawiały się jedynie na oficjalnych premierach, rautach czy jako towarzyszkę spotkań z przywódcami innych krajów.

I dlatego pierwsza Pierwsza Dama praktycznie nie istnieje w świadomości Polaków. Bo choć Barbara Jaruzelska nie była tylko dystygowaną żoną przy mężu, jako aktywna akademicko doktor germanistyki miała własne życie zawodowe, to gdy Wojciech Jaruzelski był gen-
sekiem, podobnie jak poprzedniczki pokazywała się obywatelom głównie wtedy, gdy wymagał tego protokół dyplomatyczny – jak podczas wizyty „żelaznej premier” Margaret Thatcher czy prezydenta Busha seniora. A jako żona prezydenta nie zdążyła zaistnieć publicznie, bo epizod prezydencki Jaruzelskiego był tak krótki – rok z hakiem po Okrągłym Stole – że samego generała mało kto kojarzy z tą rolą.

Potem historia przyspieszyła i Pierwszą Damą została Danuta Wałęsowa, która wyemancypowała się dopiero dwie dekady po zwycięstwie Lecha w wyborach prezyden-

kich 1990 roku, zarzucając mężowi skupienie się na sprawach opozycji za cenę nieobecności w domu rodzinnym.

Kolejna dekada – od 1995 roku – to czas Jolanty Kwaśniewskiej, która zdominowała polskie wyobrażenie o zaszczytnej funkcji pierwszej małżonki. Wtedy też zobaczyliśmy, ile możliwości niesie za sobą to stanowisko. Kwaśniewska założyła fundację, udzielała się społecznie, zadziwiała rodaków elegancją i szykiem, chętnie spotykała się ze zwykłymi ludźmi, obejmowała patronatem wiele wydarzeń. I chociaż gazety, niechętnie „postkomuchowi” Kwaśniewskiemu walczącemu o Pałac Prezydencki z legendą „Solidarności”, wyciągały podczas kampanii wyborczej jej inwestycję w spółkę ubezpieczeniową Polisa, to kontrowersje poszły w niepamięć, gdy zaczęła brylować na światowych salonach

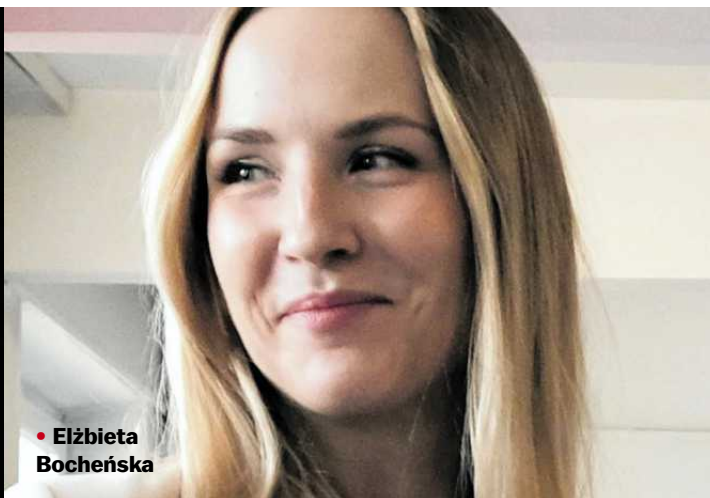
w towarzystwie takich postaci jak Hillary Clinton – w amerykańskim stylu, jak z podziwem i dumą pisano.

Polacy do dziś chętnie wspominają tamten okres, wciąż podziwiając „Jolę”, która ucieleśniała aspiracje „wracającego do Europy” społeczeństwa – była zwykłą instruktorką harcerską i akademicką, a na oczach wszystkich stała się wytworną damą u boku niezwykle popularnego prezydenta. Dlatego można się głośno zastanowić, czy Kwaśniewscy byli idealnym produktem lat 90., czy może to lata 90. stworzyły pierwszą celebrycką parę prezydencką z prawdziwego, czyli amerykańskiego punktu widzenia.

Bo amerykańskie pierwsze pary stanowiły przez wiele lat ważny punkt naszego odniesienia. Może ze względu na Hillary Clinton, która – podobnie jak Kwaśniew-



• Anne Applebaum



• Elżbieta Bocheńska



• Agnieszka Mentzen



• Małgorzata Trzaskowska



• Katarzyna Czarnek

Wszystkim umyka to, że Pierwsza Dama wykonuje swoją pracę dla Polski za darmo

ska – udowodniła, że Pierwsza Dama nie musi wyłącznie organizować bankietów i opowiadać przez radio, a później w telewizji, krzepiących rodzinnych komunalów, ale może też na forum międzynarodowym walczyć o prawa kobiet, wyrażać polityczne opinie i podkreślać rolę kraju w szerzeniu idei liberalnej demokracji. Mówiąc inaczej: małżonki prezydentów mogą budować własny społeczny wizerunek, niejako odkleić się od polityki prowadzonej przez męża, angażować się w sprawy społeczne na własnych warunkach.

Maria Kaczyńska wybrała styl pomiędzy Wałęsową a Kwaśniewską: pracowała nieco w cieniu męża, ale obejmowała patronatem wiele społecznych inicjatyw, spotykała się z różnymi środowiskami, nie odcinała się od świata. I potrafiła wszystkich zaskoczyć, kiedy w Pałacu Prezydenckim zorganizowała spotkanie z dziennikarkami w sprawie aborcji. Tak, żona Lecha Kaczyńskiego krytykowała zakaz przerywania ciąży.

Anna Komorowska – harcerka ze słynnej „Czarnej Jedyńki”, filolożka klasyczna ucząca łaciny w liceum, odważna opozycjonistka działająca w konspiracji w stanie wojennym, po transformacji PRL w III RP próbująca sił w korporacji ubezpieczeniowej, a przede wszystkim „domowa menedżerka” zarządzająca sześciuosobową rodziną – szła drogą wytyczoną przez Kaczyńską, choć z lekkim przechylem ku modelowi „Danuta”, wypełniając tradycyjną rolę przypisaną Pierwszej Damie: przewodniczyła obchodom roku korczakowskiego, chrzcila okręt wojenny, uświetniała fasadowe grona w rodzaju prezydenckiej Narodowej Rady Ekologicznej.

Z kolei Agata Kornhauser-Duda zaczęła mocnym akcentem, kiedy w trakcie inauguracji kampanii prezydenckiej męża w 2014 roku, zwróciła się ze sceny do siedzącego na widowni Jarosława Kaczyńskiego: „Ja się pana nie boję!”. Zawodowi komentatorzy i obywatele zainteresowani sprawami publicznymi zastrzygli uszami: wszystko wskazywało na to, że żona Andrzeja Dudy będzie zabierała głos w istotnych sprawach w poprzek prawicowej narracji.

Wyszło inaczej: Agata Duda milczy, nie zabrała głosu w trakcie masowych protestów kobiet po zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego, nie skomentowała antysemitkich wypowiedzi kolegów męża, kie-

dy rząd Mateusza Morawieckiego nieudolnie preforsował nowelizację ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, wedle której państwo polskie mogło ścigać naukowców zajmujących się Zagładą. Pierwsza Dama nie stanęła po stronie nauczycieli, kiedy dorzynał ich rząd Beaty Szydło, choć sama jest przecież nauczycielką. Nie krytykowała publicznie ograniczania praw osób LGBT, nie zabrała głosu w trakcie protestów przeciwko dewastacji wymiaru sprawiedliwości. Agata Duda zamknęła się przed ludźmi w Pałacu Prezydenckim.

Albo czy krytyka obecnej Pierwszej Damy jest uprawomocniona? Czy czasem nie umyka nam coś zasadniczego, kiedy z taką łatwością krytykujemy Agatę Dudę? Albo inaczej: czy w tej krytyce nie przesadzamy, projektując na nią swoje motywowane politycznie i światopoglądowo oczekiwania? Nie jest przecież nigdzie zapisane, że Pierwsza Dama powinna na bieżąco odnosić się publicznie do bieżącego konfliktu politycznego. Równie dobrze małżonka prezydenta może zachowywać się jak królowa angielska, która zachowuje dyskrecję. Nie wiadomo też do końca, skąd liberalna strona wzięła model zaangażowanej politycznej Pierwszej Damy, skoro nawet Jolanta Kwaśniewska, mimo dosyć jednoznacznego światopoglądu, nie stawiała po żadnej ze stron ostrych sporów przełomu XX i XXI wieku. Z wyjątkiem wsparcia dla integracji europejskiej, ale też trudno, by – niezależnie od poglądów – żona głównego państwa występowała przeciwko jednemu z głównych celów prezydentury małżonki.

W krytyce Agaty Dudy pobrzmiewa tęsknota za osobą, która mogłaby zaprzeczyć swojemu własnemu mężowi i stanąć po stronie sprawiedliwości. Krytykom umyka też, że Pierwsza Dama spotkała się z nauczycielami i przekonała męża do zawetowania ustaw okrzykniętych „lex Czarnek”, które – na wzór rosyjski i węgierski – miały zakazać warsztatów równościowych prowadzonych przez organizacje pozarządowe na terenie szkół i podporządkować całkowicie dyrektorów kuratoriom. Agata Duda spotkała się również w Sejmie z protestującymi w 2018 roku osobami z niepełnosprawnościami i ich rodzicami.

Agata Duda wybrała po prostu inną drogę. Na stronie internetowej Małżonki Prezydenta – bo tak oficjalnie nazywa się funkcja sprawowana przez Agatę Dudę – z zaskoczeniem oglądam jej zdję-

cia ze spotkań ze zwykłymi ludźmi, którzy odwiedzają Pałac Prezydencki. Pprzysłuta dzieci, jest roześmiana, tańczy, rozdaje maskotki, siedzi w kregu z innymi kobietami, bierze udział w kursie pierwszej pomocy, pije kawę z działaczkami społecznymi, podejmuje inne Pierwsze Damy, odwiedza domy dziecka i mniejsze miejscowości. Z całą pewnością dla części polskiego społeczeństwa Agata Duda jest kimś istotnym.

Spójrzmy jednak w przyszłość. W sierpniu przyszłego roku do Pałacu Prezydenckiego wprowadzi się nowa Pierwsza Dama. Lista kandydatek do tej funkcji jest dość długa, na początku skupmy się więc na prezydenckich pewniakach.

W momencie pisania tego tekstu oficjalny start ogłosił Szymon Hołownia. Marszałek Sejmu już raz startował, pięć lat temu zajął trzecie miejsce. Jego żona – Urszula Brzezińska-Hołownia – jest pilotką, na co dzień pracuje jako oficerka w Malborku, gdzie pełni dyżury bojowe, pilotując myśliwce MiG-29.

Poznali się w 2014 roku, kiedy Hołownia kręcił jeden z programów dla stacji TVN. Zauważył na rozpisce w bazie w Mińsku Mazowieckim kobiecie nazwisko, zagadał, zaiskrzyło, dzisiaj mają dwie córki, mieszkają pod Warszawą. Brzezińska-Hołownia już w 2020 roku zapowiedziała, że po przeprowadzce do Pałacu Prezydenckiego chciałaby, aby tytułowano ją mianem Pierwszej Obywatelki. Deklarowała wówczas, że nie chciałaby opuścić wojska. Dzisiaj sytuacja jest diametralnie inna: żona Hołowni lata nad Bałtykiem, gdzie polskie samoloty są non stop prowokowane przez rosyjskich pilotów.

– To nie do pomyślenia, żeby Pierwsza Dama latała samolotami wojskowymi. Wyobraża pan sobie sytuację, w której jej MiG zostaje strącony? To byłoby międzynarodowy skandal, jakiego świat nie widział od 1939 roku – twierdzi ważny polityk koalicji rządzącej. Dlatego – jak słyszę w Polsce 2050 – już teraz małżeństwo Hołowni postanowiło, że po wygranych wyborach Urszula „zejdzie na ziemię”, czyli dokończy służbę wojskową w biurze. – Ula będzie chciała nadal pracować, dogadała się z Szymonem, że nie będzie narażała kraju na niepotrzebne problemy, jeśli by jej mąż zostałby prezydentem – mówi mi polityk związanych z marszałkiem Sejmu.

Poglądy Urszuli Brzezińskiej-Hołowni? Popiera związki partnerskie, sprzeciwia się zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej, opowiada się za edukacją seksualną i równouprawnieniem.

Drugim oficjalnym kandydatem jest Sławomir Mentzen. Lider Nowej Nadziei, wchodzącej w skład Konfederacji, a także (czy może raczej przede wszystkim) prawnik, biznesmen i showman, jeździ obecnie po Polsce zbierać poparcie, choć tak naprawdę – łącząc te wszystkie tożsamości – zagrzewa własnych zwolenników.

Agnieszka Mentzen ma 36 lat, kilka lat temu kandydowała do sejmiku Województwa Warmińsko-Mazurskiego i – jak twierdzi sam Mentzen – jest niezwykle krytyczna wobec Prawa i Sprawiedliwości. „Mam bardzo dobrą i cierpliwą żonę, skoro tyle ze mną wytrzymała, i z wyrozumiałością podchodzi do tego, że ciągle nie ma mnie w domu. Z perspektywy 10 lat muszę powiedzieć, że małżeństwo to coś wspaniałego. Jeżeli jesteście z osobą, którą kochacie, to nie ma co czekać, żeńcie się” – pisał Sławomir Mentzen w serwisach społecznościowych w 2020 roku z okazji 10. rocznicy ślubu.

O żonie Radosława Sikorskiego napisało ostatnich tygodniach wiele artykułów, sylwetek i analiz. Chociaż na dobrą sprawę przedstawia jej nie trzeba, ale dla porządku: Anne Applebaum jest jedną z najbardziej znanych amerykańskich publicystek politycznych, laureatką Pulitzera, autorką wybitnych książek reportersko-historycznych i – last but not least – należy do waszyngtońskiego establishmentu. Przez lata była flagowym piórem „The Washington Post”, obecnie pisze dla „The Atlantic”. Jeszcze 30 lat temu była zagorzałą konserwatystką, dziś ma poglądy równie wyraziste, lecz liberalne. Krytykuje Partię Republikańską za oddanie władzy Donaldowi Trumpowi. W swoich książkach opisuje niebezpieczeństwa, jakie niosą rządy prawicowych populistów.

Gdyby to Sikorski otrzymał nominację Koalicji Obywatelskiej, a następnie wygrał wybory prezydenckie, Applebaum – dla dobra kraju – musiałaby raczej pożegnać się z publicystką. Byłaby również pierwszą w historii III RP Pierwszą Damą z podwójnym obywatelstwem, która nie urodziła się w Polsce.

**Polityk Polski 2050 o Urszuli
Brzezińskiej-Hołowni:
Wyobraża pan sobie
sytuację, w której jej MiG
zostaje strącony?**

• Urszula
Brzezińska-
-Hołownia

**Elżbieta Bocheńska, Marta Nawrocka
i Katarzyna Czarnek wymykają
się prostym konserwatywnym
i bogoojczyźnianym schematom.
Tylko Iwona Morawiecka – być może
na własne życzenie – wychowuje dzieci
i nie zajmuje się pracą zawodową**

• Iwona
Morawiecka

Jeśli jednak wierzyć sondażom – a kończę ten tekst w środę wczesnym popołudniem – to prawyborcy wygra Rafał Trzaskowski. Jego żona – Małgorzata Trzaskowska – przebojem wdarła się do polityki w 2020 roku, kiedy pod koniec kampanii wyborczej męża zaczęła pojawiać się publicznie. Spotykała się z kobietami w różnych częściach kraju, miała własną trasę. – Pamiętam ogólne zaskoczenie: Gośka świetnie radziła sobie na tych spotkaniach, była naturalna, wesola, skracala dystans. Wcześniej nie wpadliśmy na pomysł jej zaangażowania w kampanię Rafała, a potem dotarło do nas, że gdyby towarzyszyła mu od samego początku, to wygrałby z Dudą – wspomina sztabowiec KO.

Słyszę, że Małgorzata Trzaskowska ma mieć swoje zadanie również w nadchodzącej kampanii. Mówi się również, że miejsce inaugurujące kampanię prezydencką KO zostało wybrane ze względu na nią. 7 grudnia Tusk ogłosi oficjalnie kandydata na Śląsku, skąd pochodzi żona prezydenta Warszawy.

Pierwsza Dama Warszawy do 2018 roku, czyli do wygranej przez męża boju z Patrikiem Jakim – wysoko wówczas notowanym w PiS harcownikiem kreującym się jednocześnie na swojaka z blokowiska i nowego szeryfa w rodzaju Ziobry – boju o prezydenturę stolicy, pracowała w urzędzie miasta, gdzie zajmowała się promocją i szeroko pojętą gospodarką.

Urodziła się w Rybniku, studiowała ekonomię w Katowicach i Krakowie, poznała się z Rafałem na elitarnych studiach w Natolinie, gdzie kształciła się elita dyplomatyczna i urzędnicza kraju. Mają dwoje dzieci.

Trzaskowska po odejściu z ratusza związała się z sektorem pozarządowym. Chodziła na kobiece czarne protesty, marsze Tuska, broniła środowiska LGBT w czasach homofobicznej nagonki urządzanej przez PiS w 2019 r. – Jestem osobą wierzącą. To daje mi siłę i nadzieję. Byliśmy rodziną praktykującą, co tydzień chodziliśmy na mszę, zawarłam ślub kościelny, ale instytucja Kościoła mnie rozczarowała, kiedy jej przedstawiciele nie zabierali głosu, gdy PiS demontował system sądowniczy i atakował sędziów, gdy w Sejmie protestowały matki z niepełnosprawnymi dziećmi, gdy przez arogancję i próbę zabrania nam naszych praw zmuszono nas, kobiety, do masowych „czarnych protestów”, gdy w przestrzeni pu-

blicznej rozgościł się język podziału i nawiści. O rozliczeniu z pedofilią nawet nie wspomnę – mówiła „Wysokim Obcasom”.

Opowiedziała również, jak widzi siebie jako Pierwszą Damę. – To zobowiązanie, by maksymalnie wykorzystać swoją sprawczość. Pierwsza dama powinna być rzeczniczką kobiet. Zamierzam zaangażować się w sprawy ważne dla kobiet, w ochronę środowiska, poprawienie stanu edukacji i dalej pracować nad projektem o przedsiębiorczości, na który poświęciłam ostatnie miesiące. Aktywność mam chyba we krwi. Jeszcze będąc uczennicą, zbierałam wśród mieszkańców podpisy, żeby zlikwidować komin w szpitalu w Rybniku, a gdy spłonął las pod Kuźnią Raciborską, to pojechałam z tatą sadzić nowy – mówiła w 2020 roku.

W trakcie ostatniej kampanii samorządowej, kiedy Trzaskowski ponownie starał się o fotel prezydenta stolicy, wrzucił do sieci filmik, na którym Małgorzata stoi przy kuchni, a Rafał siedzi przy stole i składa życzenia warszawiakom. Miało być fajnie, bezpośrednio, milenialsko, wyszło żenująco, internetowa lewica szydziła wręcz, że patriarchalnie. Ale Trzaskowski szybko się połapał, przeprosił, a po wyborach wrzucił filmik, na którym to on stoi przy zlewie.

Spójrzmy na Prawo i Sprawiedliwość. Jeśli wierzyć głosom dobiegającym z Nowogrodzkiej, jak potocznie nazywa się centralę PiS, od warszawskiej ulicy, przy której się mieści i gdzie rezyduje Jarosław Kaczyński, obecnie w wyścigu o nominację liczą się prawnik, wykładowca i niedoszły prezydent stolicy Tobiasz Bocheński, szef IPN historyk Karol Nawrocki, były minister edukacji i wojewoda lubelski Przemysław Czarnek oraz ekspremier i bankier milioner Mateusz Morawiecki.

Elżbieta Bocheńska jest, podobnie jak mąż, związana z PiS i ze Zbigniewem Rauem. Pracowała jako rzeczniczka prasowa Raua, kiedy ten był wojewodą łódzkim (Tobiasz związał się z nim już wcześniej, późniejszy minister spraw zagranicznych był jego promotorem na Uniwersytecie Łódzkim), a po jego przeprowadzce do gmachu MSZ została szefową gabinetu ministra.

Marta Nawrocka pracuje w Krajowej Administracji Skarbowej, specjalizuje się

w kontroli przemysłu naftowego, spirytusowego oraz w zwalczaniu nielegalnego hazardu. W jednym z lokalnych portali można wyczytać, że „wielokrotnie musiała sięgać po broń”. Domorośli psychoanalitycy mogliby z uśmiechem skomentować, że dobrali się jak w korcu maku – była celniczka rozbijająca szajki przemytników oraz bokser i były ochroniarz zafascynowany Sergiuszem Piaseckim, przedwojennym przemytnikiem, agentem kontrwywiadu i pisarzem w jednej osobie.

A na poważnie – taki wizerunek żony kandydata spin-doktorzy PiS mogą wykorzystać w przekazie do wyborców Mentzena, którzy marzą o noszeniu broni w kieszeni i braniu spraw we własne ręce, a których głosy będą kluczowe w drugiej turze. A wewnętrzne i tajne badania zamówione przez Jarosława Kaczyńskiego pokazały, że Nawrocki jest najbardziej strawny dla Konfederatów. Czarnek, choć wystarczająco patriotyczny, odpowiednio bezczelny i obyty jednocześnie, jest tam kojarzony jako polityk meblujący życie Polaków, co w optyce wolnościowców jest – mimo ich marzeń o tradycyjnym podziale ról czy niechęci do wszelkich odmienności – większym zagrożeniem niż Parady Równości.

O żonie Mateusza Morawieckiego wiemy mniej więcej tyle, że został na nią przepisany wielomilionowy majątek męża. I to, że umiejętnie handlowała ziemią w okolicy Wrocławia, którą Morawieccy kupili od Kościoła.

„Wspiera i jest cierpliwa” – o Iwone Morawickiej mówił jej mąż. Żona byłego premiera nigdy nie pracowała, nie udziela wywiadu, nie znamy więc jej poglądów. Wiadomo mniej więcej tyle, poznała się z Mateuszem w szkole podstawowej, mają czworo dzieci, w tym dwoje adoptowanych. – Żona Mateusza stworzyła mu wspólniały, ciepły dom, dzielnie znosi nieobecności męża i jego zaangażowanie w sprawy zawodowe – mówiła o szwagierce siostra premiera, Anna Morawiecka w jednym z portali.

I na koniec Katarzyna Czarnek, doktorka biologii, wykładowczyni Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie jest dyrektorką Instytutu Nauk Medycznych. Jeszcze kiedy Czarnek był ministrem edukacji i nauki, jego kolega z rządu – minister zdrowia Adam Niedzielski – przekazał na utworzenie wydziału kierowanego przez Katarzynę Czarnek blisko 40 mln

zł. Z kolei szef resortu edukacji zabrał ze sobą żonę, gdy leciał do Rzymu rozmawiać o współpracy akademickiej w dziedzinie medycyny z prorektorem Uniwersytetu Rzymskiego „La Sapienza”.

Włochy są ważne dla Czarnków również z innego powodu. „Jeździłem do Włoch na wakacje do Milano Marittima i pracowałem tam kilka lat z rządu. Przez 5 lat pracowałem w hotelu Perez. Tego ostatniego roku przyjechała do sąsiedniego hotelu Ambra właśnie Kasia. Wpadliśmy sobie tam w oko. Trudność polegała na tym, że ja miałam pracę wieczorną, a Kasia przedwieczorną. Wieczorami nie mogliśmy się spotykać, ale to się jakoś nawiązało. Ona wróciła wcześniej do Polski, a ja byłem do tego stopnia zakochany, że skróciłem dwa tygodnie swój pobyt we Włoszech, co kosztowało mnie 1 mln lirów włoskich, a zatem 2 tys. zł. Ha, ha! To nie jest nadal mało, a w latach 90. to było bardzo dużo. Poświęciłem to, żeby dotrzeć do Polski i dalej kontynuować naszą znajomość” – wspominał Czarnek w rozmowie z „Super Expressem”.

Państwo Czarnkowie mają dwoje dzieci, dorosła córka wyszła w ubiegłym roku za mąż. Żona eks-ministra nigdy nie udzieliła wywiadu.

Bocheńska, Nawrocka i Czarnek wymykają się więc prostym konserwatywnym (czy raczej bogoojczyźnianym, bo zachodnioeuropejski konserwatyzm polska prawica musiałaby, stosując swoje miary, zaklasyfikować jako socjaldemokrację obyczajowo na lewo od pokolenia ’68) kliszom. Wszystkie trzy mają własne życie zawodowe, rozwijają kariery, można nawet zaryzykować tezę, że są niezależne – na pewno finansowo. Nie powielają typowego dla prawicy schematu, który zakłada, że kobieta musi poświęcić się wychowaniu dzieci i pracy w domu. Tylko Iwona Morawiecka – być może na własne i wyraźne życzenie – wychowuje dzieci i nie zajmuje się pracą zawodową, choć wydaje się, że jest sprawna na rynku nieruchomości.

I na koniec lewica, która najprawdopodobniej wystawi w wyborach prezydenckich Agnieszkę Dziemanowicz-Bąk. Nic nie wiadomo na temat męża ministry pracy, nigdy o nim publicznie nie wspominała, na lewicowych imprezach od zawsze pojawia się sama.

W dyskusjach o zadaniach Pierwszej Damy krzyżują się wyraźnie fantazje o polskiej rodzinie królewskiej z gromadką dzieci, ukochanym psem, wakacjami w Juracie, plotkami o problemach wychowawczych. Jednocześnie część opinii publicznej upatruje w Pierwszej Damie kogoś na wzór idealnej matki narodu, która w sytuacjach kryzysowych stanie po stronie ucisnionych.

Mysząc o Pierwszej Damie mamy też w pamięci Claire Underwood z „House of Cards”, serialową żonę przebiegłego i cynicznego amerykańskiego polityka, która dopinguje męża na drodze dojścia do władzy. Rzecz jasna: po trupach, bez jeńców, bez taryfy ulgowej nawet za cenę zabójstwa kochanka.

A mówiąc poważnie: wszystkim umyka to, że Pierwsza Dama wykonuje swoją pracę dla Polski za darmo. PiS chciało kilka lat temu przyznać małżonce prezydenta RP regularną pensję w wysokości 18 tys. zł brutto miesięcznie. Politycy przestraszyli się jednak społecznego gniewu i bezsensownego krzyku opozycji, i zrezygnowali z ucywilizowania warunków pracy Pierwszej Damy. Ze szkołą dla wszystkich: skoro rząd wypłaca 1,5 tys. zł babciowego, to mógłby wypłacać również pensję jednej Pierwszej Damie, która 24 godziny na dobę przez kraj. Rezygnując w jakiejś mierze z dawnego życia, u boku męża, którego albo kocha, albo po prostu toleruje. ●

GDZIE DWÓCH SIĘ BIJE, TAM TUSK SIĘ BOI

„Na ile znam Donalda,
to mu ręce opadły”.

Lider Koalicji
15 Października jest
poirytowany i Sikorskim,
i Trzaskowskim?



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dominika Wielowieyska

Kto wymyślił i kto zaproponował prawybyory na kandydata prezydenckiego Koalicji Obywatelskiej?

Formalnie zgłosił ten pomysł prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, ale zwolennikiem takiego rozwiązania był premier Tusk, który po wysondowaniu nastrojów i po rozmowach z liderami koalicyjnych partii, popychał zwolenników Trzaskowskiego w tę stronę. A ci dziś deklarują, że od początku uważali to za dobre rozwiązanie. Byli bowiem pewni zwycięstwa.

Trzaskowski jest bardziej popularny w aparacie KO, zbudował głośną medialnie imprezę Campus Polska, na którą młodzi ludzie pchają się drzwiami i oknami. To jego bezsprzeczny sukces. Organizatorzy Campusu mają potężną bazę potencjalnych wolontariuszy w prezydenckiej kampanii. Aktywa bardzo cenne. Trzaskowski jest też bardzo związany ze środowiskiem samorządowców, a to oni w małych i dużych miastach będą mu pomagać w kampanii.

Frakcja Trzaskowskiego zauważa, że sam Radosław Sikorski, drugi pretendent do partyjnej nominacji, ideą prawyborów nie był zachwycony, bo wiedział, że prezydent Warszawy ma poważne przewagi. Gdyby kandydata wybierała Rada Krajo- wa, szanse Sikorskiego mogłyby być większe. Bo w skład Rady Krajowej wchodzi: zarząd partii, parlamentarzyści i członkowie wybrani przez rady regionów. – My prawyborów chcieliśmy, bo to umocni Rafała, będzie miał silniejszy mandat partyjny – słyszę w otoczeniu prezydenta Warszawy.

Ludzie szefa MSZ opisują to inaczej: prawybyory przeforsował sam Tusk. – Prze-

cież w przeddzień prawyborów ludzie Trzaskowskiego spinowali w mediach, że zarząd partii wezwie Sikorskiego do wycofania i ostatecznie wskaże, kto ma być kandydatem. W efekcie na platformie X pojawiały się takie wpisy dziennikarzy. A tu nagle okazało się, że są prawybyory, choć Trzaskowski liczył, że nominację niczym koronę otrzyma na jedwabnej poduszce. Prawda jest taka, że prawyborów chciał Tusk i powiedział Rafałowi, że na otarcie łez może on je zgłosić – relacjonuje mój rozmówca.

A skoro prawybyory były przesądzone, obaj politycy wystosowali listy do członków Koalicji Obywatelskiej.

„O waszą nominację ubiegam się z przekonaniem, że w realiach 2025 roku mam największe szanse wygrać pojedynek z kandydatem PiS. O prezydencie Warszawy Rafa- le Trzaskowskim mogę mówić tylko pozytywnie. Niezależnie od tego, komu zaufacie, zobowiązuje się ze wszystkich sił pracować na zwycięstwo kandydata Koalicji Obywatelskiej” – napisał szef MSZ. I przekonywał, że nie wystarczy antypisowska retoryka, a KO potrzebuje kandydata, który połączy wrażliwości liberalne i konserwatywne.

„Potrzebny nam kandydat, który ma za sobą prawdziwe testy wyborcze. Potrafi zachować spokój i nie da się sprowokować w żadnej sytuacji. Potrzebujemy prezydenta, który nie ma kompleksów wobec świata. Prezydenta, który wie, kiedy słowa budują, a kiedy osłabiają reputację państwa. Prezydenta przewidywalnego, który posiada wiedzę, wewnętrzny spokój i doświadczenie, które pozwoli mu chłodno analizować wyzwania” – namawiał w swoim liście Trzaskowski.

Jakie przewagi miał minister spraw zagranicznych, a jakie prezydent stolicy? – Jako chłopak z Bydgoszczy lepiej rozumiem

to, czym żyje większość Polaków. Powinniśmy wybrać tego kandydata, który w drugiej turze przyciągnie więcej wyborców na prawo od nas. I tym kimś nie jest Rafał – oświadczył w Polsce Sikorski.

Szef MSZ bywa ostry i bezceremonialny, co może nie wszystkim się podobać, ale w starciu z PiS stanowi zaletę, szczególnie podczas możliwej debaty prezydenckiej tuż przed wyborami. Sikorski miał kilka świetnych wystąpień, między innymi w ONZ. Ma wiele kontaktów w świecie i wiedzę. Rozumie amerykański sposób myślenia, otrzymał się w Waszyngtonie. Dlatego szef MSZ mówi, że „czasy się zmieniły i teraz najważniejsze jest bezpieczeństwo, a w tej kwestii ja mam większe doświadczenie”.

Ale prezydent Warszawy też ma doświadczenie międzynarodowe. Nie przez przypadek spotkał się z Joe Bidenem, gdy ten zawitał do Polski. Owszem, był gospodarzem stolicy, ale przecież nie każdy samorządowiec, nawet mer, prezydent czy burmistrz wielkiej metropolii, spotyka się z prezydentem USA podczas wizyty szczybla rządowego. – Rafał Trzaskowski umie nawiązywać relacje z Republikanami i Demokratami. Ja go osobiście uważam za przyjaciela – powiedziała w TVP Info była ambasador- ka USA w Polsce Georgette Mosbacher, czę- sty gość Campusu – i, co nie bez znaczenia, dobra znajoma Donalda Trumpa. A wypada zauważyć, że Amerykanie, niezależnie od barw partyjnych, nie palają miłością do Sikorskiego, bo jest mocno asertywny w relacjach z administracją USA.

Gdy szef MSZ akcentuje swoją wiedzę i doświadczenie w kwestii bezpieczeństwa i podkreśla, że „czasy się zmieniły”, druga strona nie pozostawia tego bez odpowiedzi. „Czasy się zmieniły? Trudne czasy? A pandemia to były łatwe czasy? A wojna to się zaczęła wczoraj? A 8 lat PiS to były łatwe czasy? Rafał zawsze był z nami.

Zawsze był na pierwszej linii. Nasz prezydent Trzaskowski” – napisał na platformie X jeden z czołowych współpracowników wóldarza stolicy, minister sportu Sławomir Nitras.

Odpisał mu Roman Giertych: „Czasy się naprawdę zmieniły, Sławek. Po wyborze Trumpa już nic nie jest takie samo. A tego, że Rafał i Radek byli zawsze z nami, to nikt nie kwestionuje! Bez względu na to, który z nich wygra, to będzie ciężka prezydentura. Bardzo ciężka”.

„Czasy się zmieniły, Romanie? A Ty w kwestii praw kobiet...” – odpowiedział Nitras, odnosząc się do poglądów Giertycha na temat aborcji, które nie zmieniły się specjalnie od czasów, gdy Giertych był twardym bogoojczyźnianym narodowcem, przywódcą Młodzieży Wszechpolskiej i szefem Ligi Polskich Rodzin.

Dla porządku trzeba dodać, że Sikorski zawsze deklarował, że jest za liberalną ustawą w sprawie aborcji i powtórzył, że jako prezydent by ją podpisał. Podobnie jak ustawę o związkach partnerskich. Sikorski bowiem chce się pozycjonować bardziej na prawo od Trzaskowskiego, ale podkreśla, że jest mu blisko do brytyjskich konserwatystów. Którzy w kwestiach obyczajowych są progresywni, doprowadzili choćby do uchwalenia ustawy o małżeństwie osób tej samej płci.

Ta wymiana zdań pokazuje, że prawybyory nie są fikcją, a rywalizacja jest prawdziwa.

Manewr, że to wszyscy członkowie Koalicji Obywatelskiej wskazują zwycięzcę, ma ważną zaletę: aktywizuje członków partii, sprawia, że czują się podmiotowi. To ważne, bo wybory prezydenckie wygrywa się tylko przy wsparciu struktur, gotowych do ciężkiej pracy.

Ale Tusk wyszedł również z założenia, że prawyborcy przyciągną uwagę opinii publicznej, zdominują polityczną agendę. A to służy KO podwójnie: buduje siłę przyszłego kandydata oraz odciąga uwagę od trudnych spraw, takich jak stan służby zdrowia, składka zdrowotna, bezsilność rządzących w sprawie aborcji, strach przed drożyzną i wzrostem cen energii. O tym, że mniej-si koalicjanci i rywale tak interpretują decyzję Tuska, może świadczyć reakcja Marka Sawickiego. Poseł PSL był wręcz poirytowany tym, że światła reflektorów są skierowane na prawyborcy i w Radiu Zet się trochę zagalopował, zdając retoryczne pytanie, ile Koalicja Obywatelska zapłaciła za taką ekspozycję w mediach państwowych i prywatnych.

Rzeczywiście, praktycznie wszystkie transmitowały spotkania Trzaskowskiego i Sikorskiego. Ale pytanie było absurdalne, bo każdy doświadczony polityk wie, że tam, gdzie walka jest realna, a emocje są spore i szczerze, tam też pojawiają się portale, gazety, telewizje i uwaga wyborców. To oczywiście oznacza też ryzyko podziałów w partii, zaostrenie walki frakcji, dlatego Tusk na posiedzeniu zarządu przestrzegał obie strony, że muszą trzymać na wodzy swoich ludzi, by prawyborcy nie okazały się brutalną nawałanką.

● Niemniej z punktu widzenia Tuska prawyborcy mają głęboki sens. Pokazują Trzaskowskiemu, że ma walczyć. Oraz że to nie jest tak, że z założenia jest idolem wszystkich członków partii.

Niewykluczone też, że premier chce zabezpieczyć relacje liderów KO w przyszłości. Bo ma czego się obawiać.

Owszem, jest niekwestionowanym liderem największej partii rządzącej, ale historia III RP pokazuje, że gdy jakiś polityk wchodzi do Pałacu Prezydenckiego, to nagle rośnie we własnym mniemaniu, buduje swoją autonomię i żąda, by liczyć się z jego zdaniem. I zaczyna stawiać warunki, a to z kolei prowokuje animozje. I może uprzykrzać życie liderowi, bo ma warunki pozwalające wybijać się na niezależność, z prawem weta łącznie. Tak było zawsze, z jednym wyjątkiem: Lecha Kaczyńskiego, ale to sytuacja nadzwyczajna, bo jego partnerem w rządzie był Jarosław, dominujący w braterskim układzie bliźniaków. W każdym innym przypadku prezydent chce wybić się na niepodległość i kończy się to albo „szorstką przyjaźnią”, jak w przypadku polityków SLD, premiera Leszka Millera i prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, albo godnościowymi gestami nieposłuszeństwa, jak te Andrzeja Dudy, usiłującego postawić się Kaczyńskiemu. Które, nawet jeśli nieskuteczne, psują sporo krwi liderowi i potrafią pokrzyżować jego plany.

Tusk może obawiać się, że po wyborach będzie się musiał układać nie tylko z Trzecią Drogą i Lewicą, co już zabiera mu sporo czasu i energii, ale też z otoczeniem głowy państwa. – Po prostu Donald chce, aby nikt nie zapomni, kto jest liderem. I dobrze, bo chaos i brak decyzyjności to najgorsze, co może nas spotkać – słyszę w KO.

● Nowy ośrodek prezydencki może chcieć rozdawać karty kosztem rządu. O aspiracje do tworzenia alternatywnego ruchu politycznego podejrzewają siebie nawzajem obie strony.

– Trzaskowski zawsze chciał taki ruch budować, a przede wszystkim chciał Nitras. To jest dla KO spore ryzyko – słyszę w obozie Sikorskiego. – Nie, no błagam, gdybyśmy chcieli coś budować, to zrobilibyśmy to zaraz po wyborach prezydenckich w 2020 roku. Ale my mieliśmy jeden cel: wybory prezydenckie, a nie nowa partia. Zresztą, kto z powodzeniem zbudował silną i trwałą partię prezydencką? To śmieszne. My się bardziej obawiamy, że okej, Radek jako prezydent polityką partyjną by się nie interesował i żadnej takiej gry by nie prowadził, ale

już Romek Giertych i Misiiek Kamiński, owszem. Zaraz zaczęliby mieszać i budować jakiś polityczny podmiot. Cała ich przeszłość polityczna na to wskazuje – odpowiada druga strona.

Obóz szefa MSZ oczywiście zaprzecza. A z kolei obóz prezydenta Warszawy deklaruje, że jego ludzie tacy jak Sławomir Nitras czy Barbara Nowacka nie chcą iść do kancelarii prezydenta. Swoją przeszłość widzą w rządzie. Nitras w TOK FM powiedział, że zamierza pełnić funkcję do końca kadencji i nie będzie stał na czele ewentualnego sztabu wyborczego Trzaskowskiego.

Oficjalnie ta wymiana zdań wyglądała tak: Sławomir Nitras w Onecie o szefie MSZ: „We mnie osobiście jest obawa, że gdyby Radosław Sikorski został prezydentem, to skupiłby się na sprawach zagranicznych, a jego dwaj główni doradcy, czyli Roman Giertych i Michał Kamiński [dawny gwiazdor PiS, potem doradca premier Ewy Kopacz, dziś w kręgu PSL, wciąż znający układy i mający znajomości na prawicy], zajęliby się polityką w Polsce, bo ich rozpała do czerwoności. I to mnie trochę niepokoi, bo to nie są ludzie, których światopogląd, czasami przyjaźnie polityczne, odpowiadają Platformie”.

„Wydzwaniają do mnie wszyscy, abym coś odpowiedział na nerwowe szpileczki Sławka Nitrasa. A ja im mówię: uspokójcie się! Jakbyście byli ministrem sportu, a drużyna narodowa przegrała 1:5 [chodzi o niedawny mecz z Portugalią], to też byście mieli prawo do słabszego dnia. I tak Cię lubię!” – odpowiedział Giertych.

– Sławciu przesadza – słychać z jednej strony. – Jesteśmy bardzo wstrzemięźliwi – odpowiada druga strona. „Newsweek” tymczasem publikuje artykuł o tym, że internauci spod znaku Giertycha szykują się do prowokowania Nitrasa, bo jest najbardziej wyrazistym działaczem w obozie Trzaskowskiego. Tytuł znaczący: „Dawajcie! Wkur..my Nitrasa jeszcze bardziej”.

Giertych jest oburzony i uważa, że cytowanie jakiegoś anonimowego internauty służy podsycaniu podziałów w KO. Wpis na platformie X kończy tak: „Szanownym dziennikarzom chcę powiedzieć, że z Rafałem Trzaskowskim jestem w życzliwym kontakcie i nic nas nie podzieli. Jeśli wygra on prawyborcy, może liczyć na moje lojalne poparcie. Jeśli nie wygra, to nadal pozostaniemy dobrymi kolegami, gdyż nikt na nikogo się nie zasadza”.

● W Koalicji Obywatelskiej spore emocje budzą same sondaże. Kilka tygodni temu media podały wyniki wewnętrznego badania, które zamówiło otoczenie Trzaskowskiego. Prezydent Warszawy wypadł o niebo lepiej niż szef MSZ. Ludzie Sikorskiego uważali jednak, że ten sondaż jest nierzetelny i nieprofesjonalny. I wskazywali, że nie można mówić, że to Koalicja Obywatelska go zamówiła. Już po ogłoszeniu prawyborów Tusk poinformował, że zostanie przeprowadzone pogłębione badanie na bardzo dużej próbie i ono będzie przedsięwzięciem Koalicji Obywatelskiej, a wyniki członkowie KO poznają przed podjęciem ostatecznej decyzji w prawyborach.

Tak też się stało. W poniedziałek dowiedzieliśmy się, że **Trzaskowski pokonałby kandydata PiS w pierwszej turze 40 proc. do 28 proc., a w drugiej 57 do 43 proc.**

Radek Sikorski w pierwszej przegrywa z kandydatem PiS 28 proc. do 30 proc. W drugiej turze wyborów prezydenckich, mając naprzeciw siebie kandydata PiS, minister **mógłby liczyć na 54 proc.** poparcia. Rezultat nie jest dobry dla Sikorskiego: możliwa przegrana w I turze źle wróży KO, bo to dodałoby wiatru w żagle PiS-owi.

Otoczenie szefa MSZ narzeka na ten sondaż. Po pierwsze dlatego, że został przeprowadzony w dniach poprzedzających ogłoszenie prawyborów. A dokładnie 5-10 listopada, natomiast informacja o prawyborach pojawiła się 9 listopada. A po drugie kwestionowana jest rzetelność sondażu, bo nie jest jasne, dlaczego niezwykle dobry wynik

zyskał Szymon Hołownia. – Jak to możliwe, skoro wtedy nawet nie ogłosił kandydowania – dziwią się w obozie Sikorskiego. Precyzyjnie rzecz ujmując, Hołownia ogłosił start w wyborach 8 listopada, tyle że nie odbiło się to zbyt szerokim echem.

W wariancie z szefem MSZ kandydat PiS zdobyłby w pierwszej turze 30 proc. głosów i zająłby pierwsze miejsce. Drugi byłby Sikorski (28 proc.), a trzeci Hołownia z wynikiem 21 proc., czyli o wiele wyższym niż poparcie dla Trzeciej Drogi w sondażach. Czwarty byłby konfederat Sławomir Mentzen (16 proc.), a piąta Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z Lewicy (6 proc.).

Wariant z Trzaskowskim wygląda inaczej: **prezydent Warszawy wygrałby pierwszą turę z wynikiem 40 proc.** Drugi byłby kandydat PiS (28 proc.), trzeci Mentzen (15 proc.), czwarty Hołownia (13 proc.), piąta Dziemianowicz-Bąk (4 proc.).

– Na ile znam Donalda, to mu ręce opadły, jak usłyszał, że rzetelność sondażu jest kwestionowana. Bo to jest de facto sugestia, że on sam manipuluje sondażem, żeby wygrał Trzaskowski. A przecież chodzi o to, żeby wygrał najlepszy, który potem pokona kandydata PiS. Tusk ma fokus na wygraną, nic innego go nie interesuje – Onet cytuje polityka Platformy.

■ **Ludzie szefa MSZ: Trzaskowski liczył, że nominację niczym koronę otrzyma na jedwabnej poduszce. Prawda jest taka, że prawyborów chciał Tusk i powiedział Rafałowi, że na otarcie łez może on je zgłosić**

■ **Ludzie prezydenta Warszawy: Okej, Radek jako prezydent polityką partyjną by się nie interesował i żadnej gry by nie prowadził, ale już Romek Giertych i Misiiek Kamiński owszem. Zaraz zaczęliby mieszać i budować jakiś polityczny podmiot**

● Obóz Sikorskiego zaś przypomina, że Kamala Harris też miała dobre sondaże, a jednak przegrała, i że w drugiej turze różnica między Sikorskim a Trzaskowskim w starciu z politykiem PiS nie jest taka duża. A szef MSZ ma większe szanse na pozyskanie wyborców centroprawicowych.

Trzaskowski wydaje się poirytowany: „Radosław Sikorski przez cały czas mówił nam, że chciałby, aby odbył się głęboki sondaż po wyborach w USA. Prowadzi tę prekampanię od wielu tygodni, zaczął dużo wcześniej niż ja. Zrobiliśmy dokładnie tak, jak chciał. Sondaż dokładnie w tym momencie, w którym chciał i zdecydowałem się na prawyborcy, co było chyba zaskoczeniem dla wszystkich, a Radek Sikorski nie jest w stanie się pogodzić z tym obiektywnym sondażem” – powiedział w TVN24.

● Wymiana ciosów nie ustaje. Na spotkaniu w Katowicach Trzaskowski w zawaolowany sposób wytknął Sikorskiemu, że nie był w stanie się porozumieć z prezydentem Du-

dą w sprawie ambasadorów. W efekcie na placówki jadą dyplomaci w randze chargé d'affaires. Prezydent Warszawy przekonywał, że w polityce ważna jest sprawczość. Jako wzór wskazał Tuska, który potrafił przekonać prezydenta, by wyraził zgodę na kandydaturę Piotra Serafina na unijnego komisarza ds. budżetu. – Nie chodzi o to, żeby się obrażać na prezydenta, bo to się potem odbija na dyplomacji i na tym, czy mamy ambasadorów – mówił Trzaskowski.

Obóz ministra odpowiada, że zarzut jest nietrafiony, bo Sikorski szukał kompromisu z Dudą i pozostawił część starych ambasadorów w ramach gestu dobrej woli. Mimo to prezydent nie chce podpisać ani jednej nominacji ambasadorskiej, bo uważa, że MSZ najpierw powinien mieć jego nieformalną zgodę na każdego konkretnego kandydata.

Ale nie tylko sprawa ambasadorów dzieli kontrkandydatów. Aby pokazać swoje kompetencje i kontakty w sferze bezpieczeństwa, prezydent Warszawy spotkał się w połowie listopada z byłym sekretarzem ds. armii Ryanem D. McCarthy’em oraz emerytowanym generałem Jamesem McConville’em. To ludzie Trumpa. Rozmawiano o wsparciu dla Ukrainy. Sikorski, zapytany co sądzi na temat spotkania Trzaskowskiego, odpowiedział, że on by ich nie przyjął, bo to nie jego ranga. Poza protokołem ludzkie ministra wskazują w rozmowie z „Wyborczą”: – Słabo, że bez wiedzy MSZ prezydent Warszawy odbywa takie spotkania, bo to rząd prowadzi politykę zagraniczną.

I tak to się kręci. Pytam więc osobę z otoczenia Trzaskowskiego czy jednak ta rywalizacja nie wymyka się spod kontroli i nie zacznie zaraz szkodzić partii. – Skoro Radek zgłosił się do rywalizacji, to niezależnie od tego, czy prawyborcy by się odbyły, czy nie, napięcia i tak by się pojawiły i mielibyśmy wzajemną krytykę. Może nawet wymiana zdań byłaby ostrzejsza, gdyby decyzję miał podjąć rząd czy rada polityczna. Lepiej więc, aby kandydata wskazali wszyscy członkowie Koalicji Obywatelskiej – słyszę.

Sikorski dalej prowadzi kampanię przed prawyborami. Nie odpuszcza. W rozmowie z „Wyborczą” stwierdza: „Zebrałem naprawdę szerokie poparcie: od Aleksandra Kwaśniewskiego przez Zielonych oraz Bronisława Komorowskiego do Romana Giertycha. To niezły rezultat”.

● To, czy w sprawie prawyborów bilans dla KO będzie korzystny, okaże się „dzień po”. Innymi słowy, czy Koalicja Obywatelska po ogłoszeniu wyniku głosowania nadal będzie roztrząsać wewnętrzne animozje, czy też pokaże jedność i pełną akceptację dla rezultatów wyjściu.

Tusk zdecydował się na tę operację, ponieważ uznał, że korzyści będzie więcej niż strat, ale tylko pod warunkiem, że następnym etapem będzie zjednoczenie i pełna mobilizacja. Natomiast Jarosław Kaczyński nie podjął ryzyka prawyborów z prostego powodu: poziom nienawiści i zapal do kopania po kostkach jest w PiS o wiele wyższy niż w KO.

Wszędzie emocje są bardzo silne, a spory realne, ale Tusk kontroluje to w wiele większym stopniu niż Kaczyński. Być może potwierdzi tę tezę ujawnienie, kto stał za zhakowaniem skrzynki mailowej byłego szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka. Regularnie publikowane maile szkodziły na wiele sposobów – ośmieszały, demaskowały cynizm, udowadniały ręczne sterowanie publicznymi mediami – nie tylko korespondującym politykom, ale całemu obozowi władzy. Lecz ludzie znający akta sprawy twierdzą, że tropy prowadzą do środowiska PiS niechętnego premierowi Mateuszowi Morawieckiemu.

W Koalicji Obywatelskiej dziś takich akcji ani podejrzeń nie ma. Dlatego premier zdecydował się na prawyborcy, mając jednocześnie świadomość, że ta rywalizacja nie mogła trwać zbyt długo, bo przeciąganie jej obróciłoby się przeciwko KO. ●

FREUD
BYŁBY
ZAŁAMANYZDROWIE PSYCHICZNE EUROPEJCZYKÓW
PO 10 LATACH KRYZYSÓW

Polacy, Niemcy, Hiszpanie, Litwini, Brytyjczycy... Wszyscy Europejczycy cierpią psychicznie. Winna pandemia, wojna, inflacja, kryzysy klimatyczny i migracyjny czy diagnozy z internetu i nieustanne rozkminianie?

Krystyna Romanowska

Mieux, mais pas bien” – tak oceniają swoje samopoczucie Francuzi. Czyli: niby dobrze, ale jednak... nie najlepiej.

Hiszpanie desperują: „Jesteśmy najbardziej zaburzonym psychicznie krajem w Europie!”. Dziennik „El Mundo” kilka miesięcy temu alarmował: „Prawie 3 miliony Hiszpanów miało myśli samobójcze. Psychiatrzy ostrzegają, że w nadchodzących latach Hiszpania będzie potrzebować co najmniej 1850 specjalistów więcej”. 17 proc. populacji twierdzi, że cierpi na depresję, a kolejne 16 proc. cierpi na stany lękowe, fobie lub stres pourazowy. Prawie połowa Hiszpanów zażywa co najmniej raz w miesiącu (albo częściej) tabletki nasenne, przeciwłękowe lub przeciwdepresyjne.

Niemcy protestują – między innymi na łamach portalu „Psychologie Heute”: „nie pozwolimy zrobić z siebie niewolników w pracy!” i zastanawiają się: „mam już ADHD czy to tylko codzienny stres?”.

Włochy trwają w emocjonalnym uśpieniu, jakby ciągle analizowały COVID-owe sny.

Baltowie, zwłaszcza Litwini, walczą z niechlebną statystyką samobójstw (w 2022 r. było ich w nie-

spelna 3-milionowym kraju 527). Rok temu Arunas Dulkys, minister zdrowia Litwy, zatwierdził narodowy plan na rzecz zapobiegania samobójstwom do 2026 roku.

Chyba tylko Skandynawowie trzymają jakąś taką równowagę psychiczną – jak przekonują, dzięki przerwie na kawę (dzięki ci, szwedzka fikko).

– Ludzie myślą, że w Grecji tańczy się wspólnie i śpiewa. Nic z tego nie jest prawdą. Pograżamy się w chaosie – mówi Lily Anagnostopoulou, psycholożka i terapeutka z Aten.

– Wszyscy czują się bardzo, bardzo samotni. Budowanie wspólnoty w tych czasach jest niemożliwe – dodaje Enwar Cesko, psycholog i terapeuta z Prisztiny, członek Kosovo Association for Psychotherapy.

84 miliony ludzi w Unii Europejskiej doświadcza problemów ze zdrowiem psychicznym. Całkowity roczny koszt problemów zdrowia psychicznego w 27 państwach UE i w Wielkiej Brytanii to około 4 proc. PKB. W samej Unii – ponad 600 mld euro.

Zdaniem WHO niespełna jedna czwarta osób cierpiących na depresję w krajach rozwiniętych otrzymuje fachową pomoc. W krajach ubogich 3 proc. Eurostat dodaje: 54 proc. Europejczyków nie dostało pomocy specjalisty, kiedy tego potrzebowali.

Prawie połowa mieszkańców Starego Kontynentu (46 proc.) w ciągu ostatnich 12 miesięcy

doświadczyła problemów emocjonalnych lub psychospołecznych, takich jak depresja lub niepokój.

18 września na ekrany francuskich kin wszedł pośmiertny film reżyserki Sophie Fillières „Ma vie ma gueule” (co w wolnym tłumaczeniu można rozumieć jako „Moje życie to moja sprawa” albo bardziej dosadnie: „Odwalcie się ode mnie”). Opowiada o perypetiach 55-letniej Barberie Bichette, dla przyjaciół Barbie, którą gra znakomita Agnès Jaoui. Głównej bohaterce nie jest w stanie pomóc nawet jej terapeuta, który – jak mówi – sam znalazł się „w impasie”. Szuka więc innych sposobów na poradzenie sobie z bólem życia.

„Barbie” z „Ma vie ma gueule” może być symbolem każdego mieszkańca Europy, który zmaga się z bólem istnienia. Ale ten cierpiący Europejczyk i tak ma lepiej niż reszta świata – przynajmniej ma świadomość, że nie jest sam. Nie ma lepiej przebadanej ludności pod względem zaburzeń psychicznych niż mieszkańcy Starego Kontynentu.

– Dzięki względnemu dobrobytowi mogą rozwijać się badania dotyczące dobrostanu i życia psychicznego ludzi. Mamy na to czas i przestrzeń, podobnie jak na to, że w większym stopniu możemy się zajmować swoim życiem wewnętrznym – mówi prof. Małgorzata Dragan z Katedry Psycholo-



FOTRAGGEDSTONE/SHUTTERSTOCK

30

• MILIONY
HISZPANÓW
miało myśli
samobójcze

25

• RAZY
wrosło spoży-
cie antydepre-
santów w Eu-
ropie w latach
2000-20

46

• PROC. EURO-
PEJCZYKÓW
w ciągu
ostatnich
12 miesięcy
doświadczyło
problemów
emocjonalnych
lub psychospo-
łecznych

gii Zdrowia i Rehabilitacji Wydziału Psychologii UW, przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Badań nad Stresem Traumatycznym. – To, na co kiedyś nie zwracano uwagi, ignorowano czy lekceważono, a nawet za co karano, stało się teraz obiektem zainteresowania badaczy. Choćby to, czym ja się zajmuję – czyli nasilone reakcje stresowe w sytuacjach ekstremalnych, takich jak wojna. Do tego dochodzą świadomość praw człowieka oraz rozwój badań naukowych w zakresie psychologii klinicznej i psychiatrii.

Po pandemii kondycję psychiczną Europejczyków zbadał Eurofound, czyli Europejska Fundacja na rzecz Poprawy Warunków Życia i Pracy, opublikował raporty „Living, working and COVID-19” i „Impact of COVID-19 on mental health”. Swoje badania zrobiło WHO – „Mental Health and COVID-19: Early evidence of the pandemic’s impact” – i OECD („COVID-19 and Well-being: Life in the Pandemic” (2021). Pracowników badały Gallup („State of the Global Workplace 2021”) i Deloitte („The Workplace Burnout Study” 2022). Własną analizę przygotowali także naukowcy z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego.

– Wszystkie badania pokazują wyraźny wzrost nasilenia stresu, niepokoju, a to się od razu przełożyło na wzrost objawów lękowych, depresyjnych, stresu traumatycznego. Charakterystyczne dla pandemii były zaburzenia adaptacyjne – podsumowuje prof. Dragan.

Grant Hilary Brenner, amerykański psychiatra, opisał jakiś czas temu w portalu Psychology Today rodzaje snów, jakie śnili Włosi podczas najgorszych miesięcy pandemii. Naukowcy przebadali 598 osób w wieku 18-70 lat. Zebrano ponad tysiąc sennych narracji.

Najwidoczniej Włosi mieli talent proroczy: wysnily się im największe strachy, jakie stały się dzisiaj udziałem Europejczyków, czyli (za Eurostatem) oprócz pandemii: niepewność ekonomiczna, presja społeczne i gospodarcze, agresja Rosji na Ukrainę. Oraz ponadczasowe, największe deficytowe pragnienia: miłość, poczucie przynależności, sens pracy i życia.

Włochom śniły się idylliczne imprezy rodzinne (np. wspólna jazda na łyżwach), ale też sceny przemocy i śmierci, zdrady, samotności i separacji. Widzieli siebie zagubionych i bezsilnych na lotniskach, w szpitalach, w poradniach. Pojawiały się sny o wodzie i powodzi, trzęsieniach ziemi, burzach, katastrofach. Ludzie uciekali przed policją i agresywnymi żołnierzami. Oczywiście w marzeniach sennych był też obecny motyw wirusa: ukrywanie się przed tłumem lub odwrotnie – bycie w tłumie bez maseczki.

Enwar Cesko, psycholog i terapeuta z Prisztiny, potwierdza intuicyjnie rozumiane przyczyny kryzysu psychicznego mieszkańców Europy: – Ekonomia, sytuacja polityczna, w tym zagrożenie wojną, wybory w USA, zmiany klimatu, rozpad wspólnoty, rosnące różnice klasowe – wymienia. Opowiada, że dwa dni przed rozpoczęciem powodzi na południu Polski prowadził warsztaty w Jeleniej Górze i teraz lepiej rozumie „przedmioty” swoich badań, gdy sam doświadczył emocjonalnych skutków takiej katastrofy.

Grecka psycholożka dodaje do tego brak trwałości. – Ludzie dosłownie nie mają się na czym oprzeć. Wszystko jest kwestionowane: autorytety, wartości, nawet pleć. Trudno nie być w kryzysie – mówi Lily Anagnostopoulou.

Kiedy rok temu spytano Europejczyków, czy uważają, że ostatnie wydarzenia na świecie (pandemia COVID-19, rosyjska agresja na Ukrainę, kryzys klimatyczny, bezrobocie oraz koszty żywności i energii) „w pewnym stopniu” lub „znacząco” wpłynęły na ich zdrowie psychiczne – 62 proc. obywateli UE odpowiedziało: „tak”.

Minął rok i z jesiennego sondażu zrobionego na zlecenie Parlamentu Europejskiego wynika, że **41 proc. Europejczyków najbardziej martwi sytuacja gospodarcza** ich kraju. **Sytuacja międzynarodowa niepokoi 34 proc.** obywateli Unii, **problemy związane z migracją – 28 proc.**, a **przestępczość – 17 proc.** Co ciekawe, na problemy mieszkaniowe wskazało jedynie 10 proc., a na bezrobocie – 11 proc.

Z innego badania – Eurobarometr – nieco wcześniejszego, bo przeprowadzonego wiosną, a opublikowanego niedawno, możemy się dowiedzieć, że mieszkańców starego kontynentu w większym stopniu niż dotychczas **zaczynają niepokoić ekstremalne zjawiska pogodowe – 38 proc.** Drugie miejsce zajęły **zagrożenia związane ze zdrowiem, np. pandemia – 27 proc.**, a trzecie – **powodzie – 26 proc.**

Ekstremami pogodowymi najbardziej niepokoją się Grecy (61 proc.), potem: Maltańczycy, Słoweńcy, Węgrzy i Holendrzy. **Tylko 35 proc. Hiszpanów obawia się ekstremalnych zjawisk pogodowych**, ale po tragicznej jesiennej powodzi i niedawnych gigantycznych ulewach w Maładze przestraszonych znacznie przybędzie.

Skandynawowie – przede wszystkim Szwedzi i Duńczycy – jako mniej trapieni ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi **obawiają się nie natury, ale technologii**, zwłaszcza zagrożenia cyberatakiem (odpowiednio 57 proc. i 49 proc.).

Wysoki poziom strachu mają Estończycy – 49 proc. – a jest on **związany z zakłóceniami infrastruktury krytycznej**, czyli obiektów obronności państwa, transportu, usług świadczonych – a więc prawie wszystkich – przez internet. Zwiąże można podsumować, że narody bałtyckie – bo załębieni są również Łotysze – jako bliscy sąsiedzi Rosji boją się wojny hybrydowej. Z tego trendu **wylamują się Litwini, których martwi głównie przestępczość** – żyją w przekonaniu, że ich kraj jest bardzo niebezpieczny, choć nie potwierdzają tego statystyki policyjne.

Co ciekawe, jedynym krajem, gdzie **respondenci wspominają o „napięciach politycznych lub ge-**

opolitycznych”, są Niemcy – **38 proc.** I zdaje się, że ten ich strach właśnie się ziścił w postaci przedterminowych wyborów.

Ale czy przypadkiem oprócz obiektywnych stresorów zewnętrznych na samopoczucie Europejczyków nie wpływa właśnie owo skoncentrowanie się na swoim życiu wewnętrznym?

To pytanie pozornie niepoprawne, bo podważające nasze prawo do autoidentyfikacji i subiektywnych odczuć, ale zasadne, zważywszy na wyraźnie zjawisko autodiagnozowania się przez internet. 16 proc. Hiszpanów uznało, że ma depresję, na podstawie testu z internetu. Poglębiona autoanaliza pomaga czy przeszkadza?

– Wartością na pewno jest uznanie ludzkiej słabości, także tej natury psychicznej. Pamiętamy, że spora część społeczeństwa – aktualnie jedna na osiem osób, jak szacuje WHO, a jeszcze więcej w ciągu swojego życia – ma objawy zaburzeń psychicznych. Na szczęście często mają one charakter przejściowy, ale czasem niestety przewlekły. Jednocześnie psychoterapeuci wskazują, że ważne jest życie tu i teraz, a nie nadmierne rozpamiętywanie przeszłości czy lękowe koncentrowanie się na przyszłości – rozstrzyga prof. Małgorzata Dragan.

Potwierdzają to badania, z których wynika, że zarówno ruminowanie – czyli, potocznie mówiąc, nieustanne rozkminianie – przeszłych zdarzeń, jak i zamartwianie się nie są dla nas korzystne. A psycho-terapia, po którą coraz częściej sięgamy, powinna pomóc nam znaleźć takie sposoby radzenia sobie z rzeczywistością, żeby nie nasilać objawów, tylko je minimalizować.

W 1947 roku angielski poeta William H. Auden napisał poemat „The Age of Anxiety” uznany za jedno z najważniejszych świadectw powojennego pełnego niepokojów świata. Jest w tym utworze fragment o „dzieciach, które boją się nocy, które nigdy nie były szczęśliwe ani dobre”.

Prawie 80 lat później znany amerykański psycholog społeczny Jonathan Haidt napisał książkę „The Anxious Generation. How the Great Rewiring of Childhood Is Causing an Epidemic of Mental Illness” („Pokolenie lęku. Jak wielkie przeprogramowanie dzieciństwa wywołuje epidemię zaburzeń osobowości”). Rozprawia się w niej ze zdziecinieniem i niedojrzałością dorosłych we współczesnym świecie, a infantylizm uważa za główną przyczynę zaburzeń psychicznych.

– Przez dekady, jeśli nie setki lat, docelowo w procesie wychowania miał powstawać człowiek mający w sobie rdzeń stabilności, zdolny do walki z „przeciwnościami losu”. Psychologia nazywała to różnie, najtrafniejszym terminem chyba jest rezyliencja. W ciągu ostatnich lat, przypuszczalnie na skutek upadku wspólnotowości, zwiększenia dobrobytu i indywidualizacji, mamy jednak do czynienia z sytuacją, w której zewnętrzna rzeczywistość łatwiej pokonuje człowieka niż niegdyś – analizuje terapeuta Jacek Lekki.

– Rzecz jasna zmieniły się też okoliczności – trwają wielkie procesy, na które nie mamy wpływu, jak kryzys klimatyczny, inne, które kiedyś były ograniczone terytorialnie, nawet jeśli miały zasięg krajowy czy kontynentalny, stały się dosłownie globalne, jak zmiany ekonomiczne czy geopolityczne. Z infosfery też nie da się już uciec, bo urosła do rozmiarów alternatywnej rzeczywistości i zaczęliśmy po prostu w niej żyć. Bezradni wobec tych zjawisk regresujemy się do pozycji dziecka, którym ktoś ma się zaopiekować. Tym kimś jest terapeuta, psycholog, psychiatra – kwituje terapeuta.

Jego zdaniem, gdyby spojrzeć na kondycję współczesnego człowieka z klasycznej freudowskiej perspektywy: „człowiek zdrowy jest zdolny do pracy, miłości i zabawy”, mielibyśmy gorzką refleksję. – Te trzy sfery są dzisiaj w kompletnym kryzysie: poczucie więzi wiąże się z poczuciem stałości, którego trudno jest szukać w świecie pełnym ciągłych nowych propozycji. Wolimy wymieniać, niż naprawiać. Świat nie sprzyja stabilności.

Prof. Magdalena Dragan: – W wielu branżach ludzie mają poczucie bezsensu swojej pracy, bo ona tylko wtedy jest satysfakcjonująca, kiedy ma jakieś znaczenie, a praca jedynie dla spłaty kredytu nie do końca się w tym mieści.

Dehumanizująca praca – wszyscy kojarzymy, jeśli nie z reportaży i filmów dokumentalnych, to z nasłuchu – sceny z magazynów Amazona, ale pomyślmy

też o przykładach z naszego korporacyjnego, szkolnego czy urzędowego podwórka – wpływa destrukcyjnie na dobrostan.

– Ludzie muszą mieć poczucie chociażby minimalnego sensu. Jeśli on nie wypływa z celu wykonywanej pracy, niech da go dobry, zgrany zespół, identyfikacja z miejscem pracy czy docenianie przez pracodawcę. Socjologowie wskazują, że w najmłodszym pokoleniu następuje odwrót od pracy skoncentrowanej na efektywności, wyniku, wykonywanej tylko po to, by po fajrancie nie martwić się stanem konta. Współcześni 30-latkowie zdają się lepiej chronić zdrowie psychiczne. Trzymam kciuki, żeby im się udało.

Problem w tym, że równocześnie rolę higieniczną przestała odgrywać zabawa, która ze zwykłej rozrywki czy bycia z innymi stała się konsumpcją. – Obecnie, żeby się bawić, i wcale nie mam na myśli od razu wakacji na Malediwach, trzeba mieć za co. Na to nakłada się duża presja związana z ciągłym relacjonowaniem wszystkiego w internecie, która sprawia, że zabawa staje się kolejnym zadaniem do wykonania. No i sporo ludzi jest zwyczajnie zmęczonych przymusem pokazywania w mediach społecznościowych, jakie to się ma wspaniale i szczęśliwe życie – analizuje prof. Dragan.

Jakby tego było mało, zabawa, z definicji będąca przeciwieństwem pracy, też ulega presji efektywności. Coraz częściej – co widać w różnych tęczowych akademiach rozwoju i klubach eduprzygody czy nawet na placach zabaw – nie wystarczy po prostu się dobrze bawić, zabawa musi rozwijać, nie tak po prostu, kształtując relacje czy dając oddech umysłowi, ale w konkretny, określony sposób.

Nikt lepiej nie ośmiesza fake szczęścia współczesnego człowieka w social mediach niż australijska twórczyni komediowa Celeste Barber. W jednym z ostatnich filmików na poranną mantrę tańczącej seksownej influencerki w skąpym zeberkowym bikini i jeszcze bardziej skąpych stringach („Mów to każdego ranka i każdej nocy/ Jestem zdrowa/ Mam się dobrze/ Jestem boska/ Jestem sexy/ Jestem bogata/ Wszystko przychodzi do mnie w odpowiednim czasie/ Jestem połączona z uniwersum”) odpowiada tańcem w zabudowanych kremowych majtasach, jakie kojarzymy z bazarowych stoisk, i tekstem: „Najczęściej jestem zmęczona i głodna/ Nie pamiętam, kiedy ostatnio nie płakałam/ Wszechświat próbuje lecieć ze mną w kulki/ Idę popłakać w poduszkę i nachlać się winą”.

Na jednym z memów autorstwa popularnej rysowniczk i ilustratorki Marty Frej widzimy dwoje dzieci. Jedno mówi: „Mam dość, moi rodzice zachowują się, jakby nigdy nie byli dziećmi”. Drugie: „A moi – jakby nigdy nie byli dorośli”. W jednym obrazku kwintesencja współczesnego rodzicielstwa, które coraz częściej bywa rozpatrywane pod kątem neotoddlerizmu, czyli smarkaterii – dosłownie ten termin padł w niedawnym artykule popularnego komentatora Gurwinder Bhogala w portalu „The Prism”.

Trudno nie ulec wrażeniu, że za kiepskim samopoczuciem młodych ludzi stoją kiepsko czujący się rodzice. David French, publicysta „New York Timesa”, kilka lat temu zadał ważne pytanie: „A co, jeśli nastolatki są smutne i zestresowane, bo ich rodzice tacy właśnie są?”.

Psychiatrzy zauważają, że rodzice w kryzysie psychicznym nie mają przestrzeni, żeby być z dzieckiem, nie potrafią zdobyć się na empatię, obserwować, cieszyć, pocieszać, ale także „pomieszczać w sobie” jego smutki, zmartwienia, lęki. W rezultacie dziecko czuje się samotne w swoich doświadczeniach. – Nie da się być smutnym życiowo, przerażonym i wściekłym życiowo i jednocześnie spokojnym, cichym, kojącym w relacji z dzieckiem – zauważa dr Agnieszka Dąbrowska,

Psychoterapeutka z Aten: Najczęściej spotykam się z napadami paniki u bardzo młodych ludzi. Ich strach dotyczy przyszłości, z powodów ekonomicznych – kryzys, bezrobocie, rosnące ceny – nie są w stanie się usamodzielniać, żyją z rodzicami



• MLD EURO

to roczny koszt koszt problemów zdrowia psychicznego w 27 państwach UE

psychiatra z warszawskiego Ośrodka Relacje.

Prof. Magdalena Dragan: – W kontekście zjawiska „dorosłej smarkaterii” niezwykle ważny jest wątek odpowiedzialności. Ona bardzo się w dzisiejszych czasach rozmyśla, a przecież jest kluczowa we wszystkich przestrzeniach naszego życia: rodzicielstwie, pracy, relacjach. Bez odpowiedzialności nie ma wspólnoty, a bez wspólnoty niemożliwe jest prawidłowe życie społeczne. Odpowiedzialność ponoszę za samego siebie, własne emocje („mogę cierpieć, ale muszę się pozbierać”), potem – za rodzinę, najbliższych, drugą osobę i w końcu społeczeństwo. Egoizm i nastawienie na krótkoterminowe, wyłącznie własne korzyści jest z punktu widzenia społeczeństwa bardzo szkodliwe.

Ale czy cała winą spoczywa na nieogarniętych dorosłych? Czy to nie jest – trochę jak w kryzysie klimatycznym – przerzucanie odpowiedzialności za rozwiązanie systemowego problemu na jednostkę? Przecież niedojrzałym czy pogubionym rodzicom nie pomaga dezorganizacja i brak wsparcia w szkołach czy kiepska opieka psychiatryczna. A przede wszystkim ekonomiczna.

– Najczęściej spotykam się z napadami paniki u bardzo młodych ludzi. Ich strach dotyczy przyszłości, z powodów ekonomicznych – kryzys, bezrobocie, rosnące ceny – nie są w stanie się usamodzielniać, żyją z rodzicami. Najczęściej pracują jako kelnerzy i kelnerki, wyżej nie da rady nawet z niezłym dyplomem – relacjonuje Lily Anagnostopoulou, psycholożka i terapeutka z Aten. – Z Grecji wyemigrowało w ostatnich latach milion młodych osób.

Z drugiej strony w państwach o lepszej sytuacji gospodarczej niż Grecja młodzi ludzie stają – mimo podpartego danymi i prognozami ekonomistów poczucia, że są pierwszym pokoleniem, które będzie miało gorzej, a nie lepiej niż rodzice – przed zjawiskiem nadmiaru wyboru. – Młódzież jest wobec niego bezradna, bo nie wie, na czym i na kim się w tych wyborach oprzeć. Z wolności, która stała się udziałem młodych ludzi, trudno im realnie skorzystać – uważa prof. Dragan. – A na to nakłada się stan niepokoju wielu – zwłaszcza młodych

– ludzi związany ze świadomością skutków katastrofy klimatycznej.

Młode pokolenie naprawdę się tym przejmują – nawet jeśli nie zamartwia się nieustannie i obsesyjnie, jak wydaje się niektórym zręczliwym krytykom z pokolenia dziadków, to poczucie schyłkowości i lęku czai się z tyłu głowy. Podsycające przez nieustanny zalew złych informacji, bo nawet jeśli 15-, 20-, 25-latki korzystają głównie z mediów społecznościowych, to trudno, żeby nie docierała do nich lawina nagłówków w tradycyjnych mediach, które są pełne katastrofy klimatycznej, szaleństw pogody, przekroczonego progu temperatur. – A konkretne katastrofy, takie jak niedawne powodzie w Polsce czy obecne w Hiszpanii, ukonkretniają ten niepokój, dowodząc słuszności katastroficznych prognoz, są dowodem na to, że nie czeka nas, ludzi, nic dobrego – mówi psycholożka.

Badanie Eurobarometru wykazało, że 91 proc. osób w wieku 15–24 lat uważa, że zwalczanie lub powstrzymanie zmian klimatu może pomóc poprawić ich własne zdrowie i samopoczucie. Z tą tezę zgadza się – wbrew opinii, kolejnej obiegujowej, o sceptycznym, samozadowolonym i uważającym, że nic złego się nie dzieje, pokoleniu boomersów – 84 proc. osób w wieku 55 lat i starszych. Prawie co drugi Europejczyk – 49 proc. – postrzega zmianę klimatu jako największe wyzwanie dla przyszłości Europy.

W popularnym memie dwóch ludzi siedzących przed komputerami przybija sobie piątkę. Podpis: „Cieszę się, że jesteśmy na tym samym antydepresancie”.

Według danych Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w latach 2000–20 ich spożycie w 18 krajach Europy wzrosło prawie 2,5 razy. Optymistyczna interpretacja jest taka, że jesteśmy coraz bardziej świadomi znaczenia zdrowia psychicznego i szerzej: wpływu dobrostanu na nasze całe życie. Czy to coś, co może martwić?

– Oczywiście, że wzrost zażywania leków psychiatrycznych jest niepokojący, to zjawisko powinno być monitorowane i analizowane. Należy jednak pamiętać, że – zaznaczam, że zawsze osoba je przyjmująca musi się znajdować pod opieką lekarza – leki tego typu są w wielu problemach ze zdrowiem psychicznym niezwykle pomocne – odpowiada prof. Dragan.

Pozostać w dobrym – względnie, bo jak pamiętamy, praktycznie każdy na którymś etapie życia doznawał cierpienia psychicznego, i to nie zwykłego dyskomfortu, tylko realnego stanu chorobowego, najwyżej niezdiagnozowanego – zdrowiu psychicznym pomagają wzorce skutecznego radzenia sobie z negatywnymi emocjami, najczęściej wyniesione z domu.

Pierwsze nasuwa się rozmawianie o uczuciach, ale nie tylko – to, wyciszanie, eksperymenty, uprawianie sportu, medytacja, także modlitwa. Osoby borykające się z objawami zaburzeń często nie mają takich wzorców. W ich sytuacji łatwiej jest sięgnąć po tabletkę, bo jej działanie przynosi szybciej oczekiwany efekt.

Z pojęciem zdrowia psychicznego czy dobrostanu psychicznego wiąże się niesłychanie ciekawa dyskusja toczona w środowisku europejskich psychiatrów od prawie 10 lat. Część specjalistów – najczęściej z Włoch, Danii, Wielkiej Brytanii i Niemiec – uważa definicję WHO kładącą nacisk na poczucie szczęścia, zadowolenia i bycia wydajnym za zbyt hedonistyczną, zbyt prostą i nieuwzględniającą złożoności życia ludzkiego.

Psychiatrzy pytają: – Ludzie o dobrym zdrowiu psychicznym także mają do czynienia z wieloma negatywnymi emocjami, takimi jak smutek, gniew lub nieszczęście. Większość nastolatków często jest niezadowolona ze swojej sytuacji towarzyskiej, rówieśniczej, rodzinnej, nie ma spójności społecznej. Czy to oznacza, że nie są zdrowi psychicznie? A gdy osoba odpowiedzialna za swoją rodzinę czuje się zdesperowana po utracie pracy, zwłaszcza w sytuacji ograniczonych możliwości zawodowych, to daje podstawy do kwestionowania jej zdrowia psychicznego?

Być może czeka nas redefinicja pojęcia „zdrowie psychiczne”. Na razie terapeuci mówią, że – łatwo powiedzieć – trzeba odbudowywać wspólnoty, że właśnie bycie razem jest najlepszym lekarstwem na lęki człowieka.

Ba, łatwo powiedzieć, przecież właśnie niemożność bycia razem – od „razem” w wymiarze osobistym, prywatnym, uczuciowym czy rodzinnym po „razem” w grupie społecznej i społeczeństwie – jest jedną z głównych przyczyn kiepskiej kondycji psychicznej Europejczyków. Enwar Cesko: – Budowanie wspólnoty trzeba zacząć od pojedynkowania człowieka. To on ma w sobie odkryć taką potrzebę. Jego zaangażowanie w rodzinę, potem w społeczność lokalną, kraj musi być kompatybilne z jego dążeniami i potrzebami. Tak, wiem, to nie zwykle trudne.

I tu pomoc psychoterapeuty bywa nieoceniona. A z drugiej strony – byle tylko nie doszło do sytuacji, że nie podejmemy żadnej życiowej decyzji bez konsultacji z naszym terapeutą.

Ale może do tego nie dojdzie. Bohaterka „Ma vie ma guele” po pobycie w szpitalu (czy raczej ekskluzywnej specjalistycznej klinice) decyduje się na samotną podróż do szkockich górach. „Wspaniała lekcja odporności” – mówią krytycy filmowi. „Cóż za rezyliencja!” – nazwą to po swoje- mu terapeuci.

Mogliby przepisać ten film na receptę swoim pacjentom. ●



Parlament Europejski

• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEJĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.



• Imigranci z Afryki wyłowieni przez statek hiszpańskiej straży przybrzeżnej, czekają w Arrecife na Lanzarote (jednej z Wysp Kanaryjskich) na pracowników Czerwonego Krzyża. (5.11.2024)

PRZYBYSZE I MITY

Ze strategią migracyjną jest jeden problem. Jak ich przekonać, aby przyjechali?

Klaus Bachmann

W debatach na temat migracji – które obecnie są głównie debatami o jej ograniczaniu – przewija się kilka nieporozumień i skrótów myślowych, które powodują, że eksperci i politycy wyciągają z wiarygodnych i precyzyjnych danych wnioski, które dla funkcjonalnej polityki migracyjnej są całkowicie nieprzydatne. Nazywam to popularnymi mitami o migracji. Są one tak popularne, że nikt ich nie kwestionuje – choć ich oparcie w faktach jest wątpliwe albo w ogóle nie istnieje, a czasami badania empiryczne dowodzą przeciwności takiego mitu. Oto one.

„Państwo musi i może kontrolować migrację”

Według popularnej narracji Niemcy albo, jak kto woli, kanclerz Merkel w 2015 roku „wpuściła prawie milion migrantów”. Potem główne siły polityczne Niemiec uznały, że 2015 rok nie może się już nigdy powtórzyć. W kolejnym roku liczba wniosków o azyl i ochronę międzynarodową osiągnęła kolejne rekordy, po czym spadła, w 2023 roku znowu wzrosła, po czym spadła ponownie, tym razem dość drastycznie.

Wszystkie siły polityczne (z wyjątkiem Zielonych i – od ok. dwóch lat rozpadającej się – Lewicy) zwracają się do ograniczenia „nielegalnej migracji”, ale nie ma to żadnego odbicia w statystykach. Ona raz rośnie, raz spada, obojętnie, kto i jak rządzi.

Rząd PiS jak lew walczył z unijnym systemem relokacji migrantów w 2016 roku,

dzięki którym do Polski miało trafić niecałe 8 tysięcy migrantów z Włoch i Grecji. PiS uzasadniał swój opór obawami przed terroryzmem i islamizmem.

W latach następnych wydawał wizy pracownicze dla setki razy większej rzeszy imigrantów z Azji, w tym wielu muzułmanom z krajów ogarniętych krwawymi konfliktami i zamachami terrorystycznymi.

W 2022 roku ten sam rząd wpuścił do Polski ponad 3 miliony Ukraińców, z których ok. miliona zostało i dołączyło do tych, którzy żyli i pracowali tu już od 2014 roku. Dosłownie w ciągu kilku tygodni poziom imigracji w Polsce przewyższył nawet najśmielsze prognozy migracyjne.

Po 2004 roku Polska stała się krajem emigracyjnym, kiedy ok. 2 miliony Polaków wyjechały na zachód, korzystając z unijnej wolności osiedlania się. 10 lat później zamieniła się w kraj imigracyjny.

W Polsce toczono gorące debaty o tym, kogo wpuścić, dlaczego Ukraińcy są „prawdziwymi uchodźcami”, bo uciekają spod rosyjskich bomb, a Syryjczycy nie, choć też uciekają od rosyjskich bomb. Czy Angela Merkel w 2015 r. „zaprosiła” uchodźców i czy przestaliby wędrować do Niemiec, gdyby ich nie „zaprosiła”? Czy Ukraińcy dla Polaków są bliżsi kulturowo od Syryjczyków i Afgańczyków, bo nie są muzułmanami?

Wszystkie te spory zakładają, że państwo może kontrolować migrację, że Angela Merkel miała taką władzę, aby „wpuścić” albo „nie wpuścić” 800 tysięcy wędrowców ze szlaku bałkańskiego. Czy Mateusz Morawiecki mógł „nie wpuścić” Ukraińców w marcu 2022 roku? Czy Merkel i Morawiecki po prostu robili dobrą minę do tej gry, kiedy nie nakazali policji federalnej (w RFN) i Straży Granicznej zatrzymać uchodźców na granicy?

Odpowiedź jest dość prosta: nawet gdyby kazali policji strzelać do imigrantów – co w obu przypadkach byłoby ciężkim przestępstwem w świetle prawa krajowego i międzynarodowego – to i tak nie mogli powstrzymać tych ruchów, bo imigrantów było wielokrotnie więcej niż funkcjonariuszy.

Przy takiej wielkości wędrowek państwa mogą jedynie dostosować swoje instytucje i wydatki do tego, co się dzieje, powstrzymać nie mogą niczego.

Ten, kto marzy o tym, że rząd pewnego dnia wyda dekret albo parlament ustawę zawieszającą prawo do azylu albo zamyka granice i napływ migrantów ustaje, niech marzy o czymś innym. To się nie udało żadnemu państwu na świecie.

Państwo może natomiast – w ograniczonym zakresie – sterować migracją, to znaczy ustawiać warunki, które rzutują na strukturę migrantów. Polityka, która zakłada, że możemy trwale ograniczyć albo nawet zastopować imigrację będzie nieskuteczna.

Polityka, która chce wpływać na to, kto i z jakim uzasadnieniem imigruje, ma większe szanse na skuteczność.

Przykład: jeśli państwo ogłasza i uchwała odpowiednie prawo, że przyjmuje uchodźców politycznych, ale nie chce migrantów ekonomicznych, to chętni do przyjazdu będą przedstawiali władzom imigracyjnym dowody na ich prześladowania, a dyplomy i świadectwa chowają na czas po przyznaniu im statusu uchodźcy.

Jeśli państwo ogłasza, że szuka migrantów zarobkowych, to chętni do osiedlania się wyciągną dyplomy i świadectwa świadczące o ich wysokich szansach na rynku pracy. Problem w tym, że w obu przypadkach to mogą być te same osoby, tylko uzasadnienie przyjazdu będzie inne.

„Musi istnieć jakaś granica dla imigracji”

2 Jeśli państwo nie może ani kontrolować, ani zastopować imigracji, to błędne jest założenie o jakiejś granicy, po której przekroczeniu społeczeństwo przyjmujące nie może już integrować imigrantów. Jeśli nie jesteśmy w stanie zdefiniować takiej granicy i nie jesteśmy w stanie – po jej przekroczeniu – zatrzymać imigrację, to debata o takiej granicy nie ma sensu.

Pokazuje to akurat najnowsza historia Polski: przed 2022 rokiem nawet naj-

śmielsze prognozy nie zakładały, że liczba uchodźców w Polsce może się zwiększyć czterokrotnie w ciągu dwóch miesięcy. Ale tak się stało. Mimo to nowa strategia migracyjna rządu (dalej Strategia) wspomina o takiej mitycznej granicy, oczywiście bez wzmianki o tym, gdzie ona przebiega i co się stanie, jeśli zostanie przekroczona.

Jest to zgrabne sformułowanie, które działa na wyobraźnię, taka analogia do klęsk żywiołowych: jeśli woda rośnie poniżej pewnej z góry ustalonej miary, to dom się zawali i mieszkańcy się utopia.

Te analogie do powodzi, zalewów, fal migracyjnych są obecnie bardzo popularne, ale prowadzą do całkowicie fałszywych wniosków, nie mówiąc o tym, że samych uchodźców dehumanizują.

Nie jest to argument za tym, aby „przyjąć wszystkich” albo całkowicie zrezygnować ze sterowania migracją. Przemawiają za tym bardzo poważne powody, ale nie mają nic wspólnego z wiarą w istnienie magicznej granicy tolerancji naszych współobywateli i możliwości integracji nowych przybyszy.

„Ludzie boją się obcych”

3 Za wiarą o istnieniu takiej magicznej granicy, po której przekroczeniu społeczeństwo przestanie tolerować przybyszy, kryje się przekonanie, że ludzie boją się imigrantów. To kolejny mit.

Ludzie nie boją się imigrantów, których widzą na ulicy. Nikt nie boi się włoskiego, tureckiego, kurdyjskiego, hinduskiego albo pakistańskiego właściciela restauracji na rogu, kazachskiego kolegi z pracy lub afgańskiego hydraulika, który naprawia zlew.

Ludzie boją się anonimowych mas, które widzą w telewizji, w propagandzie antyimigranckich polityków i w internecie. Ludzie boją się „inwazji”, jaką zwolennicy brexitu umieścili na billboardach pod hasłem „the breaking point” (punkt, od którego się wszystko załamie), nie dodając, że scena rozgrywa się na Bałkanach.

Billboard przedstawia jedynie ludzi maszerujących przez łąkę – tych ludzi bali się Brytyjczycy, bo był to dla nich anonimowy

tłum. Tam, gdzie marsz się odbywał, miejscowi pomagali, jak mogli, dostarczając wodę, jedzenie, udostępniając łazienki albo podwożąc rodziny z dziećmi samochodem.

Pokazuje to dobitnie rozwój wypadków w Niemczech: tam, gdzie jest dużo obcokrajowców i ludzi o obcym pochodzeniu albo wyglądzie, antyimigrancka Alternatywa dla Niemiec (AfD) ma bardzo słabe wyniki.

Tam, gdzie imigrantów i ludzi uważanych za „obcych” (bez względu na to, czy mają obywatelstwo) prawie nie ma – jak w Turynii, Saksonii i Brandenburgii – strach przed anonimową masą imigrantów skłania ludzi do głosowania na AfD.

Miastem z największą populacją obcokrajowców w Niemczech jest Frankfurt nad Menem, gdzie jest nim co trzeci mieszkaniec (nie licząc Niemców o zagranicznym pochodzeniu). Tam poparcie dla AfD wynosi połowę tego, co ta partia notuje na poziomie krajowym – poniżej 10 proc.

Pirna, miasteczko w saksońskich górach, jest znane z poparcia dla skrajnej prawicy. Tam poparcie dla AfD sięga 30 proc., obcokrajowców jest mniej niż 5 proc.

Potwierdzają to nie tylko badania nad Frontem (obecnie Zgromadzeniem) Narodowym we Francji i Vlaams Blok (obecnie Belang) w Belgii, ale też całkiem nowe badania nad Niemcami. W wyniku przybycia uchodźców w 2015 r. niechęć wobec migracji rosła tam, gdzie ich nie ma albo prawie nie ma, natomiast stosunek do „obcych” poprawił się tam, dokąd ich skierowano.

To zjawisko nie ma żadnego odzwierciedlenia w mediach, które w ostatnich latach skupiały się na pojedynczych przypadkach, gdzie stosunkowo dużo imigrantów trafiło do stosunkowo małych gmin. Tam doszło nawet do gwałtownych protestów – ale zawsze przed przyjazdem imigrantów. Kiedy już dojechali, miejscowi przestali w nich widzieć anonimowe masy i zaczęli dostrzegać pojedynczych ludzi i rodziny.

„Integracja polega na tym, że imigranci dostosowują się do nas”

4 To, co na pierwszy rzut oka wygląda na oczywistość – że imigranci nie będą nam dyktować, jak mamy żyć u siebie – kryje w sobie jednak poważne przyczyny niepowodzenia integracji.

Imigranci nie będą nam nic dyktować, oni w pierwszym pokoleniu po przybyciu zazwyczaj w ogóle się nie organizują w grupach nacisku, lecz starają się przeżyć każdy na własną rękę albo co najwyżej przystępują do istniejących związków zawodowych i zrzeszeń.

To się zmienia zazwyczaj w drugim albo trzecim pokoleniu. Jeśli trafią do kraju, gdzie większość definiuje się według kryteriów etnicznych, to też zaczynają zakładać organizacje etniczne, narodowe i religijne. Wtedy społeczeństwo przyjmujące ma do czynienia ze swoim lustrzanym odbiciem: nacjonalizm miejscowych nie pozwala na integrację przybyszów, uważa ich za etnicznie innych, więc przybysze zakładają własne, nacjonalistyczne związki, stowarzyszenia, kluby i ewentualnie nawet partie.

Jeśli w danym kraju większość wyznaje otwarty, obywatelski, nieetniczny nacjonalizm (jak na przykład w Stanach Zjednoczonych i we Francji), nowi mieszkańcy integrują się łatwiej i szybciej.

Jedno natomiast jest pewne: ktoś będzie walczyć o ich interesy. Albo będą to przywódcy mniejszości narodowych, albo przywódcy organizacji obywatelskich, do których będą należeć i Polacy, i (na przykład) Ukraińcy.

Nie ma oczywiście prawnego obowiązku, aby zmienić system szkolnictwa, edukacji, dyskurs o przeszłości albo ustawodawstwo językowe ze względu na to, że w kraju znajduje się określony procent imigrantów.

Jeśli ich liczba będzie odpowiednio duża, to i tak wiele się zmieni bez konieczności uchwalenia nowego prawa. Już 20 lat temu w niektórych dzielnicach Waszyngtonu i Nowego Jorku połowa sprzedawanych na ulicy gazet była po hiszpańsku, a z niektórych usług można było korzystać tyl-

ko znając ten język, bo personel nie mówił po angielsku. Żadna ustawa tego nie przewidywała ani nie zakazała – wymusiły to siła nabywczą i liczebność Latynosów, tak jak w Polsce pojawiły się reklamy i instrukcje obsługi po ukraińsku.

Jeśli ustawodawca tego nie reguluje, znacznie to regulować rynek. Można też – przykładowo – w szkołach promować przekaz patriotyczny, że we wszystkich sporach historycznych między Polską, Ukrainą, Białorusią i Litwą to Polacy mieli rację – w myśl PiS-owskiej ustawy o IPN-ie, która nadal obowiązuje, jest to wręcz wskazane. Wtedy konflikty, które to spowoduje, rozgrywać się będą między nauczycielami, uczniami i ich rodzicami. Albo można odejść od koncepcji jedynie słusznej prawdy i zapobiec takim konfliktom przez dopuszczenie pluralistycznej debaty w szkołach.

Integracja imigrantów jest procesem obopólnym, czy nam lub imigrantom się to podoba, czy nie. Jest to argument szczególnie ważny dla tych, którzy w imigrantach widzą zagrożenie dla porządku publicznego.

W ich oczach może to być argument za ograniczeniem migracji – ale co, jeśli jest ona konieczna, aby przynajmniej przez określony czas łagodzić niż demograficzny, wyrównać deficyt rąk do pracy i równowa-

ją z narodowości, religii albo przynależności etnicznej, lecz z wieku, płci, pochodzenia, edukacji i doświadczenia imigrantów.

Niektórzy są bardziej skłonni do rozwiązania problemów za pomocą noża albo pistoletu, ponieważ sami wcześniej uczestniczyli w wojnach i rozruchach, stosowano wobec nich przemoc, pochodzą z prowincji, cechuje ich niski poziom wykształcenia i słabe kompetencje społeczne, i – a to już mocno ogranicza krąg skłonnych do radykalizacji – są młodymi mężczyznami gdzieś między 16. i 30. rokiem życia.

Kobiety – obojętnie w jakim wieku – rzadziej wchodzą w konflikt z prawem. Nie ma lepszego sposobu zapobiegania radykalizacji niż dawanie komuś odpowiedzialności, na przykład za żonę, dzieci, własną rodzinę. Nic tak nie ogranicza skłonności młodych facetów – w każdym kraju – do szaleństwa i naruszenia prawa niż własne potomstwo.

Wśród imigrantów z krajów patriarchalnych występuje jednak poważny deficyt kobiet – a ich szanse na rynkach matrymonialnych w krajach mało patriarchalnych są znikome – co z kolei sprzyja ich frustracji i radykalizacji.

Jeśli więc jednocześnie potrzebujemy więcej imigrantów – i to młodych, zdolnych do pracy – ale chcemy zapobiec ich rady-

Nic tak nie ogranicza skłonności młodych facetów – w każdym kraju – do szaleństwa i naruszenia prawa niż własne potomstwo

żyć ubezpieczenie społeczne i zdrowotne? Rozwiązaniem jest wtedy otwarcie niektórych służb dla obcokrajowców albo wprowadzenie szybkiej ścieżki do obywatelstwa, aby policja, służby specjalne, prokuratura mogły korzystać z wiedzy, jaką o swoich środowiskach mają imigranci.

Przykład z ostatnich dni: gdyby policja w Amsterdamie rozszyfrowała i prawidłowo zinterpretowała śpiewy izraelskich kibiców przed meczem Maccabi Tel Aviv przeciwko Ajax Amsterdam, wiedziałaby, że po meczu może dojść do rozruchów.

W ostatnich latach niemieckie urzędy ds. migracji i policja wiele razy borykały się z brakiem tłumaczy rzadkich języków podczas postępowań azylowych i śledztw dotyczących zorganizowanej przestępczości. Czasami tłumacz był nawet dyspozycyjny, ale policja nie mogła go zatrudnić, bo wcześniej pracował dla podejrzanych, przy których inwigilacji miał pomagać.

Głośne sprawy, kiedy media ujawniały, że dzięki tłumaczowi wrażliwe informacje z postępowań azylowych dostały się w ręce tajnych służb Turcji, spowodowały kilka lat temu ochłodzenie dyplomatyczne między RFN i Turcją.

W takich sytuacjach przydatni są policjanci z kompetencjami kulturowymi i językowymi na temat Turcji. Tego wtedy brakowało, mimo że policja zatrudnia dużo tureckich imigrantów z drugiego i trzeciego pokolenia i od wielu lat już nawet nie wymaga od nich niemieckiego obywatelstwa. W Polsce nie sposób zostać urzędnikiem państwowym, też w policji albo w służbach specjalnych, bez obywatelstwa polskiego.

Na tym nie koniec: kto się boi radykalizacji imigrantów i aktów terrorystycznych, będzie też za ograniczeniem migracji. Ale co, jeśli bez migracji się nie da?

W świetle badań między bajki można włożyć podsycane przez prawicowo-populistycznych i skrajnie prawicowych polityków obawy przed muzułmanami, islamem albo Arabami. Problemy z integracją nie wynika-

ją z narodowości, religii albo przynależności etnicznej, lecz z wieku, płci, pochodzenia, edukacji i doświadczenia imigrantów.

„Unikajmy błędów innych państw”

5 Nadzieja, że Polsce uda się uniknąć błędów państw zachodnich w polityce migracyjnej, przewija się przez wiele debat. Strategia migracyjna rządu nawet wprost się do tego odwołuje. Problem w tym, że każde z państw Europy Zachodniej prowadziło inną politykę migracyjną, inną integracyjną i z innych powodów.

Niektóre państwa sprzyjały migracji zarobkowej (np. Niemcy w latach 1950) z powodu braku rąk do pracy – i w dużej mierze osiągnęły swoje cele bez większych kłopotów dzięki migracji Turków, Hiszpanów, Portugalczyków.

Inne państwa odnotowały dużą imigrację, która była skutkiem dekolonizacji – grupy etniczne, organizacje i jednostki, które przegrały walkę o niepodległość i uciekły przed zemstą zwycięzców, przeniosły się z Algierii, Tunezji i Afryki Zachodniej do Francji albo z Zairu, Burundi, Rwandy do Belgii, bez względu na to, czy czekały na nich tam miejsca pracy.

Masowe ucieczki z byłej Jugosławii trafiły na rekordowe bezrobocie w wielu krajach Europy Zachodniej – to zdecydowanie nie sprzyjało integracji uchodźców, ale trudno to uznać za błąd polityki migracyjnej.

Zresztą, jeśli wpływ państwa na procesy migracyjne jest faktycznie tak mały, jak namkreśliłem to na początku, to i większość zarzutów wobec takiej czy innej polityki mija się z celem. Lepiej ocenić taką politykę według tego, jak elastycznie przystosowuje się do ruchów migracyjnych, a nie według wygórowanych oczekiwań co do zastopowania albo kontrolowania ruchów migracyjnych. Te oczekiwania niestety nasi politycy nieustannie pobudzają, między innymi w Strategii.

Jeśli można wysnuć jakiś wniosek z polityk migracyjnych innych państw, to właśnie to: nie wyolbrzymiać możliwości państwa,

nie budzić nadmiernych oczekiwań, które potem jedynie spowodują rozczarowanie, frustrację i poparcie dla rzeczników rozwiązań autorytarnych.

Powyższe przykłady pokazują też, że imigracja młodych, zdolnych i chętnych do pracy ludzi – jak większość imigrantów ekonomicznych i politycznych z byłej Jugosławii – nie zawsze jest korzystna. Przy nieelastycznym rynku pracy może albo obniżyć poziom wynagrodzeń, zasilić czarny rynek pracy albo zwiększyć poziom bezrobocia.

Ale nawet elastyczny rynek pracy nie wszystko załatwia: im więcej taniej siły roboczej, tym większa niechęć pracodawców do inwestowania w technologie, które ją zastępują. Właściciel hotelu nie kupi robotów sterowanych za pomocą sztucznej inteligencji, jeśli ma wystarczająco dużo tanich kelnerów i personelu sprzątającego.

W tym sensie nawet ekonomiczne potrzebna imigracja zarobkowa może się przyczynić do zacofania gospodarki, która ją przyjmuje. Z tego względu żadna strategia nie powinna zakładać wyrównania całego deficytu siły roboczej imigracją.

Tego Strategia akurat nie robi, ale z innych powodów: z błędnego, ale w Polsce bardzo powszechnego przekonania, że dużo imigracji oznacza dużo kłopotów.

Prawie połowa ludności Luksemburga to obcokrajowcy, ale ani rozruchów, ani fal ksenofobicznych tam nie odnotowano.

W świetle cytowanych wcześniej danych o negatywnej zależności między obecnością imigrantów i niechęci wobec nich w Niemczech trudno to uznać za wyjątek od reguły.

„Imigrację i integrację trzeba planować”

6 Istnieją na tym świecie dwa skrajne modele integracji imigrantów – bardzo biurokratyczny i ekstremalnie liberalny. Żadne państwo nie stosuje tych modeli w 100 proc., ale jeśli miałbym wskazać państwa o liberalnym podejściu, to wymieniłby tak różne kraje, jak: Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, USA i Polskę, a na drugim biegunie umieściłbym Niemcy.

Dylemat Niemiec można sprowadzić do tego: ci imigranci, których chcieliby przyjmować, wybierają się do USA i Kanady, a tych, którzy chcieliby przyjeżdżać do Niemiec, osiedlić się i pracować tam, Niemcy nie chcą – to nisko kwalifikowani migranci z Afryki, Afganistanu i krajów arabskich.

Niemiecka polityka migracyjna tworzy więc odrębne kolejki dla przybyszów: w jednej, krótkiej i mało biurokratycznej, stoją obywatele UE, którym wolno praktycznie wszystko to, co wolno Niemcom. W drugiej stoją uchodźcy z Ukrainy (jeśli przyjechali po 24 lutego 2022!), którzy mogą pracować, mają dostęp do świadczeń społecznych i usług służby zdrowia i których biurokracja niemiecka maltretuje tak samo jak każdego obywatela Niemiec, każąc mu wypełnić na papierze setki formularzy, które na Ukrainie i w Polsce już od dawien dawna są cyfrowe.

Tuż obok jest kolejka dla „normalnych uchodźców”. Do czasu uzyskania statusu uchodźcy nie wolno im pracować, mają ograniczony dostęp do usług publicznych, ograniczone prawo poruszania się po Niemczech i często latami trzyma się ich w niepewności co do swojego prawa pobytu.

No i potem jest jeszcze mała kolejka tych, których Niemcy chcieliby zatrudnić: fachowców od IT z Indii, Afrykańczyków i Brazylijczyków z dyplomami lekarzy, pielęgniarzy i uprawnień do zawodów deficytowych.

W tej kolejce prawie nikt nie stoi, bo każdy w niej musiałby się nauczyć niemieckiego – w certyfikowanych kursach, gdzie stoi się w jednej kolejce z chętnymi z innych kolejek – niemieckiej biurokracji, nostryfikować swoje dyplomy. Kiedy to wszystko już zrobi, to i tak nie wie, czy może ściągnąć rodzinę do Niemiec.

W Polsce to jest prostsze i sprowadza się do zasady, że kto chce tu żyć, musi sobie radzić sam, sam się nauczyć języka, obyczajów i biurokracji, znaleźć sobie pracę,

mieszkanie i jak mu się nie uda, to musi żyć z bardzo niskich świadczeń społecznych.

Skutki widać na przykładzie Ukraińców. W Polsce większość ma pracę, ale pracuje poniżej swoich kwalifikacji z Ukrainy, w Niemczech większość nie pracuje.

Krótko mówiąc: tak, imigrację i integrację można rozplanować niczym grę na szachownicy, ale lepiej tego nie robić. Bo przy zbyt szczegółowym planowaniu może się na końcu okazać, że mamy dużo imigrantów, dużo bezrobotnych i mimo to olbrzymią liczbę nieobsadzonych etatów. Tak właśnie mają Niemcy. Ale nie dlatego, że imigranci nie chcą pracować – oni prawie zawsze chcą bardziej niż miejscowi, ale dlatego, że państwo przyjmujące nie przygotowało się do ich przyjęcia.

„Wojna hybrydowa» na Podlasiu to problem polityki migracyjnej”

7 Inaczej niż autorzy Strategii i niemal wszyscy, którzy dotąd o niej dyskutowali, nie wspominałem tu o „wojnie hybrydowej”, która się rozgrywa na granicy polsko-białoruskiej. Ona w ogóle nie powinna być przedmiotem debaty o migracji.

W 2024 roku 110 800 miejsc pracy jest nieobsadzonych, w tym etaty w służbie zdrowia i w transporcie. Skutki to: coraz większe rozwarstwienie między metropoliami, gdzie służba zdrowia jest dostępna i na światowym poziomie, i prowincją, gdzie trzeba dojeżdżać godzinami do przychodni i szpitali, aby tam stać w kolejce. Wzrost płac i za tym wzrost składki zdrowotnej w państwowej służbie zdrowia oraz opłat na wolnym rynku. Przykładowo to brak kierowców autobusów doprowadził już w 2023 roku do 57-procentowego wzrostu wynagrodzeń na tym rynku.

Przy obecnych trendach demograficznych – i mimo masowej imigracji Ukraińców po 2024 roku! – liczba Polaków będzie się zmniejszać nieustannie.

Obecnie na 100 pracujących przypada 70 niepracujących (w tym i dzieci, co statystycznie ma coraz mniejsze znaczenie). W 2060 będzie to już 105 niepracujących na 100 pracujących.

To program masowej emigracji Polaków: coraz mniejsza liczba obywateli w wieku produkcyjnym będzie płacić coraz większe składki zdrowotne i społeczne i coraz większe podatki, aby wyrównać niedobory systemu emerytalnego i opieki zdrowotnej na rzecz coraz większej rzeszy coraz dłużej żyjących i wymagających usług zdrowotnych emerytów.

A jednocześnie ci Polacy mają coraz mniej wpływu na to, jak ich podatki są wydawane przez państwo, bo w wyborach nie mają szans się przebić wobec głosów emerytów. Między 2013 i 2023 rokiem udział osób powyżej 65. roku życia w Polsce wzrósł o 5,5 proc., a w Niemczech – z powodu wzmoczonej imigracji – tylko o 1,5 proc.

Polska bez migracji: raj dla emerytów, ale młodzi uciekną za granicę

Tak wygląda świat bez imigracji: coraz wyższe ceny usług, bo z powodu braku rąk do pracy wynagrodzenia rosną nieustannie i powyżej poziomu inflacji, a jednocześnie rosną obciążenia pracujących podatkami, ZUS-em, składką zdrowotną przy nieustannym spadku wpływu pracujących na politykę.

Pytanie, czy tego chcemy, jest czysto retoryczne: rząd, który się do tego przyzna, rozpędzą pracodawcy, którzy staną się niekonkurencyjni, pracobiorycy, którym koszty usług i obciążenia na rzecz niepracujących zjedzą podwyżki wynagrodzeń.

Kończy się to, paradoksalnie, na kompletnie nieregulowanej migracji, którą rząd ukrywa pod płaszczykiem ksenofobicznych kampanii. Tak było podczas schyłkowych rządów PiS: rząd straszył wyborców migrantami, którym potajemnie pod naciskiem prawodawców i grup nacisku, któ-

rym sam, jak w przypadku Orlenu, sprzyjał, rozdawał wizy.

Aby choć częściowo kompensować kryzys demograficzny, deficyty rynku pracy, systemu opieki zdrowotnej i ubezpieczeń społecznych, aby nie podwyższyć wieku emerytalnego powyżej 70. roku życia (albo mieć emerytury na poziomie pomocy społecznej), trzeba będzie rokrocznie importować kilkaset tysięcy imigrantów ponad to, co dostaliśmy z Ukrainy!

Wobec takiego wyzwania kwestia nielegalnego przedostania się kilkudziesięciu migrantów tygodniowo przez granicę z Białorusią jest naprawdę problemem luksusowym. Nie trzeba strategii migracyjnej, aby się z nim uporać.

Wszystko, co trzeba, Polska ma: Straż Graniczna może ich zatrzymać, legitymować i deportować, jeśli nie proszą o ochronę, Urząd do spraw Cudzoziemców może ich sprawdzić i po negatywnych decyzjach deportować do krajów pochodzenia. Jest to możliwe w większości przypadków i SG od czasu do czasu sama się chwali lotami do Iraku, Egiptu i Afryki Subsaharyjskiej.

Skoro olbrzymia większość migrantów forsujących granicę wschodnią i tak nie chce zostać w Polsce, nie ma też potrzeby opracowania planów ich integracji w Polsce. One będą przydatne dla tych, których chcemy ściągać i osiedlać, aby oddalić ten czarny scenariusz nakreślony wyżej.

Jest jeden problem, i to jest prawdziwe wyzwanie godne rozbudowanej strategii migracyjnej: jak ich przekonać, aby przyjechali?

Niemcy starają się o to od kilku dziesięcioleci, ale specjaliści z Indii, Kenii, Brazylii zawsze wybierali USA i Kanadę. Polska jest mniej biurokratyczna niż Niemcy, ale poziom wynagrodzeń ma o wiele niższy i cały czas sama eksportuje personel medyczny do Niemiec, a przyjazd tu oznacza konieczność nauczania się polskiego i polskich oby-

czajów. Chyba że przestawimy nasz system edukacji i nasze społeczeństwo tak, jak robiły to Holandia, Rwanda, RPA i Filipiny: tam można się niemal wszędzie posługiwać angielskim, od przedszkola do domu starców. Dedykuję to wszystkim, którzy uważają, że strategia migracyjna powinna polegać na tym, aby zmusić imigrantów do przyjmowania naszych wartości, norm i obyczajów tak, aby dla nas wszystko pozostało po starciu. ●



FOT. MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Klaus Bachman

• dziennikarz, publicysta, historyk, politolog, wykładowca Uniwersytetu SWPS. Autor wielu książek i prac naukowych, m.in. „Polska kaczka w europejskim stawie. Polskie szanse i wyzwania po przystąpieniu do UE” i „Długi cień Trzeciej Rzeszy”.



Parlament Europejski

• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.

• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

REKLAMA

Kraj/34345227

Sprawdź na

tokfm.pl/premium

TOK FM Premium

BLACK WEEKS

60% TANIEJ

Audycje

Podcasty

Radio TOK FM bez reklam

TRUMP UGRYZŁ WIELKIE JABŁKO RÓWNIEŻ DZIĘKI POLAKOM

Czego trzy spacery z psem po Greenpoincie nauczyły mnie o wyborach w Stanach



• Polonia Book Store na Brooklynie w Nowym Jorku. To nie tylko księgarnia i kiosk z gazetami, ale także sklep z pamiątkami i dewocjonaliami FOT. ROBERT NICKELSBURG/GETTY IMAGES

Alek Korab

SPACER PRZEDWYBORCZY

Piątego listopada w Nowym Jorku zrobiło się nagle bardzo gorąco. Dzień wyborów prezydenckich – pierwszy wtorek listopada – jest zawsze gorący medialnie i emocjonalnie, ale te wybory były jak żadne inne. Zwolennicy obojga kandydatów szli na wybory, które ich zdaniem miały ocalić demokrację w Ameryce. Może dlatego temperatura na ulicach osiągnęła rekordowe jak na listopad 25 stopni Celsjusza.

Wyszedłem z Prymską na spacer. Mieszkamy na granicy Williamsburga i Greenpointu, na Brooklynie, zaraz przy East River. Najbliższy punkt wyborczy jest przy Kent. Przy tej samej ulicy, w słońcu błyszczą mural – polski hu-

sarz w galopie. Jest wymalowany na kominie budynku, stojącego w parku Marsha P. Johnsa.

Marsha była drag queen i walczyła o prawa gejów. Nad murem namalowano polską flagę, za nim widać rzekę i drapacze chmur Manhattanu. Brama do parku jest ustrójona w kwiaty wianek, podobny do tego, który ubierała bohaterka buntu gejów w Stonewall.

W soboty tutejszy festiwal gastronomiczny Smorgasburg przyciąga setki młodych ludzi. Kupują jedzenie z food trucków i jedzą nad rzeką, zaraz przed albo po zapaleniu legalnego już teraz skřęta. Kiedyś widziałem, jak jeden, z mocno powiększonymi żrenicami, zauważył husarza na koniu: „Co to jest do cholery?”. Koledzy z wolna podnieśli głowy w górę: „Człowieku, pewnie reklama »Gry o Tron«”.

W punkcie wyborczym leniwe tempo, brak kolejek, które były zmorem ostatnich wyborów. Uzbrojony po zęby policjant przygląda mi się uważnie. Ludzie z komisji powiedzieli, że było dwoje Polaków. Para poprosiła o tłumacza, którego tutaj nie ma. Ale w końcu udało im się zagłosować.

Poszliśmy dalej, w stronę Greenpointu, do parku McCarren. Tam, w części dla czworonogów, młoda dziewczyna z psem przypominającym baranka, mówi koleżance przez telefon, że z nerwów nie spała całą noc. Obok niej stoi Stacey, z ciężko dyszącym buldogiem. Jest w średnim wieku, ma białą skórę i dobre maniery. Na piersi przykleiła znaczek „Zagłosowałam!”.

Pytam na kogo. Jest nieśmiała, ale mówi, że na Trumpa. Ekonomia jest dla niej najważniejsza. Myśli, że będzie wyścig „łeb w łeb” i jest trochę nerwowa. Dziewczyna od baranka i ja patrzymy na siebie zaskoczeni: „to tak wygląda wyborca Trumpa?”.

Pomiędzy parkiem i stadionem mijamy stylową furgonetkę z napisem „Ostrzenie Noży”, przed nią mała kolejka. „Ludzie ostrzą noże” – komentuje Magda, ale tylko w połowie żartem. Sondaże przewidywały minimalną różnicę i wszyscy kombinowali tak:

Jeśli wygra Harris, wyborcy Trumpa nie przyjmą tego bez walki. Ich kandydat nie raz i nie dwa sugerował obstrukcję certyfikacji w każdy możliwy sposób. A 6 stycznia 2021, gdy trumpiści, alt-rightowcy i wy-

znawcy teorii spiskowych ruszyli na Kapitol, udowodnił, że nie rzuca słów na wiatr. Natomiast jeśli wygra Trump, to dzięki kruczkom prawnym albo głosami elektorów w kluczowych stanach, przegrywając głos oddolny, czyli większości wyborców tak jak w wyścigu z Hillary Clinton 8 lat temu. Wtedy bardzo możliwe, że to Demokraci wyjdą na ulice.

My głosowaliśmy kilka dni wcześniej. Za nami w kolejce stał mężczyzna z czapką „Kocham JEZUSA”. Zastanawiamy się, na kogo Jezus by zagłosował w swoje 2024 urodziny. Surowa pani podająca arkusz do głosowania daje mi do zrozumienia, że to nie przelewki: „Słonko, to nie jest moje pierwsze rodeo”. Ale łagodnie na sekundę, kiedy się przyznaję, że głosuję po raz pierwszy. Wychodząc, dostaję oklaski i naklejkę „Zagłosowałam wcześniej!”.

W parku opalają się młodzi ludzie rozebrani do pasa, niektórzy ćwiczą jogę, inni czytają albo tekstują nerwowo, czekając na pierwszą falę exit polls. Na stadionie drużyna dziewczyn trenuje soccer, są naprawdę dobre. Na ławkach przed lokalem siedzą starsi ludzie. Mimo wakacyjnej temperatury

ry ciepło ubrani, odwijają kanapki i wystawiają twarze do słońca, dzwonią do rodziny. Babcie wożą w wózkach dzieci, pomimo upału ubrane, jakby miały przetrwać zimę na Alasce („bo przecież listopad”). To Polacy. Ci, którzy jeszcze tu zostali.

Greenpoint, kiedyś Mała Polska, dziś po zgentryfikowaniu szybko zmienia się w Światową Stolicę Hipsterów – warszawski Plac Zbawiciela na sterydach. Polacy obijają się pomiędzy kolorowym tłumem, pielgrzymując do rytualnych miejsc: bar mleczny Pyza, restauracja Karczma, sklep Krajana, piekarnia Staropolska, trzy polskie kościoły, polskie szkoły. Jest też coś pomiędzy: Pierożek, nowa restauracja z rekomendacją przewodnika Michelin.

– Polacy mają długą historię na Greenpoincie, ale przez dziesięciolecia nie byli zbyt aktywni politycznie. Początkowo lokalny boss Peter McGuinness dyskryminował twoich rodaków, chociaż stanowili większość populacji. W 1938 r. społeczność miała tego dość i pomogła wybrać Johna Smolenskiego do stanowego parlamentu, i on wreszcie zdołał zainteresować władze potrzebami Polonii – mówi mi Geoffrey Cobb, lokalny historyk i autor książki „Zapomniana przeszłość brooklyńskiego Greenpointu”.

– Polacy początkowo, wskutek Nowego Ładu Roosevelta, byli Demokratami, ale w latach 70. stali się Republikanami, bo przyciągnął ich silny antykomunizm Reagana – opowiada Cobb. I już przy Republikanach zostali, bo później katolicy księża na Greenpoincie zachęcali do głosowania na Grand Old Party, ponieważ Demokraci popierali Roe v. Wade, czyli liberalny aborcyjny wyrok Sądu Najwyższego. Polacy byli również wielkimi zwolnikami republikańskiego burmistrza Rudy’ego Giulianiego z jego „zero tolerancji. – Zasadniczo imigranci mają tendencję do bycia bardziej republikańskimi i konserwatywnymi, podczas gdy Polacy urodzeni już w Ameryce są bardziej skłonni do liberalizmu i wspierania Demokratów – kwituje.

Polacy i napływowci: te dwie grupy mieszkają w tych samych domach, chodzą po tych samych chodnikach, lecz wzajemnie się nie zauważają. Żyją razem, ale osobno – jak krople oleju na wodzie. Mówią innym językiem, algorytmy socjal mediów karmią ich innymi treściami, głosują diametralnie inaczej.

Ameryka jest podzielona na pół I Greenpoint jest tego najlepszym przykładem.

SPACER WYBORCZY

W ieczorem poszliśmy na kolejny spacer, do kolejnego punktu wyborczego niedaleko parku McCarren. Ludzie z komisji już w wierzze liczenia głosów. Młody człowiek przy drzwiach mówi mi łamanym polskim, że wielu Polaków przyszło dziś głosować. Głównie starsi ludzie, ale młodzi, już tutaj urodzeni jak on, pewnie też, tylko trudno ich rozróżnić, bo mówią między sobą po angielsku.

Więc też przechodzę na angielski, żeby było mu wygodniej, ale chłopak ambitnie wraca do polskiego. – Polacy głosują, ale często przychodzą niezarejestrowani, więc ich głosy mogą się nie liczyć. Składają oświadczenia, że tu mieszkają, ale nie do końca wiem, czy to coś pomoże. Wydaje mi się, że wielu starszych Polaków głosowało na Trumpa. Wiem, bo pomagam im w całym procesie i otwarcie mówią, że przyszli oddać głos na Trumpa i poprzeć kandydatów Republikanów. Jak młodszy? Nie wiem, nie wolno mi pytać.

Robi się ciemno. Po drugiej stronie rzeki Empire State Building podświetlony w kolorach amerykańskiej flagi. W barze obok zamiast zwyczajowej transmisji futbolu ludzie oglądają wieczór wyborczy, jest wciąż ponad 20 stopni, wielkie okna otwarte na oścież.

Wchodzę do monopolowego. Na ladzie leży laptop z CNN Live, właśnie schodzą pierwsze wyniki. Pytam, jak dziś idzie biznes, sprzedawca mówi, że świetnie. Dziwi się, że ludzie wybierają wino. Patrzy na wstępne wyniki: – Ja bym wychylił butelkę burbona i przeszedł prosto w stan śpiączki.

Wieczór wyborczy to w Stanach wydarzenie wspólnotowe czy, uczeniej, socjalizujące. Jeszcze jedna okazja do spotkania się ze znajomymi. Popcorn, koktajle, goście, długa noc. W tym roku jednak nieco krótsza, bo szybko dowiadujemy się, że – wbrew sondażom – długo nie trzeba bę-

„Co to jest, do cholery?”
– zapytał młody bywalec festiwalu foodtrucków na Greenpoincie, patrząc na mural z husarzem.
„Człowieku, reklama
»Gry o tron«!”

dzie czekać na wyniki. Już o 22:30 Trump ma rosnącą przewagę, a komentatorzy CNN wyglądają, jakby zjedli żabę. Już po wynikach z Georgii wiadomo, że „on” wygra. Pozostaje pytanie, czy wygra również, po raz pierwszy od dawna, głos większości.

Prawdopodobnie tak. Znajomi Demokraci esemesują do siebie z pytaniem: jak to się mogło stać? Nie chodzi o wygraną Trumpa, ale łatwość, z jaką mu przyszła. „Sondaże nas okłamały”. Znajomi Republikanie natomiast „wiedzieli, że to będzie tylko formalność”.

Na ostatnim, wieczornym spacerze, w parku tylko psy były trzeźwe.

SPACER POWYBORCZY

W środe wstawiamy późno i od razu wychodzimy na spacer. Na ulicach bardzo mało ludzi, nie ma nawet wszędobylskich biegaczy. Dostawcy jedzenia na elektrycznych rowerach zaczynają swój długi dzień. „Ciekawe kto będzie dowoził ludziom jedzenie, jeśli on deportuje nielegalnych” – słyszymy fragmenty rozmów. Nowojorczyści są tak zajęci, że nie mają czasu chodzić po zakupy spożywcze, nie wspominając o gotowaniu.

Nasza Stefcia wyszła rano do szkoły na Manhattanie, pisze nam, że w metrze jest dziwna cisza. W jej szkole nauczycielka psychologii płacze na lekcji. To szkoła artystyczna, większość dzieciaków jest w szoku. „Ale są dzieci, które się cieszą”. Piszę też, że stało się, jak przewidział TikTok. Chociaż nie cały, bo astrologiczny influencerzy, którzy zobaczyli wygraną Harris w układzie gwiazd, właśnie ogłosili, że zwątpili w astrologię.

Gwiazdy gwiazdami, ale fakt jest taki, że Trump wygrał wybory w USA bezdyskusyjnie i z tym faktem zgadzają się nawet wyborcy Trumpa, którzy zazwyczaj są wybredni, jeśli chodzi o fakty. W Nowym Jorku Kamala Harris zdobyła tylko 900 tysięcy więcej głosów od Trumpa, dużo mniej, niż Joe Biden w 2020 roku.

Od 2016 Demokraci tracą powoli przewagę na Bronksie, Brooklinie, Manhatta-

To nie jest dzielnica dla biednych Polaków

Yuppies i kreatywni wypychają proletariackich emerytów z Greenpointu

ROZMAWIAM Z **BARTKIEM REMISKO**, PRACOWNIKIEM NOWOJORSKIEGO SEKTORA KULTURY, KTÓRY TAK JAK W POPRZEDNICH LATACH OBSŁUGIWAŁ WYBORY JAKO ZATRUDNIONY PRZEZ MIASTO TŁUMACZ.

Jak to się stało, że pracujesz przy wyborach?

– Od 2017 współpracuję z miastem Nowy Jork jako tłumacz z języka polskiego dla osób polskiego pochodzenia, które są uprawnione do głosowania we wszystkich wyborach, ale nie mówią po angielsku. Ratusz prowadzi program ułatwiania dostępu do głosowania wszystkim zainteresowanym, by kompetencje językowe czy niepełnosprawność nie odbierały obywatelowi prawa wyboru. Lokalizację, do których są wysyłani polscy tłumacze, to te, gdzie według spisu powszechnego najwięcej osób deklaruje posługiwanie się polskim. Czyli wybrane lokale w dzielnicach Greenpoint, Ridgewood, Middle Village i Maspeth.

Jak głosowali Polacy?

– Wybory prezydenckie cieszą się ogromnym zainteresowaniem Polonii, w odróżnieniu od pozostałych w amerykańskim i nowojorskim kalendarzu wyborczym, kiedy „polski” głos nie jest tak słyszalny. Ale w tym roku wyjątkowo dużo ludzi chciało oddać głos, i w dniu wyborów, i podczas 10-dniowego wcześniejszego głosowania. Zresztą podobnie jak cztery lata temu. Większość osób radzi sobie oczywiście bez naszej pomocy. O asystę poprosiło mnie kilkadziesiąt osób. Nie wypada mi zdradzać ich preferencji, ale coś może powiedzieć ich charakterystyka. To głównie starsze osoby, po siedemdziesiątce, i z krótkich rozmów z nimi wnoszę, że Greenpoint mocno się zmieni w najbliższych latach, gdyż albo planują wyprowadzkę na emeryturę do Polski, albo myślą o wyjeździe na Florydę.

Jaką zmianę demograficzną i biznesową widzisz na Greenpoincie w ostatnich latach?

– Do Nowego Jorku przyjechałem w 2011 r. i zobaczyłem inny Greenpoint niż ten stereotypowy, znany z reportaży i opowieści: młody, studencko-artystyczny i jednak dość zamożny, bo sprowadzają się tu ludzie już około trzydziestki czy przed czterdziestką, zarabiający rocznie 100 tys. dolarów i więcej, którzy wolą mieszkać w dwupokojowym mieszkaniu tu niż w ciasnym studio na Manhattanie. Niestety oni wszyscy wypychają z dzielnicy Polaków, których przestaje stać na mieszkanie tutaj, jeżeli nie są właścicielami domu.

Wiąże się oczywiście z tym klasyka gentryfikacji, czyli dramatycznie rosnące czynsze wymuszające zamykanie etnicznych biznesów. Związają się biura podróży i agencje wysyłające paczki do Polski, agencje pracy i tłumaczeń, sklepy spożywcze, restauracje, w ich miejsce otwierają się modne kawiarnie, wegańskie restauracje, sklepy vintage i salony fryzjerskie obsługujące modną i młodą ludność napływową.

Obserwowanie tego trendu, dość brutalnego, jest przykre, a z drugiej strony to zabawne, że mimo tych młodych napływowych mieszkańców z ich obowiązkowymi tatuażami, kolorowymi czapkami i bawełnianymi torbami z aktywistycznymi hasłami. Greenpoint wciąż jest zaniedbany i brudny, jak był kilkanaście lat temu. Niemniej myślę, że zabudowa nabrzeża przy East River doprowadzi do tego, co po sąsiedzku, Williamsburgu i Long Island City: dzielnica stanie się miejscem nowojorskiej klasy średniej, fajnym, komfortowym i wystylizowanym, ale kompletnie bez wyrazu. Zmieni się w to, w co dużo wcześniej zmieniły się SoHo i Chelsea na Manhattanie.

A jak oceniasz wybory jako nowojorczyk?

– Bezdyskusyjny wybór Trumpa jest przykry, bo pokazuje, z jakimi problemami boryka się Ameryka i kim w związku z tym stają się Amerykanie. Nie trzeba wyjaśniać, jak sytuuje się Nowy Jork pod względem światopoglądowym i obyczajowym, a jednak na Trumpa oddało głos ponad 3 miliony nowojorczyków, gdy na Harris ponad 4 miliony. To naprawdę szokujące, różnica tylko miliona głosów na korzyść Demokratki w takim mieście, jak Nowy Jorku?

To jak na dłoni pokazuje, jak spolaryzowane jest nasze miasto i jakie problemy od lat je toczą, a o których przez ogólnie obowiązującą polityczną poprawność nie mówi się otwarcie...

(tu Bartek na jednym oddechu zaczyna wyliczankę i pod koniec mówi już na bezdechu)

...ubóstwo, przestępczość, narkomania, bezdomność, brak opieki zdrowotnej, choroby psychiczne, niski poziom usług publicznych w tym edukacji i zdrowia, waląca się infrastruktura publiczna – drogi, mosty, kolej i metro – ale też brak tanich mieszkań, ogromne koszty życia oraz dodatkowo ostatnio masowy napływ imigrantów z południowej granicy USA.

(w końcu łapie oddech)

Ameryka przegląda się ze zdziwieniem w lustrze, metafora oklepana, ale ona się przegląda i dziwi już kolejny raz. I osobiście mam nadzieję, że tym razem Partia Demokratyczna wyciągnie wreszcie z tej już drugiej przegranej z Trumpem i światopoglądem, który on reprezentuje, bardzo konkretne wnioski, które pozwolą im wygrać za cztery lata.

Inaczej Amerykańskie Marzenie już na zawsze stanie się marketingową ściemą tego kraju, bo coraz więcej osób, w tym nowo przyjezdnych z krajów teoretycznie biedniejszych niż Ameryka, podaje jego prawdziwość w wątpliwość. ●



• **Wielkie Święto amerykańskiej Polonii. Parada Pulańskiego, w tym roku w październiku już po raz 87. przeszła Piątą Aleją na Manhattanie**

FOT. ERIK PENDZICH/
SHUTTERSTOCK

Lokalny historyk: Nowi napływowi mieszkańcy z wyższym wykształceniem patrzą z góry na starszych Polaków z klasy robotniczej

nie i Queensie. Z uwagi na gentryfikację Williamsburg i Greenpoint uważane są za najbardziej lewicowe dzielnice miasta i tutaj Harris wygrała bez problemu, ale już w Południowym Williamsburgu, gdzie dominują ortodoksyjni Żydzi, zdecydowanie Trump. Na wschodzie, na Queensie, gdzie przeniosło się bardzo dużo Polaków, Trump zyskał zaskakująco dużo. Milioner playboy pogodził Polaków i Żydów. Analizy mediów są jednoznaczne. „Gospodarka była na pierwszym miejscu, demokracja na drugim”.

W zawsze zatłoczonym polskim sklepie Krajana jest pusto, a jest już po 14. Sprzedawczyni Ukrainki pytają, gdzie są wszyscy Polacy. – Może śpią, bo siedzieli do późna przed telewizorem – uśmiecha się jedna. – Świętują! – krzyczy klient oglądający lodówki z pierogami i bigosem.

• Mieczysław „Mietko” Rudek, znajomy artysta żyjący w Pensylwanii, zamieścił na Facebooku wygenerowany przez sztuczną inteligencję obraz: Trump z amerykańską flagą zarzuconą na ramiona niczym rycerski płaszcz, opierającego się na mieczu z napisem: „47. i niech Ci Bóg Błogosławi”. Pytam go, czym przekonał go do siebie 45. i wkrótce 47. prezydent.

– Trump nie musiał mnie przekonywać, zawsze byłem konserwatystą i osobą wierzącą, więc oferty ze strony Demokratów nie są dla mnie interesujące. Jego prezydentura będzie dla mnie ugruntowaniem wolnościowych idei amerykańskich, idzie mi głównie o utrzymanie pierwszej [o wolności słowa i wyznania] i drugiej [prawo do broni] poprawki do konstytucji. Do tego, mam nadzieję, walka z naszym zielonym ładem i generalnie tą ideologią woke. Mietko skarży się, że przez post z mieczem dwie osoby usunęły go z grona przyjaciół.

Inny powód podaje mi dobra znajoma, polska pielęgniarka, która pracuje w na oddziale położniczym szpitala na Queensie.

– Obserwuję ogromny napływ imigrantów. Mieszkają w schroniskach dla bezdomnych. Jest dużo kobiet w ciąży, które przychodzą do szpitala ze starszymi dzieć-

mi. Nie wiedzą, że do szpitala nie można przyprowadzać dzieci, bo w swoich krajach one rodziły w domu. Bardzo często przychodzą, bo chcą przenieść się do innego schroniska. Nasz pracownik socjalny nie zajmuje się tym, więc trzeba im dokładnie tłumaczyć, że w szpitalu nie jesteśmy w stanie pomóc. Nie mają niczego dla noworodków, ani pieluch, ani łóżeczka, nie wspominając o obowiązkowym foteliku do samochodu. Mamy iPady z tłumaczem w kilkunastu językach, bo większość z tych ludzi nie zna ani słowa po angielsku. W większości są bardzo sympatyczni, ale ostatnio jedna pacjentka nazwała mnie głupią, bo chciała mieć cesarskie cięcie, a było bardzo dużo osób przed nią. To wszystko miało duży wpływ na to, jak ja głosowałam.

Nowy Jork ogłosił się miastem-schroniskiem dla imigrantów, również tych odsyłanych podczas kampanii przez trumpistowskich gubernatorów z twardo republikańskich stanów w bardziej liberalne okolice, ale najwidoczniej nie był w stanie przetrwać lawiny tych, którzy w to uwierzyli.

• Na ulicy Nassau przechodzimy obok antykwariatu Leaves, dawniej księgarni Polonia. Na stoliku przed witryną wystawiona biografia Hitlera. W antykwariacie młody Andryusha, Ukrainiec urodzony w USA i Ariel, pół Irlandka, pół Meksykanka. Andryusha ma na sobie bluzę z tryzubem i mówi trochę po polsku, uczy się też hebrajskiego.

Rozmawiamy chwilę o jego rodzinie. Mówi, że jego ukraińscy rodzice też są bardzo konserwatywni, tak jak Polacy wokoło. Pytam, jak się czuje po wyborach. Spuszcza oczy i po chwili ciężkiej ciszy mówi: „Chcę umrzeć”. Ale nie ma czasu użalać się dłużej, bo ktoś pyta go o książkę „Cierpienie w kabale”. – To doskonała książka na dziś! – chwali klienta Andryusha.

Idziemy usiąść i na lunch w jednym, do Ediego na ulicy Meserole. Przechodzimy obok agencji adwokackiej reklamującej po polsku w witrynie „Rozwody \$399, Jazda pod wpływem alkoholu, Przemoc w rodzinie, Prawo imigracyjne, Wypadki i ubezpieczenia”.

Ediego spotkaliśmy na premierze książki Rozkosznego, ponoć najbardziej hot spośród polskich influencerów kulinarnych. Opowiadał nam, jak przychodził do tego lokalu na polskie kanapki, jak się zaprzyjaźnił z Marią, polską właścicielką, od której podczas pandemii kupił cały sklep. Teraz prowadzi tu libańskie delikatesy, pomalowane w jaskrawe zielone, różowe i żółte kolory. Na ścianie zdjęcie Ediego z Oprah Winfrey, na półce obok zdjęcia Marii. Edi napisał własną książkę kucharską „Bądź pikantny”.

Przy różowych stolikach siedzą wytautowani młodzi ludzie z kolorowymi włosami. Umawiają się na wieczór na krzyk oczyszczający w klubie The House of Yes. Obok przechodzi mężczyzna z butelką Żywca w ręce. Próbuje coś powiedzieć grupie młodych, ale trudno mu się wysłowić, w końcu wykrztusza: „Have a nice day!”. Kolorowe czupryny machają do niego przyjaźnie.

Ale nie zawsze jest tak beztrudno. – Nowi napływowi mieszkańcy z wyższym wykształceniem patrzą z góry na starszych Polaków z klasy robotniczej, którzy nigdy nie nauczyli się angielskiego w szkołach – mówi Cobb. – Zazdroszczą Polakom cenionych nieruchomości, które kupili za bezcen w latach 80. Ten człowiek z Żywcem może być milionerem i właścicielem kamienicy, a barwni młodzi z klasy na oko kreatywnej z różowego stolika prawdopodobnie mieszkają w wynajmowanych u niego, prowizorycznie odremontowanych dwóch pokojach.

Dzisiaj Ediego nie ma w sklepie, ale odpowiada na moje pytania emailiem. „Na Greenpoincie zaskoczyło mnie wszystko! Dorastałem pod Bostonem, dokąd przeprowadziłem się z mojego kraju w wieku 10 lat. Nie miałem styczności z Polakami ani polską kulturą, więc wszystko było dla mnie nowe. To było takie cool, być w samym środku polskich biznesów: piekarni, sklepów mięsnych, sklepów spożywczych. Mieszkalem za rogiem Maria's Deli i ciągle tam przychodziłem po pyszne kanapki Marii. Zaprzyjaźniliśmy się – od czasu do czasu zostawiałem tam resztki cateringu, w którym pracowałem. Kiedy wpa-

dłem na pomysł otwarcia sklepu z żywnością bliskowschodnią, moment okazał się idealny dla nas obydwojga”.

• Pomimo gentryfikacji Polacy i polskie biznesy wciąż tu są. Są też Amerykanie o polskich korzeniach.

– Istnieje ogromna przepaść pokoleniowa. Młodszy Polacy i polskiego pochodzenia Amerykanie w pierwszym pokoleniu mówią doskonale po angielsku, są wykształceni. Są pewni siebie, asertywni i bardziej zaangażowani politycznie i obywatelsko niż starsi Polacy – opowiada Cobb.

Thomas Franke, wydawca „Brooklyn Magazine”, który mieszka na Greenpoincie od 15 lat, mówi mi: – Moi przyjaciele i ja zawsze ceniliśmy polską kuchnię i piekarnie, szczególnie w okresie Wielkanocy, kiedy ożywają tradycje kulturowe. Rozbraja mnie widok kolejek przed sklepem polskiego rzeźnika. Kiedyś widziałem polskiego prezydenta stojącego przed Karczmą, polską restauracją, co dla mnie było imponujące. Ale wszyscy zostaną z czasem wykupieni. Myślę o ludziach, którzy nie są właścicielami nieruchomości. Będą musieli opuścić tę dzielnicę z powodu rosnących kosztów wynajmu. Właśnie to generuje napięcia i frustracje.

Wracamy z psem do naszego bloku. W korytarzu mijamy naszego polskiego sąsiada. Czerstwy emeryt zazwyczaj w drodze na tenisa daje mi rady, jak kurować moje skręcone kolano. Dziś odbiera paczkę z Amazona i jest cały w skowronkach. Pytam o nastrój powybiorczy: – Wspaniale! Jest, jak miało być! – mówi uśmiechnięty.

Pytam więc, jak wygrana Trumpa wpłynęła na jego życie. – Ale mnie nic nie trzeba! Ja mam luz! Emerytura, mieszkanie, wszystko gra! •



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Alek Korab

• przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Urodził się w Rzeszowie, współtworzył polski dziennik „Metropol”, był redaktorem naczelnym „Metro” – jednej z największych gazet codziennych w USA – kierując jej redakcjami w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach (m.in. w Hiszpanii, Szwecji, Czechach, Francji, Brazylii, Chile) współpracując m.in. z Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku z partnerką Magdą, córką Stefanią i suczką Prymuską. W tym roku, po otrzymaniu amerykańskiego obywatelstwa, wraz z Magdą po raz pierwszy brał udział w wyborach prezydenckich.

O Polakach w Ameryce Ewa Winnicka opowiada w książkach „Greenpoint” i „Miaśteczko Panna Maria”. Dostępne w do- brych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.



Konfederata pamięta

Już zaczynamy sobie wyobrażać, jak istoty pozaziemskie zielonymi maczkami sortują towary przeznaczone do sprzedaży w Lidlu.



Michał Rusinek

Dziewiętnastego maja 1352 roku na pruskim terytorium Gudikus dokonano lokacji wsi Dietrichwalde. Zasadzcą był soltys Dittrich lub Ditter. Nazwę spolszczano na różne sposoby: Diettrzwald, Jettrzwald i wreszcie – Giettrzwald. W XVIII wieku mieszkali tam głównie Polacy, trudniący się uprawą roli i hodowlą bydła.

27 czerwca 1877 roku dwóm dziewczynkom – Barbarze Samulowskiej i Justynie Szafryńskiej – na kłonie rosnącym nieopodal kościoła objawiła się Matka Boża. A właściwie objawiała, bo aż 160 razy. Nie wiadomo, co przekazała dziewczynkom, obie utrzymywały jednak, że mówiła po polsku. Co dziwić nie powinno, bo każdy Polak-katolik wie, że Maryja była Polką.

Polskojęzyczne objawienia były jednak politycznie kłopotliwe, bo język polski był wówczas w zaborze pruskim zakazany. Ponoć wzmocniły one jednak ruch polski na Warmii. No i spowodowały, że Giettrzwald stał się miejscem pielgrzymkowym i pozostał nim do dziś.

Nie jest łatwo w takich miejscach po prostu mieszkać, jeśli nie chcemy zarabiać na pątnikach. I nie jest łatwo budować tam cokolwiek, co nie ma związku z objawieniami, a jest na przykład centrum dystrybucyjnym sieci sklepów. Jeśli jest to w dodatku sieć niemiecka – od razu przypomina się Polakowi-katolikowi pruski zabór, bo Polak-katolik takie rzeczy pamięta, nawet jeśli pamiętać nie ma prawa.

Ja pamiętam na przykład, jak u schyłku PRL-u dyrekcja Zamku Królewskiego na Wawelu ogłosiła przetarg na wykonanie instalacji alarmowej. Kiedy jednak okazało się, że przetarg wygrała firma niemiecka, odstąpiono od niego, bo „to przecież ci sami Niemcy”, którzy jeszcze niedawno, czyli pod koniec okupacji, chcieli wysadzić w powietrze Wawel.

Wróćmy jednak do Giettrzwaldu. Na wieść o tym, że Lidl chce zbudować w nim centrum dystrybucyjne, część mieszkańców wyraziła sprzeciw, a nawet oburzenie. Argumenty pojawiały się różne: ekologiczne (że jest tam planowane wysypisko śmieci, co okazało się nieprawdą), religijne (że to „bezczeszczzenie tronu Matki Boskiej”, bo za blisko miejsca objawień, choć zgodnie z planem zagospodarowania centrum ma być oddalone o kilometr od muru kościoła) i narodowe (że tu jest Polska, miejsce walki o polskość, więc nie godzi się, żeby niemiecka sieć tam się lokowała).

Konfederacja Korony Polskiej zorganizowała prędko pikietę, dzięki której przypomnieliśmy sobie o istnieniu tego ugrupowania. Na tle banerów z napisami „Katolikami LIDL gardzi!”, „Stop Lidlowi! Pomoc Giettrzwaldowi! Giettrzwald dla pielgrzymów, nie dla śmieci, magazynów!” wystąpił między innymi Grzegorz Braun. Najpierw długo mówił o śmieciach, o tym, że Giettrzwald jest dobrem narodowym,

„wyjątkowym, niepowtarzalnym i nieodnawialnym skarbem”, a nie placem, „który zagospodarować może każdy, kto przepłaci”. Następnie obalił kontrargument ekonomiczny: „Nowych miejsc pracy ma być raptem 200. To nie powala. Czy to będą miejsca pracy akurat dla mieszkańców Giettrzwaldu, czy przybyszów zza nie wiadomo których granic – to dopiero praktyka by pokazała”.

Zasugerował więc przy okazji, że my, Polacy, nic z tego mieć nie będziemy, bo zatrudnieni zostaną „przybysze”. Wydaje się, że to nieco archaiczne i dość neutralne słowo, ale brzmi złowieszczo, zwłaszcza że Braun rozpoczął przemówienie od zdania: „Tu jest Polska, nie Bruksela, nie Berlin, nie inna planeta” – sugeruje więc zagrożenie ze strony istot pozaziemskich. I już zaczynamy sobie wyobrażać, jak zielonymi maczkami sortują one towary przeznaczone do sprzedaży w Lidlu.

Posel Wojciech Siński również przywołał istotę o odmiennym statusie ontologicznym, ale dobrze zakorzenioną w kulturze, a nawet popkulturze: „Zbliża się okres adwentu, a później święta Bożego Narodzenia. Jedno jest pewne – święty Mikołaj nie kupowałby w Lidlu. Nigdy!”. Wygląda na to, że panowie dobrze się znają.

Piotr Heszen z komitetu politycznego Konfederacji odwołał się natomiast w jednym zdaniu do tradycji klasycznej (pogańskiej) i XIX-wiecznej (chrześcijańskiej): „Chrońmy Giettrzwald, żeby on obronił nas. Wiadomo, poza tym, Kartagina musi zostać zniszczona, więc odmawiamy nowennę pompejańską”. „Ceterum censeo Carthaginem esse delendam” – to słowa Katona Starszego, zwykle cytowane wtedy, kiedy chcemy uświadomić odbiorcom, że dopóki nie pokonamy przeciwnika, nie będziemy się mogli czuć bezpiecznie.

Czy w tym przypadku przeciwnikiem są Niemcy, czy tylko Lidl (którego sklepy powinno się zburzyć) – lepiej nie dopytywać. Jeśli bronią ma być tylko nowenna pompejańska, to może nie ma się czym niepokoić, acz źródła podają, że jest to „nowenna nie do odparcia”, więc metaforyczna Kartagina powinna się mieć na baczności. Nie można wykluczyć, że jest to także czkawka po Januszu Korwin-Mikkem, który zwykł posługiwać się parafrazą: „A poza tym sądzę, że Unia Europejska powinna zostać zniszczona”.

Punktem kulminacyjnym pikiety było wystąpienie posła Romana Fritza, który najpierw zwrócił się do właścicieli Lidla po niemiecku (przypominając im, że tu jest Polska), a potem sięgnął po argument mordczy: wypomniął Lidlowi kontrowersyjne reklamy z 2017 roku. A dokładnie rzecz biorąc – nie tylko wypomnił, ale i z obrzydzeniem zacytował: „Śladki jeżu” (cukier), „Jezus cytrus” (cytryny), „Z marchwi wstał” (marchewka), „Bób ojciec” (bób), „Syn drożdży” (drożdże) i „Duch zmięty” (mięta). (Uściślijmy, pierwszą z nich promował się Lidl, pozostałe opublikowała na Facebooku agencja reklamowa Brandweb). Po czym dodał, że iście chrześcijańskim miłosierdziem: „Oby dobry Bóg nie pokarał tych, którzy zranili nasze najświętsze uczucia”.

Wszystkie pozostałe zarzuty wobec Lidla w Giettrzwaldzie błędą przy tym: kto rani najświętsze uczucia, może liczyć co najwyżej na Boże miłosierdzie i poczucie humoru, bo przecież nie na ludzkie, polskie, katolickie. Ponieważ parafrazowanie noblistów nie podpada raczej pod artykuł 196 kodeksu karnego, więc zaryzykuje: Lidlu, nie bądź bezpieczny. Konfederata pamięta. ●

Doceńmy absolwentów Collegium Humanum

A może ta afera jest wielkim eksperymentem, który ma sfalsyfikować twierdzenie Michelle Obamy



Marcin Matczak

To był jeden z pierwszych odcinków słynnego serialu „W garniturach”. Harvey Specter, doświadczony prawnik, prowadzi rozmowę o pracę z młodym kandydatem Mikiem Rossem. Mike jest wybitnie inteligentny, ale pojawia się przeszkoda: „Zatrudniamy tylko ludzi po Harvardzie” – mówi Specter. A Mike nie ma nawet zwykłego prawniczego dyplomu. Zostaje jednak przyjęty, bo ma niezwykle umiejętności.

Nie z nami, Polakami, takie numery. U nas nie ma taryfy ulgowej, formalne wykształcenie to formalne wykształcenie, żadna umiejętność go nie zastąpi. Jeśli afera Collegium Humanum pokazuje cokolwiek innego oprócz gargantuicznego apetytu na kasę – to przekonanie, że papier ciągle coś znaczy. To niesamowite, że normalni, wydawaliby się, ludzie, robią największą głupotę swojego życia, ryzykują kariery, reputację, zaświadczenie o niekaralności, a może i wolność, by zyskać PAPIER. No dobra, kupić. Ale jednak papier.

W ten sposób zabraliśmy głos w ogólnoswiatowej debacie, czy dyplom w ogóle coś daje. Bo tu zdania są podzielone. Raport firmy doradztwa personalnego Gartner z 2023 r. zapowiada, że pracodawcy „rozpoczną pogon za nietradycyjnymi kandydatami”, żeby „rozszerzyć pulę talentów”. Bo pracownicy „coraz częściej wybierają nieliniowe ścieżki kariery” – tym samym zatrudniający będą zmuszeni, jak Harvey Specter, oceniać kandydatów „wyłącznie pod kątem ich zdolności do pełnienia danej funkcji, a nie ich kwalifikacji”. W tym celu złagodzą „formalne wymagania dotyczące wykształcenia w ofertach pracy”, żeby dotrzeć do kandydatów „z nietradycyjnych środowisk”.

Nie u nas. My musimy mieć kwit, najlepiej z pieczątką, bo jesteśmy postkomunistycznymi formalistami. Okazuje się, że PRL ukształtował nas w taki sposób, że mamy szczególne upodobanie do formalnych wymogów i niechęć do oceny całościowej, życiowej.

Tak przynajmniej wynika z badań nad stosowaniem prawa w Polsce, Czechach i na Węgrzech. Władza komunistyczna naciskała bowiem dość mocno, żeby reguły naginać według jej potrzeb. Dlatego też jedynym rozwiązaniem był patriotyczny formalizm: „ja wiem, towarzyszu, że trzeba re-alizować sprawiedliwość społeczną, ale tu nam formalna reguła nie pozwala i ja naprawdę nic nie mogę”. Formalizm był często parasolem przed nadużywaniem i obchodzeniem prawa.

I tak zostało – bo jak tylko się Polakom da przestrzeń do oceny, bez jasnego, formalnego wymogu, od razu kombinują. Konstytucja nie stawia formalnego wymogu, kto może zostać sędzią Trybunału Konstytucyjnego (np. „bycie profesorem”). Przewiduje wymóg miękki, nieformalistyczny: wyróżnianie się wiedzą prawniczą, i nawet nie mówi, w którą stronę. Dla

tego niektóre powołania w ostatnich latach spowodowały pytanie, że może tu chodzić o wyróżnianie się „in minus”.

W takich okolicznościach przyrody nie mogliśmy ludziom pozwolić tak ogólnie oceniać, kto może zasiadać w radach nadzorczych, bo wtedy dostaliby się tam nie tylko siostra, szwagier, teściowa i kot polityka, ale także jego dalsza rodzina, widzianna tylko na pogrzebach. W swej mądrości wprowadziliśmy wymóg formalny, żeby nie kombinowali. Ma być papier i basta.

W odpowiedzi kombinowanie weszło u nas na zupełnie nowy, innowacyjny poziom. Już się nie udaje, że ktoś coś umie. Zamiast tego udaje się, że się zakłada szkołę i że ona ma relacje międzynarodowe. Ta szkoła udaje, że naucza, a jej studenci udają, że się uczą. Na końcu wydaje się za kasę papier, który to całe udawanie ma uwiarygodnić.

A może jest Collegium Humanum jedynym wielkim eksperymentem, który miał nas przekonać, że edukacja nic nie znaczy i nic nie zmienia? Że wbrew temu, co mówiła kiedyś Michelle Obama, szkoła i studia nie uczą już „umiejętności czytania, pisania i analizowania; pewności siebie, aby stanąć i domagać się sprawiedliwości i równości”, nie dają „kwalifikacji i powiązań, aby postawić stopę w drzwiach i zająć miejsce przy stole”?

No bo przyznajmy się. Gdyby nie ta afera, gdyby nie zeznania świadków, nie potrafilibyśmy rozpoznać, czy jeden z drugim mają to wykształcenie, czy nie mają. Ileż to idiotów kończy rzetelne studia i pozostaje idiotami! Edukacja staje się coraz bardziej wirtualna, nie tylko dlatego, że coraz częściej przechodzi w chmurę – umiejętności zdobywane w szkole mają się tak do rzeczywistego życia jak uczenie się na niemieckim zdania „Wycieram gąbką szkolną tablicę” do jakiegokolwiek prawdziwej konwersacji pod berlińską budką z kebabem.

Doceńmy więc tych nielegalnych absolwentów Collegium Humanum – naprawdę walczyli o edukację, niektórzy aż po wyrok. Zaprzeczali tym amerykańskim nowinkom, że liczy się to, co wiesz, a nie papier. Wprawdzie go kupili, wprawdzie oszukali, ale okazali pełny szacunek dla naszego narodowego formalizmu.

A poza tym wnieśli nowatorski wkład w rozwój światowej edukacji: odwrócili słynne powiedzenie Victora Hugo: „Kto otwiera drzwi szkoły, zamyka więzienie”, wyrażające nadzieję, że edukacja ratuje od zejścia na złą drogę. Oni, jak to Polacy, działali na przekór: zamknęli drzwi szkoły i tym samym otworzyli sobie drzwi do więzienia.

Ale jednocześnie ujawnili tę naszą narodową słabość – no bo skoro to nie rynek, potrzeby pracodawcy czy twarda rzeczywistość ujawniają, że te dyplomy zostały kupione, ale prokurator, to coś bardzo złego dzieje się z naszym osądem rzeczywistości. Prawda jest taka, że gdyby wszystkie polskie uniwersytety działały dokładnie tak samo jak Collegium Humanum, też pewnie byśmy się nie zorientowali, że coś jest nie tak. Skoro nawet wśród osób kończących studia wyższe są funkcjonalni analfabeci, to czemu się dziwić?

Powiecie, że to wszystko jest możliwe tylko w świecie państwowych spółek, gdzie ciągle panują zasady rodem z PRL-u, typowe dla przedsiębiorstw państwowych – gdzie papier jest ciągle sto razy ważniejszy niż to, co się umie. Ale mnie się wydaje, że także gdzie indziej ludzie z lewymi dyplomami wydaliłyby się nam głupszy dopiero po postawieniu zarzutów. A wielu z tych, których podejrzewalibyśmy o kupienie dyplomu, okazywałoby się dumnymi posiadaczami dyplomów w pełni legalnych. ●

Pomysł Zełenskigo na koniec wojny:

DAĆ TRUMPOWI KORZYŚCI ZAMIAST ZOBOWIĄZAŃ

Na razie ludzie Donalda Trumpa mówią: „Niech bronieniem Ukrainy zajmą się Polacy, Niemcy, Brytyjczycy i Francuzi”.

Stefanie Bolzen,
Gregor Schwung

WELT

Ma zakończyć wojnę w Ukrainie, „w ciągu 24 godzin” od objęcia urzędu. To właśnie obiecał Donald Trump w kampanii. Ale jak dokładnie zamierza to zrobić? Wyciekły plany, które dają wskazówki co do jego strategii. Kijów reaguje – i przedstawia nieznaną wcześniej część swojego „planu zwycięstwa”.

24 godziny to mało czasu na zakończenie trzyletniej wojny. Ale dokładnie to obiecał następny prezydent USA podczas kampanii wyborczej: pośredniczyć z powodzeniem w zawarciu porozumienia między Ukrainą a Rosją w ciągu jednej doby. Od czasu ponownej elekcji Trumpa świat zastanawia się, w jaki sposób Republikańsin zamierza to zrobić. Stoper znacznie tykać 20 stycznia.

Plany omawiane obecnie w cieniu palm w Mar-a-Lago, posiadłości Trumpa na Florydzie, dostarczają już wstępnych wskazówek. W Ukrainie ludzie z napięciem przyglądają się temu, co stamtąd wycieka i intensywnie szukają sposobów, aby mimo wszystko przeciągnąć Trumpa na stronę Kijowa – nawet jeśli oznacza to zastosowanie najzuchwalszych sztuczek.

„WSJ”: Ludzie Trumpa mają Ukrainę gdzieś

Nie jest tajemnicą, że ruch MAGA nie jest zbyt zainteresowany losami Ukrainy. Plan omawiany przez zespół przejściowy przyszłej administracji Trumpa, opisany przez „The Wall Street Journal”, ma być tego dowodem. Zgodnie z nim, obecna linia frontu zostałaby zamrożona i utworzono by strefę zdemilitaryzowaną, na wzór koreański. Ukraina rzekłaby się członkostwa w NATO na co najmniej kolejne 20 lat.

Stany Zjednoczone zobowiązałyby się jednak przynajmniej do dalszych stałych dostaw broni dla Kijowa – w celu powstrzymania Rosji przed ponownym atakiem. Plan nie precyzuje jeszcze, kto miałby zabezpieczać nowo utworzoną strefę buforową. „Możemy zapewnić szkolenia i inne wsparcie, ale to Europejczycy będą musieli spojrzeć w lufy ro-



• **Wrześniowe spotkanie Trumpa i Zełenskigo w Nowym Jorku. Ukraiński prezydent miał przedstawić wtedy jeszcze republikańskiemu kandydatowi do Białego Domu tajny aneks „planu zwycięstwa”**

FOT. SHANNON STAPLETON/REUTERS

syjskich karabinów”, cytuje „WSJ” jednego z doradców w zespole Trumpa. „Amerykańscy żołnierze nie zapewnią pokoju w Ukrainie i nie będziemy za to płacić. Niech zrobią to Polacy, Niemcy, Brytyjczycy i Francuzi”.

Vance i Musk będą mieli wpływ?

Plan ten jest zgodny z tym, co wiceprezydent-elekt J.D. Vance i przyszły speckomisarz ds. wydajności rządu Elon Musk mówili w niedawnej przeszłości. Obaj sugerowali, że do przyjęcia jest ustępstwo wobec Putina w postaci zablokowania członkostwa Ukrainy w NATO. „Kijów nie stanie się częścią żadnej sojuszniczej instytucji” – oznajmił Vance w wywiadzie dla konserwatywnego podcastu „The Shawn Ryan Show”. Zamrożenie obecnej linii frontu i oddanie Rosji podbitych terytoriów również będzie częścią porozumienia, dodał Vance.

Pomysł zabezpieczenia tego reżemu dzięki strefie zdemilitaryzowanej również odpowiada temu byłemu żołnierzowi US Marines. W 2014 r. zachodnia społeczność międzynarodowa próbowała osiągnąć zawieszenie broni z Rosją w negocjacjach mińskich i ustanowić taką strefę buforową. Obie strony miały wycofać swoją ciężką broń 15 kilometrów od frontu, aby stworzyć strefę o szerokości w sumie 30 kilometrów. Ale to było porozumienie, które Putin złamał wkrótce po jego zawarciu, zdobywając lotnisko w Doniecku i zajmując miasto Debalcewe.

Czy ego Trumpa pomoże Ukrainie

W Europie panuje duży sceptycyzm wobec propozycji obozu nowego prezydenta. „Rzekomy plan Trumpa w ogóle nie odpowiada na pytanie, jak powstrzymać Putina w najbliższej przyszłości. Jak wywrzeć na niego skuteczną presję, by nie zaatakował ponownie?” – zaznacza ekspert ds. Ukrainy Nico Lange. „Takie plany byłyby w jakikolwiek sposób atrakcyjne dla Ukrainy tylko wtedy, gdyby były ściśle powiązane z członkostwem w NATO. Ale właśnie to Vance wyraźnie wykluczył”.

Niestety, prawdopodobnie decydującym czynnikiem dla Ukrainy będzie to, czy Trump będzie czuł, że musi uzyskać od Putina bolesne dla Kremla ustępstwa, aby utrzymać swój wizerunek skutecznego dealmakera.

Rosyjski ambasador przy ONZ Giennadij Gatilow dał w czwartek jasno do zrozumienia, że nie będzie to łatwe. Jakiegokolwiek możliwe porozumienie musiałoby być

w pierwszej kolejności „zorientowane na faktyczne osiągnięcia Rosji na polu bitwy” – uprzedził.

Podczas swojej pierwszej kadencji Trump nie miał problemu z tym, że wypadł na słabszego w konfrontacji z rosyjskim prezydentem. Apogeum tego szokującego podejścia nastąpiło podczas szczytu w Helsinkach w 2018 r., gdy Trump oznajmił publicznie, że bardziej ufa Putinowi niż własnym służbom wywiadowczym – a powiedział to, gdy zapytano go o rosyjską ingerencję w wybory prezydenckie w USA w 2016 r.

Ukraina szuka dojść do uszu Trumpa

W Kijowie panuje duża nerwowość w związku z niepewnymi perspektywami nowej amerykańskiej polityki zagranicznej. Prezydent Wołodymyr Zełenski usilnie zabiega o poprawę swojej pozycji negocjacyjnej – aby nie musiał godzić się na wszystko, co proponują ludzie pokroju Vance’a. Jak dowiadujemy się od ukra-

ińskich kręgów rządowych, ukraiński lider próbuje jak najszybciej umówić się na spotkanie w cztery oczy z Trumpem. „Financial Times” donosi, że Zełenski chce przekonać Trumpa do twardego negocjowania z Putinem, składając trzy oferty.

Według raportu „FT”, obaj omówili już wcześniej nieznaną publicznie część „planu zwycięstwa” Zełenskigo podczas spotkania w Nowym Jorku we wrześniu. Nieznane dotąd klauzule planu przewidują m.in., że Trump będzie mógł w przyszłości decydować o tym, kto może inwestować w odbudowywaną Ukrainę. „ABC – Anybody but China” – tak w skrócie nazwano ten pomysł. Kijów proponuje, aby Pekin był trzymany z dala od wszystkich przyszłych planów dotyczących Ukrainy, czyli m.in. aby nie uzyskał dostępu do cennych zasobów naturalnych tego kraju.

„Jest to podejście, które jest obecnie intensywnie dyskutowane za zamkniętymi drzwiami w Kongresie USA. Chiny także mocno lobbują u ludzi Trumpa” – mówi nam osoba wtajemniczona w te rozmowy.

Zełenskiemu doradzono, aby przyjął właśnie takie, czysto transakcyjne podejście w kontaktach z Trumpem. „Argument przedstawiony przez stronę ukraińską na wrześniowym spotkaniu z Trumpem brzmiał tak: teatr operacji na Indo-Pacyfiku tak naprawdę zaczyna się w Ukrainie” – mówi europejski dyplomata, który nie chce być w tym kontekście wymieniony z nazwiska. Dlatego też, według medialnych doniesień, Ukraina zaoferowała już zachodnim partnerom pierwszeństwo w dostępie do surowców w kraju.

Jeszcze bardziej dalekosiężna jest propozycja zastąpienia amerykańskich żołnierzy rozlokowanych w Europie żołnierzami ukraińskimi. Jest to odważny trik Zełenskigo, mający na celu precyzyjne trafienie w czule punkty Trumpa. Kosztowne rozmieszczenie tysięcy amerykańskich żołnierzy w Europie było dla Trumpa kłopotem do rozwiązania już podczas jego pierwszej kadencji.

Dla powodzenia tej strategii Kijowa wiele będzie zależeć od rozwoju wypadków w nadchodzących tygodniach – i tego, kto znajdzie największy posłuch u Trumpa. Jak tylko wojna się skończy – czy to poprzez dobre, czy fatalne dla Ukrainy porozumienie – będzie trzeba przeprowadzić w kraju wybory prezydenckie, odkładane z powodu wojny od maja tego roku. Decydującym czynnikiem dla przyszłości politycznej Zełenskigo będzie to, czy porozumienie przevorsowane (lub tylko zaakceptowane) przez administra-

Jeszcze bardziej dalekosiężna jest propozycja zastąpienia amerykańskich żołnierzy rozlokowanych w Europie żołnierzami ukraińskimi. Jest to odważny trik Zełenskigo, mający na celu precyzyjne trafienie w czule punkty Trumpa

cję Trumpa będzie lepsze niż projekt porozumienia wynegocjowany podczas rozmów pokojowych w Stambule w kwietniu 2022 r.

Wtedy Kijów znajdował się w pozycji względnej siły: jego armia zatrzymała rosyjskie natarcie na Kijów, a negocjatorzy spotkali się nad Bosforem, pod egidą pragnącego utrzymywać dobre relacje i z Kijowem, i z Moskwą prezydenta Recepty Tayyipa Erdogana. Zgodnie ze sporządzonym tam wstępnym tekstem porozumienia, który został upubliczniony dopiero w wyniku dochodzenia przeprowadzonego przez międzynarodowe media, w tym „Die Welt”, obie strony już prawie zgodziły się zakończyć wojnę. W tym czasie Kijów był gotów pójść na poważne ustępstwa: chciał nie tylko powstrzymać się od przystąpienia do NATO, ale nawet zredukować swoją armię do tego stopnia, by nie była w stanie się samodzielnie bronić, i ostatecznie oddać Rosji bezterminową kontrolę nad Krymem. Rosja za to zgodziłaby się na udzielenie Kijowowi gwarancji bezpieczeństwa przez Zachód.

Do końca nie było jasne, czy Moskwa miałaby prawo weta w sprawie uruchomienia klauzuli o wzajemnej pomocy pomiędzy Kijowem i zachodnimi gwarantami – co uczyniłoby ją absurdalną – i do jakiej linii doszłoby rosyjskie wycofanie z terytorialnych zdobyczy. Ostateczne osobiste negocjacje między Putinem a Zelenskim nigdy się nie odbyły, zresztą z powodu okoliczności, które nie zostały jeszcze wyjaśnione. Dziś wiadomo, że biorąc pod uwagę niewiarygodne cierpienia i zniszczenia poniesione podczas prawie trzyletniej wojny, Zelenski musi osiągnąć znacznie więcej niż wtedy.

Promyki nadziei

W ubiegłym tygodniu pojawił się promyk nadziei na to, że uda się „przeciagnąć” Trumpa na stronę Kijowa.

Prezydent-elekt nominował kongresmena Mike’a Waltza na doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego, a senatora Marco Rubio – na sekretarza stanu. Pierwszy z nich w przeszłości dał się poznać jako zwolennik Ukrainy, podczas gdy drugi jest uważany za zdeterminowanego obrońcę NATO. Nawet kontrowersyjny skądinąd kandydat na sekretarza obrony Pete Hegseth również w przeszłości opowiadał się za większą pomocą wojskową dla Kijowa i nazwał Putina zbrodniarzem wojennym.

Administracja Bidena do końca kadencji chce pomóc Ukrainie poprzez wzmocnienie jej pozycji na froncie. Sześć miliardów dolarów zaległej pomocy ma trafić do Kijowa tak szybko, jak to możliwe. Biden chce również przekonać Kongres do zatwierdzenia dodatkowych funduszy. Jest to jednak mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę nową republikańską większość zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie.

„Naszą strategią jest uczynienie Ukrainy tak silną na polu bitwy, jak się da, aby mogła zająć najlepszą pozycję przy stole negocjacyjnym” – mówi wprost doradca Bidena ds. bezpieczeństwa narodowego Jake Sullivan. ●

Czy trzeba się szykować na rosyjski terroryzm

Dżihad Putina

Zamachy terrorystyczne mogą być drugą obok broni jądrowej metodą, jaką Rosja będzie zastraszać Zachód.

Robert Stefanicki

Rosja mocno kojarzy się z terrorem, przynajmniej od czasu zmasowanych represji bolszewickich z lat 1918-22. Władimir Putin kontynuuje tę tradycję wobec własnych obywateli. Jednak terror polityczny to nie to samo, co terroryzm. Zabijanie dysydentów, nawet przy użyciu materiału radioaktywnego, to też nie terroryzm, lecz „zabójstwa celowane”. Również zbrodnie wojenne nie są terroryzmem, choć Kijów tak nazywa ostrzał celów cywilnych w Ukrainie – i kilka państw uznało z tego powodu Rosję za państwo terrorystyczne.

Terroryści zwykle nie reprezentują państw, lecz z państwami walczą. Sformułowanie „terroryzm państwowy” weszło do obiegu, ale jest kłopot z jego definicją i bezspornymi przykładami, jeśli wykluczmy działania podczas wojen oraz pomoc zaprzyjaźnionym reżimom w sianiu terroru politycznego. W latach 80. mieliśmy kilka zamachów bombowych w samolotach pasażerskich zleconych przez Libię, Koreę Północną, Irak i Iran. Oraz jedyny akt terroryzmu w bezpośrednim wykonaniu państwa demokratycznego, kiedy to francuska agencja wywiadu DGSE zatopiła w Auckland należący do Greenpeace’u statek „Rainbow Warrior” zmierzający na protest przeciwko testowi nuklearnemu w Moruroa.

Putin przenosi terroryzm państwowy na nowy poziom

W lipcu wysłane z Litwy dwa elektryczne masażery z wmontowanymi zapalnikami czasowymi zapłonęły w centrach logistycznych DHL w Niemczech i w Anglii. Zgodnie z planem w tym momencie miały być już w samolotach zmierzających do USA i Kanady, ale start się opóźnił. Niemiecka policja stwierdziła, że gdyby do pożarów doszło nad Atlantykiem, groziłoby to katastrofą.

Zachodni urzędnicy ds. bezpieczeństwa uważają, że to robota Rosji, która od miesięcy testuje sabotaż i terroryzm na ziemi i w powietrzu. W kilku krajach, w tym w Polsce, aresztowano dywersantów usiłujących wzniecać pożary, najętych najpewniej przez służby Kremla.

Nawet Sowieci podczas zimnej wojny nie wysadzali zachodnich samolotów. Wspierali za to ruchy wyzwolenicze, przede wszystkim palestyńskie, które stosowały metody terrorystyczne. Putin wraca i do tej tradycji.

Według źródła „Wall Street Journal”, osławiony rosyjski handlarz bronią Wiktor But (skazany w USA, po czym wymieniony na pojmaną przez Rosjan amerykańską koszykarkę) niedawno spotkał się w Moskwie z wysłannikami Huti, aby negocjować sprzedaż jemeńskim rebeliantom ka-

rabinów za 10 mln dol. Podobno omawiano również dostawy pocisków przeciwpancernych Kornet i broni przeciwlotniczej. We wrześniu agencja Reuters podała, że Iran pośredniczył w rozmowach o sprzedaży do Jemenu rosyjskich pocisków przeciwokrętowych P-800 Oniks.

USA uznają Huti za terrorystów, bo od roku przeprowadzają oni ataki na statki handlowe na Morzu Czerwonym. Kilka zostało trafionych, dwa zatoneły. Według doniesień, Rosja dostarcza Huti dane dotyczące celów do zaatakowania. Doradcy rosyjscy działają w Sanie pod przykrywką pracowników pomocy humanitarnej.

Jednocześnie pojawiły się doniesienia o przymusowej rekrutacji jemeńskiej młodzieży na wojnę w Ukrainie. Będą tam walczyć ramię w ramię z żołnierzami z Korei Północnej, których co najmniej 10 tys. przyjechało do Rosji, żeby odbijać obwód kurski. W zamian Kim Dzong Un otrzyma technologie militarne, pomoc materialną dla wynędzniałego kraju – i doświadczenie bojowe, które może się przydać w kolejnych wojnach.

Moskwa po latach wraca do ingerencji na Półwyspie Arabskim. Utworzona po odejściu Brytyjczyków w 1967 r. Ludowo-Demokratyczna Republika Jemenu była satelitą ZSRR, który cieszył się wyłącznym dostępem do Adenu, jednego z najcenniejszych portów w regionie, i ustanowił tam przyczółek rozprzestrzeniania ideologii komunistycznej w Afryce. Portowe miasto było też przystanią dla antyzachodnich terrorystów, od niemieckiej Frakcji Czerwonej Armii po Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny.

W zamian Sowieci inwestowali w rozwój Południowego Jemenu. Była to „oaza socjalizmu”, ze świecką edukacją, kobietami obecnymi w życiu społecznym, a nawet jedynym browarem na Półwyspie Arabskim.

Dzisiejsi sojusznicy Kremla w Jemenie nie mają nic wspólnego z socjalizmem, tak jak i dzisiejsza Rosja. Huti to ruch plemiennono-nacjonalistyczny z domieszką szyickiego integryzmu, wzorowany na libańskim Hezbollahu, również uznanym za organizację terrorystyczną. Obie te grupy łączą patronat Iranu – ważnego dostawcy dronów dla armii rosyjskiej – oraz nienawiść do Izraela, a pośrednio do USA.

Rosja i Hezbollah też są sojusznikami. Razem z Iranem i Koreą Północną wspierają się wzajemnie w wykorzystaniu nielegalnych sieci finansowania i przemycie, aby ominąć sankcje gospodarcze. Premier Benjamin Netanjahu powiedział, że jego żołnierze znaleźli „najnowocześniejszą” rosyjską broń podczas przeszukiwania baz Hezbollahu w południowym Libanie.

Rosja zmieniła front na Bliskim Wschodzie

W ubiegłej dekadzie Rosja była częścią szerokiej koalicji zwalczającej terrorystyczne Państwo Islamskie, teraz coraz mocniej popiera islami-

styczne milicje. Jeszcze kilka lat temu potępiała ataki na statki na Morzu Czerwonym, dziś cieszy się widząc zakłócenia w globalnym handlu, które negatywnie odczuwają USA i ich sojusznicy. Huti oszczędzają rosyjskie i chińskie statki.

Podobna wołta następuje wobec Afganistanu. Marionetkowy reżim komunistyczny zainstalowany w Kabulu w latach 70. był przynajmniej obyczajowo progresywny. Teraz Moskwa wypisała talibów ze swojej listy organizacji terrorystycznych i sygnalizuje, że jest gotowa, jako pierwszy kraj na świecie, oficjalnie uznać rząd fundamentalistów islamskich. Zważywszy na rosnącą inklinację Putina do terroryzmu, jest to niepokojące. U talibów znów wzięła górę frakcja najbardziej fanatyczna. Ich obecny rząd jest tak samo izolowany i nieprzejednany, jak ten pierwszy z lat 90., który posłużył Al-Kaidzie za wylęgarnię zamachów na USA.

Mimo że Izrael nie wspiera Ukrainy, Kreml przyjął stanowisko antyizraelskie, aby zdobyć poklask Globalnego Południa i łatwiej wtłaczać tam swoją narrację antyzachodnią. Wcześniej Izrael i Rosja nie były sojusznikami ani partnerami, ale utrzymywały poprawne stosunki.

„Rosja może mieć bliższe stosunki z Hamasem niż Iran”, napisali w „Jerusalem Post” Stepan Stepanenko z Forum Stosunków Zagranicznych i John Holmes, emerytowany generał amerykańskich sił specjalnych SAS. Ich zdaniem, jeśli Hamas otrzymuje informacje wywiadowcze lub inne wsparcie od Rosji (a potencjalnie też od Kataru), może to wyjaśniać trudność Izraela w infiltracji tej organizacji – w kontraście do udanego rozpracowania Hezbollahu.

W czerwcu Putin ostrzegł USA i NATO, że jeśli pozwolą Ukrainie uderzyć na terytorium Rosji pociskami dalekiego zasięgu, które jej dostarczą, to on rozważy sprzedaż podobnej klasy broni przeciwnikom USA w innych regionach. W rzeczywistość tej groźby można powątpiewać – uwikłana w wojnę Rosja sama potrzebuje tej broni, poza tym musi mieć na względzie choćby Arabię Saudyjską, której nie podoba się wspieranie szyickich milicji, a która ma decydujący wpływ na cenę ropy, a co za tym idzie na budżet Rosji.

Ale o ile straszak nuklearny ma ograniczone oddziaływanie (taki atak byłby samobójczy), to wsparcie dla milicji i reżimów nieprzychylnych Zachodowi może na stopniować. A terroryzm to już ma same zalety: jest tani, można udawać, że „to nie my”, a efekt rażenia psychologicznego jest potężny.

Do zamachów Moskwa mogłaby wykorzystać nie tylko najemnych bandytów ze wschodniej Europy, ale i wspierane przez siebie grupy z krajów muzułmańskich. Już kiedyś próbowała. Od końca lat 60. ZSRR współpracował z marksistowsko-leninowskimi frakcjami w ruchu palestyńskim, który wówczas nie stronił od terroryzmu. Pomoc szła w formie uzbrojenia, szkoleń, leczenia, stypendiów. W zamian Rosjanie próbowali wykorzystać Palestyńczyków do porwania oficera CIA z placówki w Bejrucie. Bojownicy palestyńscy brali udział w likwidowaniu celów wskazanych przez KGB: sowieckich dezerte-

rów i osób podejrzanych o kontakty z CIA.

Sławny międzynarodowy terrorysta „Carlos” vel „Szakal” mieszkał przez dłuższy czas w Bułgarii, a służby rumuńskie wykorzystaly go do przeprowadzenia zamachu na Radio Wolna Europa w 1981 r. Do Budapesztu przyjeżdżali terroryści baskijscy, tureccy, kurdyjscy, irlandzcy, japońscy, francuscy, włoscy i ormiańscy.

Według dr. Przemysława Gasztolda z Akademii Sztuki Wojennej, liczone na to, że w zamian za gościnę i pomoc nie będą atakować celów w tych krajach. Było to też opłacalne. Np. polski Cenizin zawarł szereg kontraktów z organizacjami palestyńskimi na sprzedaż broni. Terroryści odwzajemniali się, dostarczając towary objęte embargiem, głównie zachodnie uzbrojenie i elektronikę. Oraz informacje wywiadowcze.

Jednak podczas zimnej wojny organizacje terrorystyczne nie były brane pod uwagę jako istotny element tego, co dziś nazywamy wojną hybrydową. Obawiano się nieprzewidywalności ludzi, którzy mieli własną agendę, niekoniecznie zbieżną z interesami Kremla. I najwyraźniej nie uważano, że terroryzm jest zdolny przechylić szalę zwycięstwa na korzyść bloku komunistycznego.

Wyjątkiem były dwa podzielone kraje: Niemcy i Korea. Niemiecka Republika Demokratyczna współpracowała przede wszystkim z Frakcją Czerwoną Armii, która atakowała w Zachodnich Niemczech. Ponadto NRD utrzymywała bliskie stosunki z różnymi grupami narodowo-wyzwoleniczymi, którym Stasi dostarczała broń, pieniądze, szkolenia.

Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna (KRLD) przebiła wszystkich. Uważa się, że w latach 1968–88 na jej terytorium działało ok. 30 baz szkoleniowych, w których przeszkolono w zakresie sabotażu i wojny partyzanckiej ponad 5 tys. ludzi z 25 krajów. Tajne służby Kim Ir Sena wspierały też niektóre palestyńskie grupy terrorystyczne i lewicową Japońską Czerwoną Armię, która w 1970 r. porwała samolot Japan Airlines do Pjongjangu. Później KRLD wykorzystala porywaczy w operacjach uprowadzania obywateli Japonii.

Służby północnokoreańskie same przeprowadzały ataki terrorystyczne. W 1983 r. podłożyły w Rangunie bombę, która zabiła 21 południowokoreańskich urzędników. Cztery lata później wysadziły w powietrze samolot linii KAL nad Morzem Andamańskim; w katastrofie zginęło 115 osób.

Choć reżim Kimów od dawna nie para się terroryzmem, zawsze może do tego wrócić, jeśli poczuje się jeszcze bardziej zagrożony przez USA. Może za poruczeniem Putina, z którym ma coraz bliższe relacje. Swoją drogą to paradoks, że KRLD (i Kuba) dalej widnieją na liście Departamentu Stanu USA jako kraje wspierające międzynarodowy terroryzm, ale Amerykanie nie odważyli się wpiścić tam Rosji.

Może niedługo nie będą mieli wyjścia. Samuel Ramani z brytyjskiego Royal United Services Institute jest przekonany, że „duży rosyjski atak terrorystyczny to już tylko kwestia czasu”. ●



Opowiem wam o Wiśle.
Jak ją wreszcie po latach poznałem
i jak się w niej na nowo zakochałem.

Najdziksza rzeka współczesnej Europy

Adam Wajrak

Siedziałem w moim canoe z otwartą gębą. Naprawdę otwartą. Patrzyłem przed siebie, na boki, w tył. Z wrażenia aż przekląłem pod nosem.

Każdego dnia tak było, nawet jak na chwilę szarżało i brzydło, to zaraz znów było pięknie i dziko. Wszystko we mnie wibrowało od tej dzikości i tego piękna. Każda komórka ciała i duszy.

Szok

Temu zachwytowi od pierwszego do ostatniego dnia mojej dwutygodniowej wycieczki towarzyszył szok. Szok i niedowierzanie, że coś takiego jest możliwe. Że coś takiego istnieje prawie niezauważone, choć olbrzymie. Nie na peryferiach, ale w samym centrum Polski.

Wielkie, cudownie piękne, unikalnie dzikie, w samym środku kraju, a mimo to nieznanne.

Przeklinałem siebie także trochę z wściekłości na siebie samego. Dlaczego przegapiłem to, że tu jest tak wspaniale? Przyrodą zajmuję się od lat, powinienem znać wszystkie dzikie miejsca w Polsce.

Jak mogłem przeoczyć fenomen na miarę Puszczy, Tatr albo Bieszczadów?

Wyobrażacie to sobie?

A jednak byłem ślepy na jeden z największych europejskich przyrodniczych cudów. Ja, Wasz pan od przyrody, który się nad tą rzeką wychował i wydawało się, że zna ją od dziecka.

Więc spływałem tą swoją łódką po rzece o wielu korytach, opływającej piaszczyste lachy piasku, czystsze niż na najbardziej dziewiczych morskich plażach. Po rzece, która obejmuje wodnymi ramionami wyspy wielkich drzew z dziczą równą tej białowieskiej. Rzece, która jest domem wielkich ryb,

wzbijających ostre fale i rozbryzgujących wodę w pogoni za mniejszymi rybami. Domem ptaków, odpoczywających setkami na wyspach, wysepkach i na wpół zanurzonych pniach i konarach olbrzymich drzew, które zabrał z brzegów prąd.

To rzeka bobrów, wydr, losi, ale też saren, które bez trudu radzą sobie w jej nurcie. Sceneria cudownego przyrodniczego filmu, a nawet wielu filmów. W głównym nurcie, szerokim, gdzie widać tylko bezmiar toni lub piaszczystych lach, byłby to film o Alasce, a w odnogach między zielonymi brzegami, na zarośniętych dziczą wielkich wyspach – serial o Amazonii.

Orzeł

Kotłowało się to we mnie od zimy. W pewnym momencie miałem dosyć i czułem, że jeśli nie odetnę się od natłoku informacji, ponagleri i prośb, atakujących z telefonu i komputera, co najmniej czterech komunikatorów i dwóch platform społecznościowych, to będzie ze mną źle. Puszcza, granica, wilki, politycy, leśnicy, spotkania na żywo i online. Mózg już tego nie wytrzymał. Za dużo, za często.

Mieszkam w Puszczy, ale ona wcale mnie nie odgradza.

Wszyscy wiedzą, gdzie mnie można znaleźć, jestem tu tak samo podłączony do świata, jakbym mieszkał w Warszawie czy Poznaniu.

W Teremiskach ucieczka może być tylko chwilo- wa, gdy wymykam się do lasu. Biorę wtedy telefon, który jest tylko telefonem. Nawet MMS-ów nie odbiera. Ale gdy wracam do domu, cywilizacja dopada mnie ze zdwojonym zgiełkiem. Na dodatek okazało się, że wyprawa na Grenlandię odwlecze się o rok.

Byłem przerażony.

I wtedy przypomniałem sobie o Wiśle. Bo nie raz myślałem o tym, żeby nią popłynąć, ale bez ciśnienia, bo nie wydawało się to niczym egzotycznym. Wisłę znałem, nad nią się wychowałem. Jestem

chłopakiem z warszawskiego Żoliborza, czyli pięknego brzegu Wisły.

Z moim kompanem dzieciennych wypraw, najdawniejszym i najwierniejszym przyjacielem Romkiem Wolańskim czytaliśmy przygodowe książki Londona i Curwooda i w nadwiślańskich łęgach wśród omszonych drzew i wysokich pokrzyw budowaliśmy z patyków nasze traperskie faktorie. Paliliśmy w nich ogniska i piekliśmy ziemniaki.

Nad Wisłą, gdzieś w okolicach mostu Grota Roweckiego, gdy miałem 10-11 lat, zobaczyłem pierwszego w życiu bielika.

Wielkie ptaszysko niczym latająca deska surfingowa szybowało wysoko, prawie nie poruszając skrzydłami. Ścigała go niczym zwrótny myśliwiec wścibska wrona. Wyraźnie dawała mu się we znaki, a ja patrzyłem na to z zachwytem, ale i pewnym niesmakiem, ponieważ wtedy na początku lat 80. ubiegłego wieku, tuż po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, żywe było hasło „orla wrona nie pokona”.

Młodym czytelnikom wyjaśnię, że WRON-ą nazywaliśmy ówczesną wojskową juntę generała Jaruzelskiego, czyli Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, i było to pogardliwe określenie.

Gdy trochę podrosłem, nad Wisłą urządzaliśmy najdziksze imprezy. A potem już w „Wyborczej” napisałem przynajmniej kilkanaście tekstów o tej rzece, planach jej regulacji, budowie zapór i że trzeba ją chronić.

Wydawało mi się, że Wisłę znam, że nie jest w stanie niczym mnie zaskoczyć. Dziś wiem, że to wszystko było ułudą.

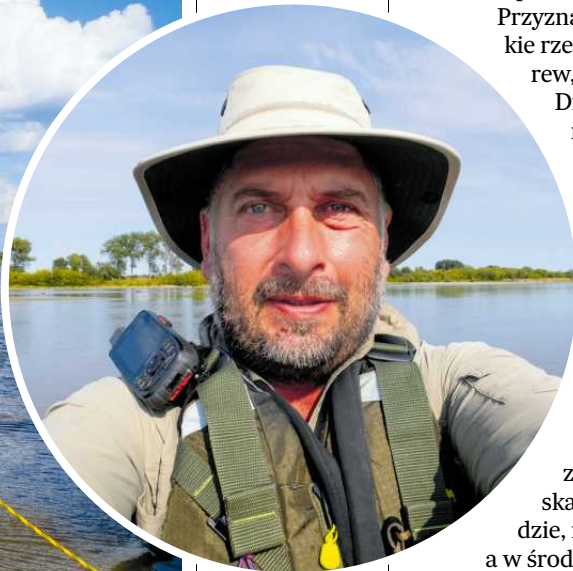
Niepewność

Gdy przyszło mi do głowy, żeby spłynąć Wisłą, zadzwoniłem do Romka Wolańskiego, bo nikt mi się bardziej z Wisłą nie kojarzy. Poza naszą wielką przyjaźnią i wi- ślanymi przygodami był jeszcze jeden powód. Roman



• Rybitwy nad Wisłą gniazdują na piaszczystych łachach. Ich gniazda to często tylko dołek w ziemi

FOT. ADAM WAJRAK (3)



szem, duża rzeka. Największa w Polsce, ma przecież ponad tysiąc kilometrów, miejscami może i trochę dzika, ale przecież są dziksze.

Przyznajcie, że gdy ktoś was pyta o dzikie rzeki, to przychodzi wam do głowy Narew, Biebrza, Bug, Rospuda, Krutynia, Drawa i może jeszcze wiele rzek, ale na pewno nie Wisła, do której przyłgnęło, że jest śmierdząca, brudna, zatruta.

Wisła w naszej zbiorowej wyobraźni jest zaprzeczeniem dzikości.

Pech królowej naszych rzek polega też na tym, że wiję się przez środek Polski. A jakoś już tak się utarło, że ten środek to nuda i nijakość. Depresyjna rolnicza nizina. Pola ziemniaków i domy z pustaków. Myślimy, że wszystkie skarby przyrodnicze mamy na wschodzie, na południu, zachodzie i północy, a w środku nic.

Tyle że to nie jest prawda.

Moja niewiara w Wisłę była jednak z każdym dniem poddawana próbie. – Nie spodziewałem się, że zobaczę coś aż tak dzikiego – powiedział mi Adrian Zwolicki, biolog z Uniwersytetu Gdańskiego, który z żoną Agatą spłynęli Wisłą w canoe w czasie pandemii. Adrian prowadzi badania w Arktyce, więc wie, co mówi.

Zacząłem przeczuwać, że wybieram się w niezwyczajne miejsce. Nie wiedziałem tylko jak bardzo niezwykle.

Canoe

Żeby spłynąć, potrzebna jest jednostka pływająca. Dlaczego wybrałem kanadyjkę, inaczej canoe, a nie tak powszechny w Polsce kajak? Myślicie, że rozwa-

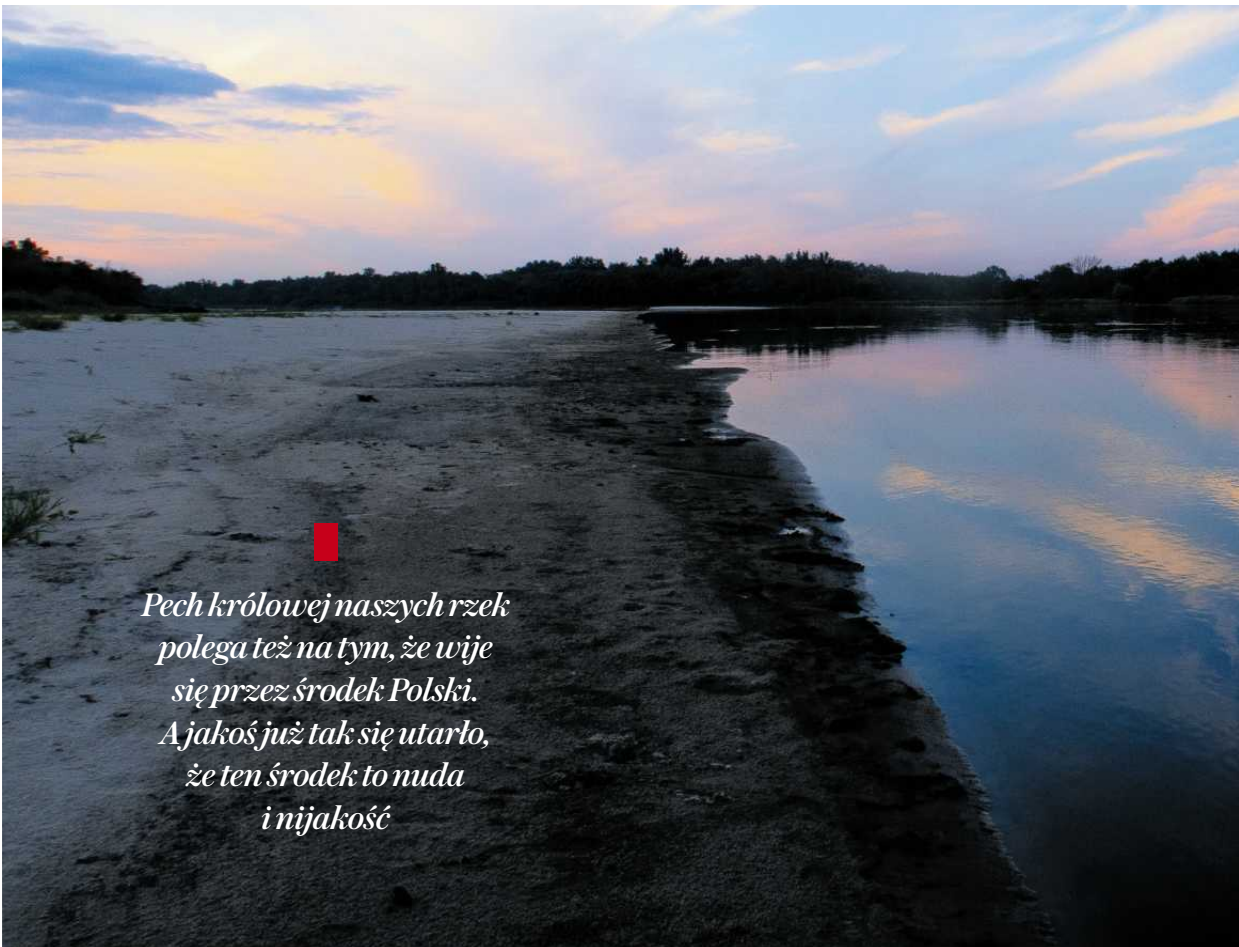
Dlaczego wybrałem kanadyjkę, inaczej canoe, a nie tak powszechny w Polsce kajak? Myślicie, że rozważałem jakieś za i przeciw obu sposobów pływania. Nic z tego

co jakiś czas splywa tam kajakami z dziećmi i przyjaciółmi i od lat bardzo mnie namawiał, żebym w końcu się tam wybrał.

– Jak tam jest? – zapytałem.
– Nie będziesz żałował. To coś tak egzotycznego, że aż trudno uwierzyć – powiedział.

Ale ja wciąż nie wierzyłem. To zresztą nie dotyczyło tylko Romana. Kiedy Jan Mencwel i inni działacze Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz” zaproponowali, żeby powstał Wiślany Park Narodowy, nie byłem specjalnie do tego przekonany. No ow-

• Adam Wajrak i jego canoe, w którym musiał zmieścić się m.in. 90-litrowy zapas wody



**Pech królowej naszych rzek
polega też na tym, że wiję
się przez środek Polski.
A jakoś już tak się utarło,
że ten środek to nuda
i nijakość**

załem jakieś za i przeciw obu sposobów pływania. Nic z tego. Nie wybierałem i nic nie rozważałem. Ktoś wybrał za mnie.

Dawno temu zrozpaczony brakiem śniegu zapytałem mojego polarnego mistrza prof. Marcina Węśławskiego, dzięki któremu po raz pierwszy pojechałem w Arktykę, co mam ze sobą zrobić, skoro nie mogę ganiać na nartach po lesie. Czym zastąpić tą przygodową dawkę endorfin, którą dostawałem każdej zimy? Jaki sposób włóczęgi sprawi mi radość?

– To proste – odpowiedział mój mistrz. – Musisz mieć kanadyjkę.

A w sprawie przygód z Marcinem się nie spieram, bo mało kto lepiej rozumie, co to przygoda. Marcin miał ich mnóstwo, zarówno w Arktyce, jak i na Wdzie i jej dopływach, które przemierza swoją kanadyjką.

Natychmiast kupiłem kanadyjkę i to dokładnie taką, jak radził Marcin. Długą na ponad pięć metrów i bardzo mocną, bo aluminiową.

– Dam w tym radę pływać po małych puszczańskich rzeczkach? To wielka łódka – dopytywałem.

– Dasz, bo one mają małe zanurzenie i są bardzo zwrotne, ale stabilne. Wszędzie nią wpłyniesz.

Białostocki artysta Wojtek Koronkiewicz namalował na jej burcie piękną wydrę, bo postanowiliśmy z Nurią, że łódkę nazwiemy „Lutra”, co po łacinie znaczy wydra. Na cześć naszej wydry Julka, z którą lata temu poznawaliśmy pobliską Łutownię, małą rzeczkę przepływającą przez Teremiski.

Moje doświadczenia w pływaniu canoe nie były imponujące. Raz popłynąłem kawałek po Narewce – rzecze przepływającej przez Białowieżę. Raz byłem na Zalewie Siemianówka na północy Puszczy. Kilka-naście razy spłynąłem naszą Łutownią.

Wystarczyło, abym zauważył, że świat z łódki wygląda inaczej niż z brzegu.

Pozornie ślamazarna Łutownia miała miejscami zaskakująco szybki nurt, a w okolicach bobrów jest pełno życia. Jak mówił Marcin, dało się nią wpłynąć wszędzie. Kanał bobrowy? Wpływam. Zalany las? Nie ma problemu, przepływam między drzewami.

Technicznie byłem i wciąż jestem jednak początkujący. Jestem kanadyjkowym żółtodziobem. Nie potrafię wiosłować tak, jak się powinno, czyli z jednej strony. To dzięki temu kanadyjka może wpływać w naprawdę wąskie przesmyki.

Gdy sobie nie radziłem, to przekładałem wiosło z jednej strony na drugą, a to – jak mówi Marcin – jest nie tylko nieeleganckie, ale i mało efektywne.

Nie potrafiłem też właściwie kończyć pociągnięcia wiosłem, robić takiego „zawijasa” piórem, żeby „Lutra” szła prosto.

Nie mówiąc o tym, że zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że istnieją specjalistyczne pociągnięcia, np. pociągnięcie tropiciela, zwane też indiańskim, służące do cichego podpływania do zwierząt.

Jestem tak zielony w pływaniu kanadyjką, że kiedy w jednym z programów telewizyjnych „Wajrak na Tropie” moje szarpanie się z łódką i wiosłem zo-

▲ Według Monitoringu Ptaków Polski w 2023 r. liczba par lęgowych czapli białej pierwszy raz w historii badań przekroczyła 1000

baczyli mili i uczynni ludzie ze stowarzyszenia Canoe Polska-Stowarzyszenie Kanu, natychmiast wysłali mi poradnik, jak wiosłować (za co im przy okazji dziękuję).

Jednostkę pływającą więc miałem, choć niezbyt dobrze potrafiłem ją obsługiwać.

Lista

Zaletą kanadyjki jest to, że można do niej załadować naprawdę wiele. Nasza „Lutra” może swobodnie nieść trzy osoby albo blisko pół tony ładunku.

Plan był taki, że choć płynę przez środek kraju, to praktycznie przez dwa tygodnie nie wychodzę z rzeki. Śpię w namiocie w dziczy, nie chodzę do wsi po wodę ani do sklepu po jedzenie. Ludzi tylko spotykam na wodzie.

Na łódce musiałem mieć wszystko: żarcie liofilizowane i suszone owoce, zapas wody (90 litrów) i filtr do wody, wielki gar, w którym tę wodę z Wisły po przefiltrowaniu bym jeszcze zagotował i później wychłodził, panele słoneczne i akumulatory, żeby nie biegać do ludzi z ładowarką i telefonem.

Na liście, którą przygotowałem, było ponad 80 pozycji. Wyglądało to, jakbym jechał naprawdę w jakąś dziczą.

Nie chodziło jednak o żaden wyczyn, bo, bądźmy poważni, ludzie pływają po Wiśle z dziećmi w ramach wakacyjnego wypoczynku. To miała być wycieczka, a nie wielka wyprawa. Ale chciałem skupić się tylko na rzece i wiślanej przyrodzie, a nie zaopatrzeniu i logistyce.

Oczywiście, dopytywałem Romana i Adriana, co zabrać ze sobą z rzeczy nieoczywistych. Co mnie tam czeka.

– Coś od słońca. Kapelusz i krem, bo to wielki otwarty teren, gdzie nie ma cienia, a w sierpniu słońce ostro daje – mówił Roman i dorzucił, że przeciwśłoneczny parasol też by się przydał. – Kamizelkę koniecznie musisz mieć cały czas na sobie. To bezpieczna rzeka, ale będziesz sam.

Nasza przyjaźń jest chłopacka i pełna wzajemnej troski. Romek też radził, żeby patrzeć na brzegi.

Tam, gdzie brzeg jest wysoki, woda jest głębsza i silniejszy nurt.

– Łatwiej się płynie, choć trzeba uważać na zatopione drzewa.

– Koniecznie długie cumy. Z przodu i z tyłu. Najlepiej, by to była pływająca lina. Przy takiej łódce przydałyby się liny nieco ponad 15-metrowe – mówił Adrian. – Jak wpadniesz na mieliznę, będzie łatwiej łódkę przeciągnąć.

Polecił jeszcze lornetkę, którą warto zawsze mieć pod ręką. Nie tylko, by obserwować zwierzęta, ale wypatrzeć dobre miejsce do lądowania na nocleg, odpowiednio wcześniej, zanim je minę z prądem, bo później trudno zawrócić. Lornetka umożliwia lepiej wybierać kurs i daje większe pole do manewru.

– I jeszcze rękawiczki. Takie kolarskie. Niby płynie się z nurtem, ale jednak trochę tym wiosłem trzeba popracować. Można się nabawić odcisków, a to nie jest przyjemne.

Zadzwoiłem jeszcze do Jacka Marczewskiego, znakomitego fotografa, który kiedyś pracował w „Wyborczej”. Jest miłośnikiem Wisły, pływa po niej drewnianą tradycyjną łodzią, niedawno zrobił piękną wystawę o wystających z jej wód drzewach i konarach.

Jacek ostrzegł: – Uważaj w Kozienicach, tam jest próg spiętrzający przy elektrowni i trzeba przenieść łódkę. Gdy się będziesz zbliżał, trzymaj się lewego brzegu.

Jego druga rada brzmiała jak zaproszenie do najlepszej przygody: – Patrz na wodę, ucz się czytać z rzeki i wtedy będzie wspaniale. Zazdroszczę ci, że płyniesz.

Kibel

Drugiego sierpnia załadowaliśmy „Lutrę” na dach samochodu i razem z moim przyjacielem i reżyserem programów przyrodniczych Andrzejem Załęskim ruszyliśmy w kierunku Tarnobrzega.

Nie chciałem płynąć wcześniej, bo wiślane lachy są miejscem lęgowym wielu ptaków. A w sierpniu, nawet jak mają jeszcze młode, to już całkiem wyrosnięte i odchowane, więc im nie zaszkodzi.

Z Andrzejem umówiliśmy się tak, że woduje mnie 3 sierpnia i odbiera dwa tygodnie później. Bez względu na to, gdzie dopłynę. Bardzo chciałem zrobić to, co kocham najbardziej, czyli się powłóczyć.

Później ci nieliczni spotkani na wodzie albo na brzegu zadawali bardzo oczywiste pytania:

– Skąd pan płynie?
– Z Tarnobrzega.
– A dokąd? Do Gdańska? – zgadywali, patrząc na wyładowaną łódkę.

– Nie, do 18 sierpnia. I nie wiem, w jakim punkcie na mapie ten dzień mnie zastanie. Czy nie na tym polega czasoprzestrzeń?

Widziałem zdziwienie na twarzach, a później cudowny uśmiech, gdy docierało do nich, o co chodzi.

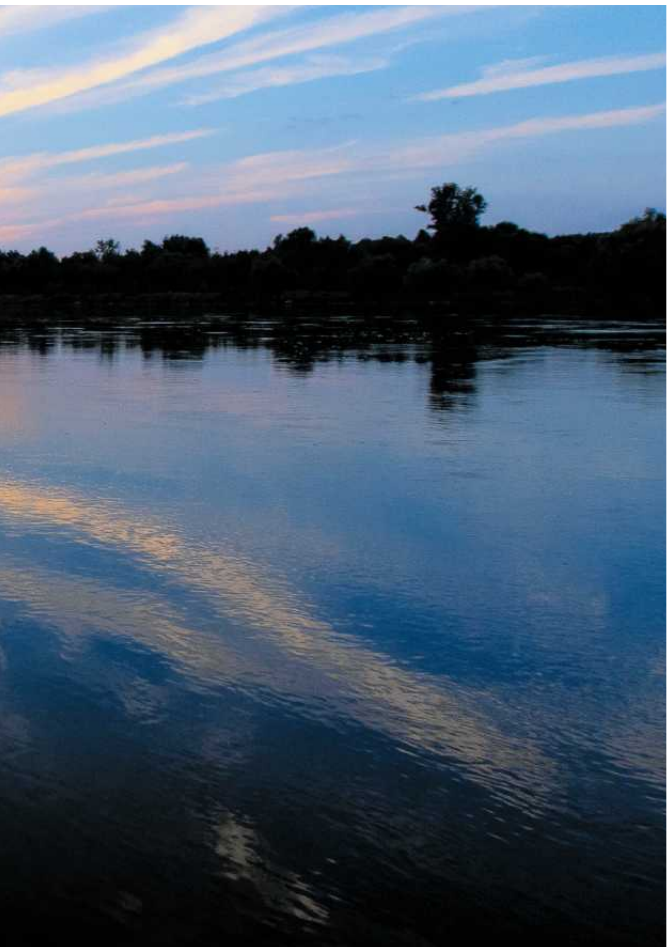
Bardzo mamy utrwalone w głowach, że trzeba przebyć z punktu A do punktu B, zrobić jakąś trasę, zmieścić się w określonym czasie.

A ja chciałem być od tego wolnym, włóczyć się bez geograficznego przymusu.

Wolność miała też polegać na tym, że kończę na dwa tygodnie z relacjonowaniem w mediach społecznościowych na żywo, co robię. Tylko najbliżsi wiedzieli, gdzie jestem.

Pierwszego dnia od rana padało i wiało. Nie uśmiechało mi się rozpoczynanie wycieczki od walki z wiatrem i wylewania wody z „Lutry”, która jest otwarta i ma niezabudowany pokład. Na wyprawach polarnych na taki dzień, gdy nie można się ruszać, mówimy „kibel”. Zwykle leżymy w namiocie, nic nie robimy i oszczędzamy siły. Uświadomiłem sobie, że nie mam czajnika, który jest najlepszy, kiedy trzeba szybko zagotować wodę do zalewania liofilizatów na benzynowej maszynie.

Wprawdzie do gotowania miałem przypominającą starą bańkę na mleko czajnik-palnik, wymyślony przez irlandzkich rybaków, który spala wszelkie-



▲ Prawie co drugi samiec czajki (u góry z prawej) ma więcej niż jedną partnerkę i wszystkie budują gniazda blisko siebie

► Czapla siwa, dziesięciokrotnie liczniejsza od białej, najbardziej aktywna jest o świcie i wieczorem



FOT. ADAM WAJRAK (4)

go rodzaju patyczki, paprochy, suchą trawę, szyszki. Zagotowuje 1,5 litra wody w dwie minuty i naprawdę jest znakomity, ale liczyłem się z tym, że czasami patyczków może nie być. Ponieważ bałem się picia wody z Wisły, nawet po przefiltrowaniu i przegotowaniu, więc dokupiłem jeszcze dziesięć litrów wody.

Wodowanie

Jacek Zelik, który jest mieszkającym w okolicy kajakarzem i wielbicielem Wisły, doradził, że najlepszym miejscem do wodowania będą okolice promu w Tarnobrzegu i właśnie tam dotarliśmy, gdy tylko przestało padać.

Przetrenowane wcześniej w Teremiskach pakowanie poszło bardzo sprawnie. Wodoszczelne wory z jedzeniem, ubraniami, namiotem przymocowałem do łodzi. Luźno spakowane miały działać jak worki wypornościowe i utrzymać „Lutrę” w razie kłopotów na powierzchni – na prawdziwe worki wypornościowe nie było miejsca.

Kanistrów z wodą już nie mocowałem do łódki. Były powiązane ze sobą, ale nie z łodzią. W razie wywrotki miały swobodnie wypaść, a nie ciągnąć niczym balast łodzi na dno.

Do tego bosak, zapasowe wiosło (na wypadek zgubienia podstawowego, choć było one uwiązane na smyczy), rzutka ratunkowa i boja pływacka,

a także kółka do lądowego transportu łódki w razie konieczności.

Aparat z boku w nieprzemakalnym plecaku, abym mógł po niego szybko sięgnąć.

Z małej buteleczki z likierem uroniłem kilka kropel do rzeki, na łódkę i wypilem mikro lyczek.

– Dla rzeki, dla łodzi i za powodzenie – ten morski rytuał, który kiedyś przed wyruszeniem na bałtyckie foki pokazał mi w Estonii Ivar Jussi, badacz tych zwierząt, był też znakiem, że na czas wycieczki koniec z alkoholem.

Włączyłem satelitarny komunikator, dzięki któremu Nuria i Andrzej wiedzieli, gdzie jestem, odbilem od brzegu i ruszyłem przed siebie.

Obciążona „Lutra” szła prościutko w dół rzeki i wydawało się, jakbym nagle technikę wiosłowania opanował do perfekcji. Po kilkudziesięciu minutach zacząłem mijać pierwsze piaszczyste lachy. Na jednych siedziały stada czajek, kormorany, między którymi biegały sieweczki, inne zaś w posiadanie wzięły czaple siwe. Na resztkach kamiennych ostróg widać było białe jak śnieg czaple białe.

Po chwili zorientowałem się, że te wszystkie ptaki w ogóle się mnie nie boją. Mogłem je mijać bardzo blisko. Człowiek w łódce nie kojarzył się im z niczym złym. Z każdym pociągnięciem wiosła wpływałem głębiej do wiślanego raj. ● Ciąg dalszy nastąpi

Kalendarz przyrodniczy Adama Wajraka



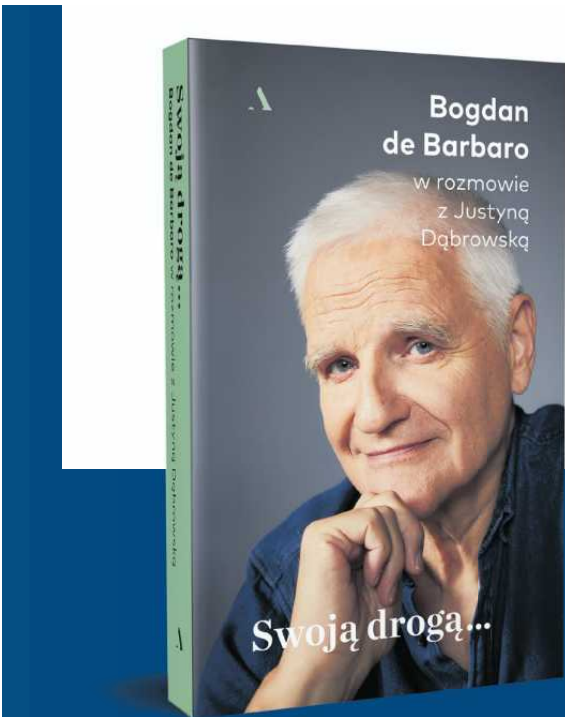
• Nasz tegoroczny Przyrodniczy Kalendarz zwraca uwagę na nieoczywiste przyrodnicze cuda. W 2025 roku będą nam towarzyszyć nie tylko fotografie zwierząt zamieszkujących Puszc-

zę Białowieską m.in. żubrów, wilków, ale też zwierząt żyjących w korycie Wisły. Do zrobionych przez siebie zdjęć Adam Wajrak przygotował krótkie opisy. Przeczytaj w nich Państwo o zwyczajach gatunków żyjących w Puszczy Białowieskiej i korycie Wisły oraz o okolicznościach, w których powstały fotografie. Zdjęcie na okładkę wybrali czytelnicy. W tym roku znalazła się na niej sieweczka obroźna, mieszkanka Wisły.

Kalendarz można kupić na [Kulturalnysklep.pl](https://www.kulturalnysklep.pl)

REKLAMA

Kraj/34337861



Jeden z najwybitniejszych polskich psychiatrów

O SWOJEJ FILOZOFII, PRACY Z PACJENTAMI I ŻYCIOWEJ DRODZE

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



PATRON MEDIALNY



LABORATORIUM PSYCHOEDUKACJI



Wydawnictwo Agora

MĘSKOŚĆ **N**A NOWONie odnalazłem się
jako • •
Wiking

– Plakałem,
lubilem
kwiatki,
interesowały
mnie
ubrania.
Stałem przed
lustrem i wy-
pracowywa-
łem sobie
nowy styl
bycia. I tak
stałem się
młodym
mężczyzną

Z PISARZEM
KARLEM OVEM
KNAUSGÅRDEM,
AUTOREM
MONUMENTALNEJ
„MOJEJ WALKI”
ROZMAWIA
WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: Co dla ciebie znaczy „być mężczyzną”?
KARL OVE KNAUSGÅRD: – Bycie mężczyzną to wypełnianie funkcji. Najpierw jest się synem, potem ojcem. Ale po drodze jest się członkiem męskiej społeczności. Najpierw wśród kolegów – na podwórku, w szkole. Później – w pracy czy wśród przyjaciół. Ta męska społeczność ma swoje wymagania, określa, jaki mężczyzna powinien być. Wyznacza granice.

Kiedy dorastałem w latach 70. XX w., w Norwegii wzorcem męskości byli wikingowie. Nie umiałem się w tym wzorcu odnaleźć. Wszystko, co robiłem, było z nim niezgodne.

Co robiłeś?

– Plakałem, lubiłem kwiatki, interesowały mnie ubrania.

Różowe?

– Gorzej, czerwone. W szkole przygotowano dla nas bluzy z logo szkoły. Do wyboru były kolory niebieski i czerwony. Dziewczyny decydowały się na bluzy czerwone, a chłopcy – niebieskie. Poza mną. Podobaly mi się czerwone, nic nie mogłem na to poradzić. Jak jesteś w grupie rówieśniczej, to taki wybór jest gestem równoznacznym niemal z jej zdradą. Takich rzeczy nie wolno robić. Wyzywano mnie. Mówiono, że jestem „femi”. To było bardzo trudne. Przeżyłem kryzys. Wtedy się przeprowadziliśmy. Nowe miejsce dawało szansę na odmianę losu.

Pamiętam, że zanim poszedłem do nowej szkoły, stałem przed lustrem i wypracowywałem sobie nowy styl bycia. Próbowalem być męski. Przestałem się interesować ubraniami, pilnie uczyłem się nowego mnie. Ratował mnie fakt, że bardzo dobrze grałem w piłkę nożną. Zatem bez problemu wszedłem w męskie środowisko. I tak stałem się młodym mężczyzną.

Pierwszy kryzys męskości za tobą.

Jednak nie ostatni.

– Zostałem ojcem. To zawsze jest bezpośrednio związane z męskością. Nie jest łatwo odnaleźć się w sytuacji, gdy trzeba tulić dziecko, karmić butelką, nosić... Nosząc dziecko, układa się je przy piersi, w geście podobnym to tego, który robi karmiąca kobieta. Moje poczucie męskości zaczęło się chwiać. To było nieprzyjemne. Przypomniałem sobie wtedy, że mój ojciec też miał trudności z zaakceptowaniem siebie w roli ojca, który opiekuje się dzieckiem. Świadomość tego wcale nie pomogła – nagle znowu okazałem się synem swojego ojca. Nie kimś już dorosłym, niezależnym.

To wszystko są role, które odgrywamy. W każdej z nich możemy się odnaleźć, ale czasem jest to okupione wielkim wysiłkiem. Mężczyźni nie przyznają się do tego, ale bardzo często zadają sobie pytanie o to, jakim mężczyzną są. Nie ma jednego, trwałego modelu męskości.

Odgrywanie ról brzmi jednak jak udawanie kogoś, kim się nie jest.

– Jeśli dobrze gramy jakąś rolę, zyskujemy bezpieczeństwo. Dlatego nie mam problemu z przyznaniem, że wiele ról już zagrałem i wielu się nauczyłem.

Współczesny mężczyzna z jednej strony dostaje komunikat – musisz być delikatny, empatyczny, a z drugiej – ma być tym, który, jak będzie kryzys, zbuduje szalas i upoluje zwierzynę.

– Funkcjonują dwa przeciwstawne sobie oczekiwania wobec mężczyzny. Kiedy społeczne oczekiwania zmieniają się w trakcie naszego życia, pojawiają się niepewność i lęk. Jak się w tej nowej roli odnaleźć? Media przez kilka lat opisywały Andrew Tate’a, influencera, który karierę zrobił na chwalebnieniu się swoją mizoginią. Ostatecznie został oskarżony o gwałt i handel ludźmi. Ale stał się wzorcem „tradycyjnej” męskości, która powstaje w opozycji do nowych oczekiwań. Tate to przykład ekstremalny, ale myślę, że kryzys męskości może doprowadzić do wykształcenia się takich postaw.

Polska w latach 70. XX w. była krajem wyraźnie patriarchalnym. Dzisiaj, choć promowany model męskości już z pewnością się zmienił, wciąż nie jest krajem pełnej równości. Jak to wyglądało w Norwegii? – Zaszła radykalna zmiana. Od mojego ojca nigdy nie oczekiwano tego, czego oczekuje się ode mnie. Zaledwie w ciągu jednego pokolenia doszło do gwałtownej zmiany tego, kim mężczyzna być powinien. Czy byłem w tym zagubiony? Jeszcze jak! Ale zostałem ojcem, dzisiaj mam piątkę dzieci i wiesz... robię to, co muszę.

Dawniej dla mężczyzn wzorcem był ojciec. Ze wszystkimi plusami i minusami tej sytuacji. Jednak wydarzenia ostatnich deścioleci sprawiły, że nasi ojcowie jako wzorzec już nie wystarczą. Jest jeszcze gorzej – łapiesz się na tym, że jako dorosłemu człowiekowi wciąż jest ci trudno zrozumieć własnego ojca.

Do tego doszła jeszcze jedna zmiana. Otóż w Skandynawii zaczęto doceniać inne umiejętności. Chodzi już nie tylko o – stereotypowe – upolowanie zwierza, ale też o umiejętności miękkie, akademickie. Na tym polu zdecydowanie lepiej radzą sobie kobiety. Ale od mężczyzn oczekują tego samego. To pogłębia ten kryzys. Finalnie z pewnością wyjdzie z tego coś dobrego, ale teraz nie jest mężczyznom łatwo.

Jako nieheteroseksualnego mężczyzn niedawno mnie zaskoczyło, że heterocy też myślą o swojej męskości. Myślałem, że wam łatwiej, bo nikt jej nie podważa w bezpośredni sposób.

– Rozumiem twoje myślenie, ale jak widzisz, jest inaczej.

Wiele się też zmieniło, jeśli chodzi o świadomość tego, że jesteśmy różni. Kiedy się urodziłem, nie było homoseksualistów. Oczywiście mówię o świadomości społecznej, która się zmieniła. Gdy rozmawiam z moimi dziećmi, to fakt, że ktoś może być niehetero, jest oczywistością. I – znowu – to jest zmiana w ciągu jednego pokolenia.

Szukam w tym pozytywów. Wydaje mi się, że zwiększył się zakres tego, co jako mężczyźni możemy zrobić. Jest wiele sposobów na bycie mężczyzną. Tylko który wybrać?

„Moja walka”, twój monumentalny, sześciotomowy cykl, nie był zbyt pozytywnie przyjęty przez feministki. „Zbyt pozytywnie” to eufemizm...

– Bardzo ciekawe, ale też trudne było przyglądanie się temu, co i gdzie budziło kontrowersje. W Norwegii chodziło o moralność głównego bohatera. Ale też o to, czy można pisać o własnej rodzinie, obnażać jej tajemnice. W Szwecji zwracano uwagę na kwestie polityczne. I na feminizm. Ile tam było protestów! Nazywano mnie Breivikiem, wyzywano od faszystów. Wszystko przez to, że opisałem swoją wściekłość na to, że muszę się zajmować małym dzieckiem. Szczerze opisałem to, o czym przed chwilą mówiłem – poczucie, że tracę męskość, feminizuję się. I za tą szczerość oberwałem.

Zbyt wiele osób czytało moje książki przez pryzmat politycznego, społecznego komentarza. A przecież, gdybym chciał napisać, co myślę o polityce i społeczeństwie, tobym to napisał bez żadnych zaslon.

Wszyscy jesteście przymuszani do perfekcyjnego odgrywania ról, w których nas osadzono. Męskiego, nowoczesnego mężczyzny. Geja, który jest otwarty na każdą odmienność. Gdy pokazujemy, że jesteśmy inni, mamy wątpliwości, przyznajemy się do trudności, jest to odbierane jak zdrada racji stanu.

– Bycie człowiekiem oznacza bycie skomplikowanym, niejednoznacznym. Mieć opinie na każdy temat jest łatwo. Lubimy uproszczony obraz rzeczywistości. Literatura jest od komplikowania. Przyjrzyjmy się wojnie w Ukrainie – to, co czytamy w mediach, jest mocno jednowymiarowe, ale gdy czytamy „Internat” Serhija Żadana, widzimy chaos, niejednoznaczności, jakieś pojedyncze sytuacje, które z trudem składają na pełen

O męskości na nowo

- Twardziel nie płacze i nie sięga po pomoc, stro-ni od lekarzy, za to myśli o seksie i marzy o władzy. Ale ilu mężczyzn naprawdę pasuje do tego schematu? W „Wyborczej” i „Wysokich Obcasach” przyglądamy się współczesnym facetom, pokazujemy wszystkie odcienie męskości.

obraz wojny. U Żadana widzimy też, że na ten „pełen obraz” składają się dziesiątki wydarzeń, scen.

Podobnie jest w twojej „Gwieździe porannej”, pierwszym tomie nowego cyklu – wiele drobnych sytuacji, scen, które poprzedzają coś, co ma nadejść. Nie wiemy do końca co – katastrofę?

– Wszystko przez to, że gdy piszę, nie wiem, jaki będzie tego finał. Dopiero gdy napiszę, układa się to w pełen obraz. W trzecim tomie, który w Polsce wyjdzie dopiero za jakiś czas, wracam do historii opisanych w „Gwieździe...”, ale pokazuję je z perspektywy bohaterów i bohaterek, którym nie dałem wcześniej głosu.

Fascynujące jest to, że opisujesz bohaterów, którzy nie rozumieją, dlaczego podejmują takie, a nie inne decyzje.

– Taką bohaterką na pewno jest pastor, która wraca z seminarium biblijnego, siedzi w samolocie i nagle przychodzi jej do głowy myśl, że nie chce wracać do swojego domu, do męża i dzieci. Gdy pisałem ten rozdział, nie wiedziałem, co się wydarzy. Bohaterka była już w samolocie i... nie wiem, co dalej. Nagle pojawia się w jej głowie zdanie, że nie chce wracać. Co zrobić? Nie może przecież lecieć w nieskończoność, lądowanie już za 40 minut. Jak ten problem rozwiązać?

Chciałem, żeby czytelnik – podobnie jak ja – nie wiedział, czemu ona to robi. Zadawał sobie pytanie: co się dzieje? W życiu tak bywa. Nie zawsze rozumiemy siebie. I ja nie zawsze rozumiem, co się dzieje, gdy piszę. W trzecim tomie wracam do tej sytuacji i opisuję ją z perspektywy męża mojej bohaterki.

W literaturze próbujesz na motywy swoich bohaterów spojrzeć z wielu perspektyw. Czy to pomaga ci w życiu codziennym? Umiesz stanąć niejako obok siebie i przyjrzeć się swoim decyzjom, emocjom?

– Chyba wszystko zależy od tego, jak silne emocje mi towarzyszą. Im silniejsze, tym trudniej. Jak człowiek jest zły, wściekły, to żadna inna perspektywa do niego nie dotrze. Dopiero później widzimy, że było wiele rozwiązań.

Dotyczy to szczególnie relacji z dzieckiem. Opiekując się, często widzimy, że dziecko domaga się czegoś, co – z naszego punktu widzenia – jest niepożądane. Chce się bawić, a my musimy z nim wyjść na spacer. Jak pogodzić te potrzeby? Jak znaleźć w sobie zgodę na autonomię dziecka? Dlatego bardzo nie lubiłem być złym na swoje dzieci – wraz ze złością ginie możliwość przyjrzenia się złożoności tej relacji. Człowiekowi jest łatwiej, gdy ma jedną konkretną rolę do odegrania i tylko w niej musi się odnaleźć. Dziecko to podważa.

Dlatego tak wiele uwagi poświęcasz osobom, które pełnią funkcje opiekuńcze? Pisziesz o rodzicielstwie, ale też masz bohaterów, którzy zajmują się schorowanymi rodzicami czy osobami od nich zależnymi. Takie osoby często muszą znaleźć kompromis pomiędzy własną wolnością a powinnością wynikającą z funkcji opiekuńczej?

– Nie rozumiem twojego pytania. Dlaczego tak sądzisz?

Gdy w Polsce ukazała się książka Didiera Eribona „Życie, starość i śmierć kobiety z ludu”, w której opisuje swoją matkę, w komentarzach często powtarzał się

zarzut wobec autora, że nie ma w nim poczucia obowiązku zajmowania się nią na starość.

– W Norwegii nikt by nie miał do Eribona pretensji.

Na końcu „Mojej walki” piszesz, że przechodzisz na literacką emeryturę. Nie była to prawda.

– Pisząc „Moją walkę”, wiedziałem tylko, jakim zdaniem ją skończę. To było jak światło w tunelu. Wiedziałem, że jak do niego dojdę, to będzie już dobrze. A dlaczego właśnie to zdanie? Byłem przekonany, że jak już to wszystko opiszę, to nie będę miał o czym pisać. Że popełniam literackie, zaplanowane samobójstwo. Czulem się jak David Bowie 3 lipca 1973 roku, gdy wyszedł na scenę londyńskiego Hammersmith Odeon po niemal 200 koncertach zagranych jako Ziggy Stardust i ogłosił, że to ostatni koncert, a on przechodzi na emeryturę.

Sięgnięcie – po tyłu tomach „Mojej walki” – po fikcję było dla ciebie odpoczynkiem? – Nie.

„Moja walka”, o czym pisały media, sprawiła wiele turbulencji też w twoim życiu. Czy fikcja okazała się bezpieczniejsza w świecie, który w tekście zawsze widzi autora?

– Wszyscy pisarze starają się znaleźć odpowiedni język, który pozwoli im zbliżyć się do świata. Zrobiłem to w „Mojej walce”. To było doświadczenie niezwykle intensywne, niemal ekstremalne. Pisząc szósty tom, wiedziałem, jakie są reakcje, co się dzieje z recepcją tego cyklu. Ale też wiedziałem, czego ludzie oczekują ode mnie jako autora „Mojej walki”. Wtedy zacząłem grać wbrew czytelnikom. Napisałem wiele stron w ten sposób, ale poczułem, że to oszustwo, falsyfikat. Zacząłem od nowa. I od nowa. To był trudny proces. Gdy człowiek wie, co ma napisać, tym bardziej oddala się od siebie. A w fikcji wszystko jest dla mnie nowe. Dlatego fikcja nie daje mi poczucia bezpieczeństwa.

Jakiś czas temu w ramach projektu „Future Library” napisałeś powieść, która zostanie opublikowana dopiero w 2114 roku...

– Mam absolutny zakaz mówienia czegokolwiek na temat tej książki.

Pozwól jednak na jedno pytanie. Myślisz, że za te niemal 100 lat czytelnicy wciąż będą rozumieć twoich bohaterów?

– „Future Library” to projekt artystyczny wymyślony przez Katie Paterson przy wsparciu władz Oslo. Od 2014 roku co roku jeden pisarz lub pisarka przekazuje do biblioteki rękopis nieopublikowanego wcześniej dzieła. W efekcie powstanie antologia 100 dzieł, które zostaną opublikowane w 2114 r. Co roku przy przekazaniu manuskryptu do biblioteki na wzgórzu nad Oslo sadzone są drzewa, które zostaną użyte do wyprodukowania tych książek.

A czy rozumiemą? Tak! Bardziej zastanawia mnie to, czy jeszcze będziemy czytać książki w papierze. ●

- Rozmowę tłumaczyła Iwona Żimnicka.
- Rozmawialiśmy w Krakowie, do którego pisarz przyjechał z okazji Festiwalu Conrada.

Karl Ove Knausgård

- urodził się 6 grudnia 1968 r. w Oslo. Studiował historię sztuki i literaturoznawstwo na Uniwersytecie w Bergen. Zadebiutował w 1998 r. powieścią „W świat” i od razu dostał za nią Norwegian Critics Prize. Znanym pisarzem w Norwegii (i nie tylko) stał się dzięki autobiograficznej serii „Moja walka” (6 tomów, lata 2009-11) i trylogii, na którą składają się przełożone przez Iwonę Żimnicką powieści „Gwiazda poranna” i „Wilki z lasu wieczności” oraz „Det tredje riket”, która ukaże się w Polsce zapewne w 2025 roku.

Anna S. Dębowska

Fragment książki „Śpiewacy eksportowi. Sukces polskich artystek i artystów operowych”

Ludzie myślą, że wszystko zaczęło się od tego wirala, który błyskawicznie obiegł sieć. Na tym parominutowym filmiku śpiewa arię „Vedrò con mio diletto” z opery „Il Giustino” Antonia Vivaldiego. Wygląda jak cherubin z chórów anielskich w starych murach Aix-en-Provence.

Pod filmikiem wyskakują wyznania miłosne, przetaczają się dyskusje na temat jego wyglądu, ubioru, głosu („Jeśli piękno miało by twarz i imię, powinno się nazywać Orliński”), a nawet dywagacje na temat domniemanej orientacji seksualnej – każda orientacja chce go mieć po swojej stronie.

Zobaczył filmik w sieci i westchnął: „Jezu”. No bo jak on tam wygląda: szorty z opuszczonym krokiem, sportowa koszula, znoszone sneakersy. Obok – jego pianista Alphonse Cément stopami w japonkach dotyka pedałów fortepianu. Powiedział im, że będzie to występ dla radia, więc przyszli ubrani jak do radia – w letnie ciuchy. Skąd mogli wiedzieć, że Radio France przyjedzie z kamerami? Ale w sieci to właśnie się spodobało.

Nie zaplanował tego ani Jakub, ani Józef. Jakub, ten obowiązkowy, pracowity, traktujący swój zawód serio, występując publicznie, nie ubierałby się tak „casualowo”. Co innego zaplanowane sesje zdjęciowe, na których zdarzało mu się pozować z gołym torsem – ale to była świadoma stylizacja i gra z wizerunkiem. Z kolei Józek – owszem, umie w social media, ale na coś takiego by raczej nie wpadł. A więc przypadek, przeznaczenie, łut szczęścia?

Książę Kolchidy stoi na krześle

A było to tak – festiwal w Aix-en-Provence zaangażował Orlińskiego do obsady „Erismeny” Francesca Cavalliego. Kompozytor wenecki, utwór – dramma per musica z połowy XVII wieku, coś pomiędzy operą seria i operą buffa, co przybiera na przemian cechy tragiczne i komiczne. W sam raz dla niego. Przypadła mu rola Orimena, księcia Kolchidy. Miał 26 lat, występował z rówieśnikami, w dodatku piekielnie utalentowanymi, jak choćby Lea Desandre – cieszył się. Premiera odbyła się 7 lipca w teatrze Jeu de Paume w Aix-en-Provence po tygodniach ciężkich prób. Jako Orimeno, tryskając energią, wskoczył na krzesło i zaśpiewał beztroską arię, po czym rzucił się do wykonania figur akrobatycznych.

Po premierze postanowili pójść na zasłużone wino. Uroczy piknik na trawie. Józek bawi się znakomicie, po winie staje się wesolutki. Odbiera telefon – ktoś odwołał koncert dla Radio France, słyszy. Ponieważ miało to być „live” w audycji „Carrefour de Lodéon”, potrzebne zastępstwo. Zaśpiewasz? „Jasne, kocham śpiewać”.

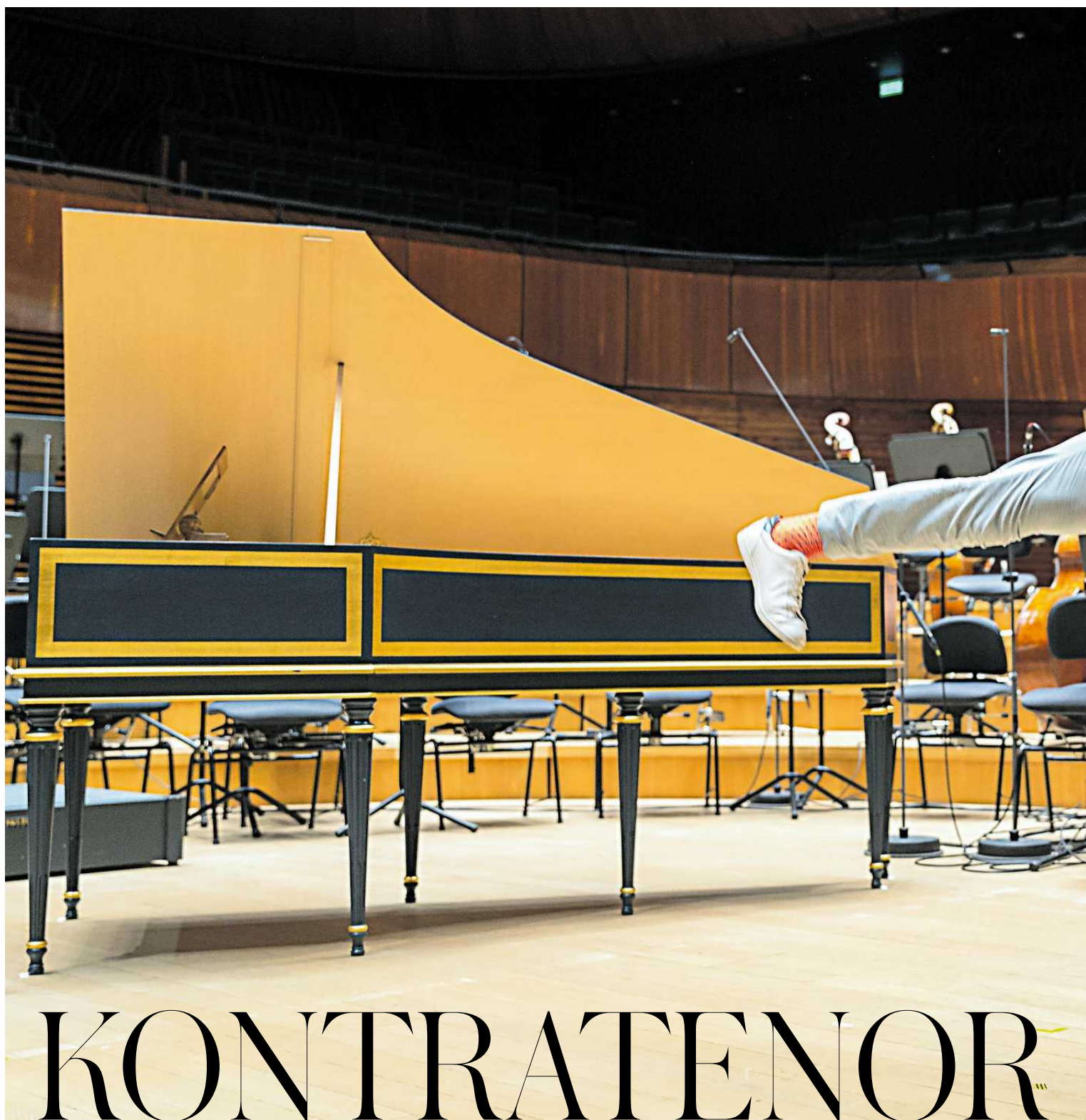
Następnego dnia na małym dziedzińcu staje przy mikrofonach – po premierze nie ma ochoty na fajerwerki w stylu „aria di bravura”. Za nim siedzi ekipa radiowa, obraz idzie na żywo na całą Francję. I się zaczyna – miliony wyświetleń na YouTube i Facebooku. Nawet najlepsza firma PR-owa nie zrobiłaby lepszej reklamy.

Tylko że teraz musi prostować w wywiadach: „Ja o swoją przyszłość zacząłem zabiegać dużo wcześniej, zaraz po studiach. Kręciłem się to tu, to tam, poznawałem ludzi, brałem udział w przesłuchaniach i konkursach. Czasem odpadałem, ale różnym wpływowym osobom zapadałem w pamięć i to później procentowało”.

Wiele pod tym względem wydarzyło się dwa lata wcześniej w Nowym Jorku.

W cieniu Empire State Building

Jakub Józef odchyła głowę do tyłu – tylko przyjmując taką pozycję, może objąć wzorkiem Empire State Building. Jest w Nowym Jorku od paru miesięcy i nie może się przy-



KONTRATENOR EKSPORTOWY

„And three, two, one – go!”. JJ Orliński wchodzi na scenę Metropolitan Opera House. Jest olbrzymia. Czuje, że trzęsą mu się nogi. Ale już cały angażuje się w muzykę i nie widzi przed sobą czterech tysięcy widzów.



zwycięzcy. Czy te budynki muszą być takie wysokie? Wychodzi z metra, patrzy wokół i czuje się jak robak. Do tego te tłumy, które pędzą przed siebie. Wciąż ma wrażenie, że stoi komuś na drodze. Z tego wszystkiego zaczął chodzić dwa razy szybciej. Tęskni za Warszawą, za zielenią Żoliborza. Przejechałby się na rolkach koło Cytadeli. Ale nie – odgania myśl. Przyjechał nauczyć się jak najwięcej. Posłuchał rady Eytana Pessena. Najpierw próbował się dostać do Curtis Institute of Music – okazało się, że nie szkołą tam kontratenorów. Spróbował do Juilliard School of Music i się dostał. Jego pianista Michał Biel także – to była dobra wiadomość, bo raźniej.

Jakoś się polubili z Michałem. Owszem, spuścił go wtedy po brzytwie, ale parę dni później wrócił skruszony: „Posłuchaj, czy ta propozycja jest nadal aktualna?”. Okazało się, że jego śpiewacy nie mogli jechać do Bukaresztu, pochorowali się, a ponieważ bilet lotniczy miał już w kieszeni, postanowili dołączyć. Do Warszawy wrócili z nagrodami – trzecie miejsce dla Orlińskiego, dla Michała nagroda dla najlepszego konkursowego pianisty. Od tej pory są nierozłączni.

Juilliard dało Józce stypendium, ale to było tylko 25 tys. dol., a roczne cze-



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

◀ **Próba przed galą Fryderyków w sali NOSPR w Katowicach (20.03.2020). Kontratenor Jakub Józef Orliński, rocznik 1990, od lat ćwiczy także breakedance**

▶ **Niżej: Koncert - opera barokowa „Orfeusz i Eurydyka” w Filharmonii w Szczecinie (18.01.2024)**

sne kosztuje 42 tys. Nocami pisał podania o stypendium do różnych firm. W końcu od Fulbright Polska dostał drugie tyle. Na drugim roku było lepiej – prawie pełne stypendium ze szkoły, dodatkowo ciągłe wsparcie Fulbright Polska.

Siada na ławce w Central Parku z kawą w kartonowym kubku. Czemu ta kawa musi być rozwodniona? A jednak uwielbia „deli”, te małe sklepiki skrzyżowane z barami. Central Park daje trochę odpoczynku od zgiełku miasta, ale nie da się zapomnieć, że to serce Manhattanu – zza domów, tyszych o tej porze roku drzew wylaniają się drapacze chmur.

Na sześciu metrach w kampusie przy Lincoln Center

Z Michałem Bielem mieszkają na sześciu metrach kwadratowych w kampusie przy Lincoln Center, 16 tys. dol. za dwa semestry. Śpią na łóżku piętrowym – on na górze, Michał na dole. W pokoju są dwa miniaturkowe biurka, w ścianie – wnęki na ubrania oraz okno, którego nie da się otworzyć. W Ameryce są takie zasady, że powyżej trzeciego piętra okna są zablokowane. Żeby ktoś nie wyskoczył. „Ja im się nie dziwię. Tu jest takie napięcie, że czasami też bym chętnie skoczył” – myśli.

Za to zajęcia są wspaniałe. Po pierwsze, są tu świetni pedagodzy z całego świata. Po drugie, uczy się stylów muzycznych, tego nie miał w Polsce. Każdy styl, czy to związany z epoką, czy konkretnym kompozytorem, ma swoje zasady i estetykę – trzeba mieć tego świadomość i uwzględnić

w wykonaniu, a nie pruć wszystko na jedno kopyto. Są też do wyboru warsztaty z wymowy francuskiej, włoskiej, rosyjskiej. Bierze jak najwięcej zajęć, aby wykorzystać czas maksymalnie.

Nocami mailuje do agentów, menedżerów, dyrektorów teatrów i konkursów wokalnych, próbuje załatwić sobie przesłuchania. Z Michałem byli chyba na stu. I w końcu jest świetnie – wygrywa konkurs Fundacji Kościuszkowskiej im. Marcelli Sembrich-Kochańskiej (2015) i Lyndon Wo-odside Oratorio-Solo Competition (2016).

„And the winner is...”

Teraz stoi przed nowym wyzwaniem: „Metropolitan Opera National Council ma kilka etapów i jest jak liga piłkarska. Ludzie szaleją na trybunach, gdy zaśpiewasz arie Händla”. Rzykowna sprawa – startują w nim setki amerykańskich śpiewaków młodego pokolenia, świetnie wytrenowanych i przygotowanych. Jego profesorka Edith Wiens z początku kręci nosem – „Już na pierwszym roku?” – ale Jakub Józef stawia na swoim.

W pierwszej fazie konkurs odbywa się w czterdziestu dystryktach w całym kraju – i to w dwóch etapach: półfinałowym i finałowym. Wynik tego drugiego decyduje o dopuszczeniu uczestnika do ostatecznej rozgrywki – z orkiestrą na scenie Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Bez trudu awansuje w regionalnych półfinałach.

Jakub Józef jedzie do Bostonu. Następnego dnia śpiewa w finale swojego dystryktu New England Region. Jest roz-

trzęsiony, cholerna zima! Odwołali loty, wstrzymali autokary, cudem złapał ostatni pociąg. Dojeżdża o północy. Ale co to? W mieście śniegu po kolana, taksówki nie uświadczysz. Zima znów zaskoczyła drogowców? Przedziera się przez zaspę – w sumie dwa kilometry przez śnieg i mróz. Do hotelu dociera zziębnięty, przemoczony. Przesłuchanie ma rano. Czy w ogóle warto iść spać?

„And three, two, one – go!”. JJ wchodzi na scenę Metropolitan Opera House. Jest olbrzymia, siedzi na niej orkiestra.

W finale konkuruje ze sobą dziewięć osób, m.in. rewelacyjna mezzosopranistka z Kanady Emily D’Angelo. Jest jedynym Europejczykiem w tej stawce („Orliński – Warsaw, Poland, currently living in New York City”).

Miał krótką próbę, na której pojawił się Mariusz Kwiecień, nowojorski król barytonów. Mariusz otoczył go życzliwością. Scenę Met znalazł jak własną kieszeń, występował tam od 18 lat. Podpowiedział, jak kierować głos w tej akustyce. „Po prostu bądź sobą” – powiedział.

Teraz Józef czuje, że trzęsą mu się nogi („Niezapomniane wrażenie dla studenta, którym wówczas byłem”). Ale już cały angażuje się w muzykę i nie widzi przed sobą czterech tysięcy widzów (w tym agenci, menedżerowie, dyrektorzy teatrów, jury) i kamer skierowanych w jego stronę. Jest w swojej bezpiecznej przestrzeni. Zarazem ma wrażenie, że ludzie słuchają go uważnie.

„And the winner is... Jakub Józef Orliński!”.

Na walizkach, w masce, słuchawkach, kapturze

Od tego czasu żyje na walizkach, zwłaszcza na jednej, „dość sporej, czerwonej”. W samolotach używa specjalnej maski, dzięki której oddycha się własnym powietrzem. Na uszy zakłada słuchawki z redukcją hałasu, z nich syczy się Jacques Loussier; oczy zasłania parą lustrzanek i zapada się w bluzę z głębokim kapturem. Ma też mały notesik, w którym zapisuje sobie różne myśli. Podróż to dla niego rodzaj medytacji.

Jakub Józef odstawia filiżankę. Na południu Francji kawa jest lepsza niż w Paryżu, ale nie ma to jak Rzym. A zatem postanowione. Naprzeciw niego siedzi Alain Lançeron, szef wytwórni fonograficznej Warner Classics/Erato. Odpowiada za wydawanie płyt z muzyką klasyczną, podobnie jak za czasów Virgin Classic, do momentu, gdy została wchłonięta przez Warnera. Wykreował wtedy wielu znakomitych muzyków – Jakubowi Józefowi trochę się kręci od tego w głowie – Barbarę Hendricks, Natalie Dessay, Philippe’a Jaroussky’ego, Renaud i Gautiera Capucónów, a przede wszystkim Piotra Anderszewskiego. Jeszcze jako dyrektor Virgin Classics doprowadził do wzrostu sprzedaży płyt z muzyką klasyczną ze zwyczajowych 10 proc. do 25. Miał nosa. Dlatego Jakub Józef cieszył się z każdego przesłuchania śpiewanego przed Lançeronom – chciał, aby Francuz dostrzegł, że robi postępy.

Lançeron też odstawia filiżankę. Ten chłopak z Polski jest bardzo interesujący, drzemie w nim potencjał, zauważył to wcześniej, gdy Jacques-Joseph przyszedł

do niego pierwszy raz. Po kilku przesłuchaniach Lançeron był skłonny wydać mu płytę. W końcu kontratenorzy do brze się sprzedają, mają swój target – nowe nazwisko co jakiś czas jest potrzebne, aby pokazać, że ten segment wciąż się rozwija, a stary Alain trzyma rękę na pulsie. Coś mu mówi, że ten chłopak to żyła złota, magnes, który przyciąga oczy i uszy.

Jakub Józef wraca do domu i wciąż nie może uwierzyć. Lançeron zaproponował solową płytę i kontrakt na dwa albumy plus trzeci, jeśli tamte będą się dobrze sprzedawać.

„Totalnie mnie wypięło z wrotek i wysadziło na inną planetę” – pisze SMS-a do Piotrka, kumpla, który namówił go na założenie profilu na Instagramie. Nie podejrzewał, że którykolwiek z „mejdżersów” fonografii będzie chciał go „podpisać” – nie tak szybko, w każdym razie.

Oddycha głęboko i myśli: „Jeśli tak będzie, musi to być od początku do końca moja płyta”. Żadnych utartych dróg. Lançeron sugerował Vivaldiego lub Händla? Jakub Józef nie chce być kolejnym śpiewakiem, który wypływa na hitach. Przeciwnie – myśli o czymś nieznanym. I żeby to było duchowe – niekoniecznie religijne. Przypomina mu się katedra w Kolonii i lzy w oczach na koncercie. Jeśli ta płyta powstanie, będzie się nazywała „Anima Sacra”.

Ale najpierw musi wysłać mail do Yannisa François. Tylko on może mu pomóc. ●

Wybór, skróty, tytuł i śródtytuły od redakcji



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Anna S. Dębowska

• Od 2002 roku związana z „Gazetą Wyborczą”, pisze głównie o muzyce klasycznej. Z pasją relacjonowała Konkursy Chopinowskie w Warszawie. Studiowała grę na skrzypcach i altówce na Akademii Muzycznej w Warszawie (obecnie UMFC). Absolwentka Akademii Teatralnej w Warszawie (magister sztuki w zakresie wiedzy o teatrze). Współpracowała z TOK FM, RDC i TVP Kultura. Od 2009 r. jest redaktor naczelną „Beethoven Magazine”, od 2019 r. odpowiada za program gali muzyki klasycznej towarzyszącej rozdaniu nagród fonograficznych „Fryderyk”.

• Książka Anny S. Dębowskiej „**Śpiewacy eksportowi. Sukces polskich artystek i artystów operowych**”, ukazała się właśnie w wydawnictwie Agora. Do kupienia także na kulturalnysklep.pl



wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: ied@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Ciesła
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wietczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski, Dominik Gajda (Ale Historia)

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Z **EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKĄ**,
PSYCHOTERAPEUTKĄ ROZMAWIA
AGA KOZAK

EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA: Zauważyła pani, że kobiety u nas nie przyznają się, ile mają lat? Wydaje się to śmieszne, ale chyba nie jest: powodem jest bowiem wstyd.

AGA KOZAK: Czy to wstyd mieć za dużo lat? Przecież nie mamy na to wpływu, wszyscy się starzejemy.

– Kiedy na spotkaniach mówię: „niedawno miałam urodziny, skończyłam 85 lat”, po reakcji można sądzić, że mówię coś niestosownego, że nie wypada tego tematu w ogóle poruszać. „Wstyd! Wstydzilibyś się! Jak mogłaś?”. No mogłam.

Oburzające.

– Najgorszą rzeczą jest to, że wstyd przykleja się do osoby. Zwykle dotyczy spraw, na które nie mamy wpływu. Bo czy ja mam wpływ na swój wiek? Na kolor skóry, na to, że jestem Żydówką albo że urodziłam się Polką? Na to, że przechodzę menopauzę albo że właśnie mam miesiączkę?

Niektóre z tych wstydliwych tematów dotyczą tylko kobiet, inne są uniwersalne, ale mężczyźni również mają swoje specyficzne wstydy. Czytałam w „New Yorkerze” o rozrastającym się w Stanach Zjednoczonych przemyśle wydłużania penisów. Można się z tego śmiać, ale tak naprawdę jest to chyba bardzo smutne, zważywszy na ogrom cierpienia, jakie przeżywają zwłaszcza ofiary licznych nieudanych zabiegów.

Ale wracając do wstydu – z tym nie ma żartów. Zawstydzanie dotyka człowieka w najbardziej czule miejsca.

Mam wrażenie, że wstyd to uczucie jednocześnie palące i zalewające. Mówi pani o tym, że się przykleja, a ja myślę, że czasem jest gorzej, że jest jak piętno wypalane na czole.

– Można tak powiedzieć, ale porzuciwszy dramatyczny ton, można uznać, że zawstydzanie jest metodą wychowawczą należącą do czarnej pedagogiki, która – wydawałoby się – umarła wraz z Hitlerem, ale najwyraźniej gdzieś tam wciąż ma się całkiem nieźle.

Czarna pedagogika posługiwała się niemal wyłącznie metodami, które wykorzystywały przemoc w różnej formie, czyli stosowanie – wobec dzieci i osób nieposłusznych – kar cielesnych, straszenia, publicznego upokarzania, zamykania w odosobnieniu, głodzenia i wszelkich form poniżania. Zawsze miało to charakter...

...dyscyplinujący...

– ... ale też poczucia wyższych racji. Było stosowane przez tych, którzy posiadają władzę.

U nas zresztą wciąż w prawie rodzinnym pokutuje termin „władza rodzicielska”. Ostatnio grupa posłanek podjęła starania, aby zmienić ten termin na „opiekę rodzicielską”.

Uważam, że słusznie, bo z władzą kojarzą się „poddani”, a z opieką „podopieczni” – i to w sferze obejmującej pedagogikę, czyli wychowywanie i uczenie, chyba właściwsze skojarzenie.

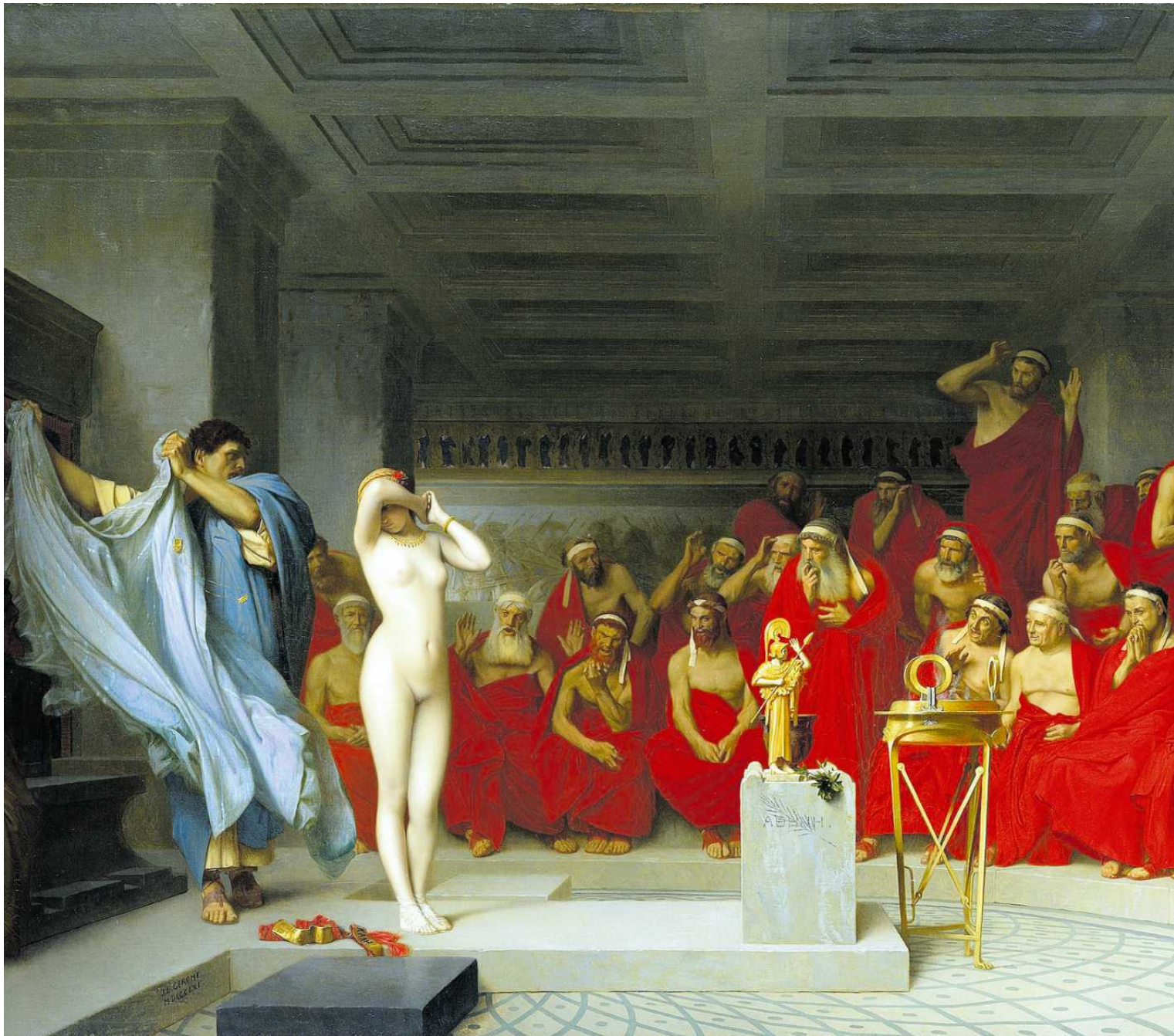
Prawda, że wstyd często miesza się z winą?

– Rzeczywiście tak bywa. Te dwa uczucia różnią się jednak zasadniczo. Wina odnosi się do tego, co ktoś źle zrobił, do czynków – czyn można naprawić, zadośćuczynić, już go drugi raz nie powtarzać. Czyli jest wyjście, a więc sposób, aby pozbyć się winy.

Natomiast wstyd odnosi się do osoby. Wstydzisz się swego wieku – nie możesz go zmienić, więc go ukrywasz, bo ci wstyd się przyznać. Nie pójdziesz na plażę, bo cię zawstydzano, że nie jesteś wystarczająco zgrabna – no nie jesteś i co możesz na to poradzić? Pochodzisz ze wsi – też w niektórych kręgach wstyd. Nie stać cię na all inclusive – podobnie. Wstydu nie naprawisz, a winę tak.

Zeby się nie wydało

W biznesie już się nauczyli, że wstyd nie działa.
W szkole jeszcze nie



• Jean-Léon Gérôme, „Fryne przed Areopagiem”. 1861 r. (fragment) FOT. DOMENA PUBLICZNA

Sekunda, mówimy o winie, a nie o odpowiedzialności?

– Tak, o poczuciu winy, bo odpowiedzialność polega na działaniu, a poczucie winy to stan psychiczny – poczucie, czyli rodzaj emocji. Winą nazywamy zachowanie społeczne bądź antyspołeczne.

Jak się ma do tego wstyd?

– Wstyd jest też uczuciem, rodzajem emocji. Tak jak wina, tylko dotyczy nie tego, co zrobiłam, lecz tego, kim lub jaką jestem. Zawstydzanie jest formą kary, tak jak bicie może być karą albo epitet może być karą. Karą, która upokarza, wprowadza w przykry nastrój psychiczny, jest swoistym potępieniem i odrzuceniem. Ośmieszeniem, wyszydzeniem, wydrwieniem.

Na szczęście już wiemy, że te środki karne wprawdzie mogą w swoim zamiarze wierzać jakiś cel wychowawczy, ale powodują zagrożenie dla poczucia wartości osoby. Zresztą wymyśliłiśmy już lepsze sposoby

pomagania ludziom w tym, jak zmieniać się na lepsze. I to nie dlatego, że przestaliśmy ludzi karać, bo nadal stosujemy sankcje.

Jednak, korzystając też z coraz większej wiedzy o człowieku, wypracowaliśmy sposoby wychowawcze wpływające skuteczniej na poprawę zachowań: bez poniżania, kar cielesnych ani zawstydzania.

Sama pracowałam z osobami łamiącymi wszelkie zasady współżycia i przekonałam się osobiście, że nie trzeba było nikomu dokuczać ani go zawstydzać, aby obudzić gotowość nawet do naprawdy wielkich zmian w ich życiu.

Mówi pani o psychoterapii?

– Można ją rozumieć wielorako. To, co ja robię zawodowo w roli psychoterapeutki, to jest uczenie. Jak przychodził do mnie ktoś i mówił, że się martwi, bo ma taki i taki problem z kimś czy ze sobą, że nie umie sobie poradzić i pije – a takie przypadki zdarzały się oczywiście każdego dnia w mojej prakty-

ce terapii uzależnień – to czekało go/ją uczenie się. Bo

odwyk to jest po prostu uczenie się.

Często podczas tych procesów ludzie nawet trzymają zeszyty na kolanach i robią notatki. Gdy w grupie opisują swoje życie i grupa dzieli się swoimi odczuciami, to również jest forma edukacji. Przebiega ona nie tylko na intelektualnym poziomie, ale również na emocjonalnym i behawioralnym, staje się nową umiejętnością dokonywania lepszych wyborów. Tak działa psychoterapia.

Wstyd ludzi boli, krępuje, odbiera wiarę w siebie, więc trzeba pomóc ludziom od niego się całkowicie uwolnić po to, aby nie przeszkadzał w dobrych osiągnięciach i dążeniu do zmian.

Dlaczego?

– Ponieważ wstyd jest przykrym, brzydkim wyobrażeniem o sobie, dlatego mamy tendencję do ukrywania tego, czego się wsty-

dzimy, co zwykle ktoś nam wmówił, że powinniśmy się wstydzić. Wstydlive rzeczy stają się naszym sekretem. Niektóre z tych rzeczy nawet będą publicznie dyskutowane, inne osoby będą się do nich przyznawać, mówić o nich otwarcie, ale dla osoby, która ten wstyd czuje, będzie to niemożliwe wręcz do wypowiedzenia.

I tak kobiety mogą się wstydzić tego, ile mają lat, swoich właściwości fizjologicznych, potrzeb, na przykład seksualnych – wszystkiego, co jest objęte pogardliwym brakiem akceptacji. Negatywnym wartościowaniem.

A gdy są to rzeczy, nad którymi człowiek ma kontrolę?
– To też zawstydzanie wcale nie jest korzystnym sposobem edukacyjnym. Weźmy np.

Takie myślenie, że jesteśmy super, w ogóle nam się w głowie nie mieści. My sobie nawzajem na to nie pozwalamy

to, że dziecko robi bałagan w pokoju. Reakcją może być: „No nie wstyd ci? Taki duży chłopak i nie umie utrzymać porządku. Jak to ubranie tak może leżeć na ziemi?”.

Co taka reakcja powoduje? Nie potrzeba wielkiej wyobraźni ani empatycznego wczuwania się, żeby wiedzieć, że może się temu dziecku zrobić przykro. A dziś już wiemy, że jak się nam robi przykro, to będziemy gorzej reagować – mamy słabszą pamięć, mniejsze możliwości wyobraźni.

Przykrość sprawia, że się gorzej uczymy – nawet nie ta spowodowana wstydem, ale też ta, że np. ząb nas boli. A przecież wychowanie ma na celu nauczanie. W interesie wychowawcy, rodzica lub terapeuty jest, żeby jak najskuteczniej komuś pomóc, aby się czegoś nauczył. W biznesie już to zrozumiano i zaczęto stosować.

Jak?
– Najpierw udzielając kilku pochwał, a potem zwracając uwagę na jakieś niedociągnięcie, które pracownik powinien naprawić. „Cieszę się, że razem pracujemy, ale popraw ten raport, bo jest w nim kilka poważnych pomyłek”.

Ta zasada wynika z naukowo potwierdzonej teorii pozytywnych wzmocnień, zgodnie z którą ludzie lepiej wykonują zadania i chętniej się uczą, gdy czują się dobrze, a nie źle. Jakoś do nas jeszcze chyba nie dotarła.

Prawda.
– Szkoda. Wróćmy jednak do wstydu. Ponieważ jest uczuciem przykrym, pogarsza samopoczucie. Osoba zawstydzana ma świadomość swoich defektów, niedoskonałości, ograniczeń, może kalectwa, czasem rzeczy, których ukryć się nie da.

Dotyczyć to może również niektórych postępków. Gdy ktoś zwróci uwagę na bałagan w pokoju i powie: „Ależ ty jesteś niechlujna”, to etykieta ta może się stać częścią tożsamości tej osoby. Cokolwiek zrobi, nawet gdy posprząta pokój, to dalej może o sobie myśleć „jestem niechlujna”. To robi człowiekowi natrętne zawstydzanie.

Z czym się to wiąże?
– Ludzie tacy będą usilnie starać się nakładać maski, manipulować, uczyć się sposobów odwracających uwagę od czegoś, co mogłoby ich zdemaskować, czyli odkryć, że mają czego się wstydzić. Niektórzy mogą czasami jechać na zupełnie fałszywym paszporcie.

Będą udawać, że są zupełnie inni, niż naprawdę są. Na przykład ktoś pochodzi ze wsi, babka była analfabetką, a matka karmiła świnię w chlewie, a teraz ta osoba jest dziennikarką, nawet szefową rozgłośni radiowej. I kiedy ktoś ją zapyta: „Czy pani rodzina nie mieszka przypadkiem na wsi pod Przeworskiem?”, to ta przerażona dziennikarka odpowie: „Skądże, to pomyłka”.

Może nawet popłynąć dalej i na ścianie powiesi sobie portret urojonej przodkini w XIX-wiecznym czepku koronkowym i pokazywać wszystkim zdjęcie rzekomo rodzinnego dworku.

Czyli będzie przyjmować fałszywą tożsamość, która ma uchronić przed zdemaskowaniem jej wstydlivego sekretu?
– U nas jest to dość częste, w innych kra-

jach, gdzie ludzie są mniej zakompleksieni, na pewno jest tego mniej. Na pewno Amerykanie są mniej na to podatni, chociaż tam z powodu dużych nierówności też mogą się zdarzać podobne sytuacje. Jednak zdecydowanie są bardziej otwarci i nie chowają chrobliwie swoich sekretów. Mają nawet powiedzenie: „you are as sick as your secret”, (jesteś tak chory, jak twój sekret), co zwraca uwagę właśnie na szkodliwość duszenia w sobie ukrywanych wstydów.

Tu akurat mają rację: jak coś ukrywasz, nie ma sposobu, aby ci pomóc sobie z tym czymś poradzić.

– Są społeczeństwa, gdzie wiele rzeczy nie ma moralnego lub wstydlivego wymiaru, a u nas go ma. Na przykład to, że ktoś jest Żydem czy Żydówką, to, że się ma dziecko urodzone przez surogatkę albo adoptowane. Myślę, że u nas wiele kobiet, które mają usuniętą macicę, nie przyznałoby się do tego i np. nosiło poduszkę, pozorując ciążę, żeby się nie wydało.

Wciąż ocenia się u nas ludzi na podstawie jakichś uprzedzeń i stereotypów. Z tym idzie w parze dość wysoki poziom nieufności, co przejawia się w tym, że ludzie na czymś się przylapuje, snuje się domysły i podejrzenia, okazuje się wyższość moralną w najrozmaitszych kwestiach: „O, a ty nie składałaś papierów o apostazję, ja sprawdziłam!”.

Z tym brakiem zaufania społecznego to logiczne, skoro tak łatwo u nas ludzi na czymś przylapać, zdemaskować, zawstydzić. Nic dziwnego, że tak rzadko mówimy prawdę o sobie. Ile razy pani słyszała takie zdanie: „Mój tatuś był alkoholikiem”?

Teraz już coraz częściej. Albo że jestem DDA.

– Ale niegdyś to był wstyd. Być może to się zmieniło, dopiero kiedy ukazało się w prasie wyznanie córki o tym, co przeżywała jako dziecko w związku z chorobą alkoholową swojej matki. A że dotyczyło to znanej rodziny, Agaty Passent i Agnieszki Osieckiej, tekst wywołał ogólnonarodowy szok, a potem burzliwą dyskusję na temat różnych tabu i dopuszczalności ujawniania trudnych prawd.

Pewną rolę odegrał też wtedy Wiktor Osiatyński, który w telewizji publicznie oznajmił, że jest alkoholikiem.

Pani mąż.
– Powiedział to u Ireny Dziedzic w programie w 1990 roku i ku zaskoczeniu wszyst-

kich opowiadał przez pół godziny o tym, jak wytrzeźwiał, że już nie pije i co z tego wynika dla niego, co z tego wynika dla ludzi – to było dla wielu niesamowitym wydarzeniem. Potem jeszcze napisał sześć książek na ten temat, ale minęło kilkadziesiąt lat i nadal są ludzie, którzy potrafią o alkoholizmie pleść głupoty, powielać mity.

Kiedy rozmawiałam z Pawłem Koślikiem, aktorem, powiedział mi w wywiadzie, że alkoholizm – a właściwie wszystkie uzależnienia – to choroba tajemnic. Ukrywa się swój własny stan, ale też wcześniej czegoś się tak bardzo wstydzi, że trzeba się znieczulić. Bo np. czuję się gorszy(-sza).

– Świetnie powiedział: choroba tajemnic, czyli czego? Wstydów, sekretów, tego, do czego nie można się przyznać, żeby cię nie zniszczyli...

Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: jest troje rodzeństwa – jeśli jedno dziecko jest ciągle traktowane gorzej, będzie się źle czuło, zacznie się wstydzić, że jest sobą. Może więc na różne sposoby starać się tę gorzszą nadrabiać.

A alkohol to taka substancja przebiegła, bo dodaje animuszu: żaden kierowca na trzeźwo nie jedzie z taką brawurą jak pijany.

Tylko wiadomo, że nie jest w stanie pod wpływem alkoholu ocenić zagrożeń i to powoduje wypadki.

Przez te uskrzydłające chwile po piwku za kółkiem myśli, że jest wspaniały. – I po to ludzie się upijają, żeby tak myśleć. Żeby nie czuć wstydu z tego, że jest się gorszym. Gdy komuś jest źle ze sobą, musi coś zrobić, żeby sobie z tym poradzić, bo to uczucie jest nie do zniesienia. Bycie gorszym jest strasznym uczuciem. I w jakimś sensie wstyd jest takim polskim syndromem.

Chciałam o to zapytać, bo ja uważam, że najbardziej polskim uczuciem nie jest miłość, szlachetność czy patriotyzm, ale wstyd właśnie. I rozumiem, że to jest jakoś sklejone z traumą.

– Nieuleczona trauma może uzasadnić poczucie wstydu. A my przeżyliśmy wiele traum. Była trauma biedy. Trauma wojny. A przedtem poprzedniej wojny. Polak widzi w nieszczęściu jakąś ulgę, bo ma wtedy uzasadnienie, dlaczego czuje się gorszy. Tylko pytam: a kto powiedział, że jesteś gorszy? Dlaczego nie pomyślisz, że jesteś super?

Takie myślenie, że jesteśmy super, w ogóle nam się w głowie nie mieści. My sobie nawzajem na to nie pozwalamy.

To jest tak pokomplikowane, tak zasuplane – ten wstyd jest cały czas gdzieś w samym środeczku nas jak pestka, która gryzie człowieka. Jedni drugim nie dajemy o tym zapomnieć...

Od prawie pół wieku sporo pracuję jako psychoterapeutka z Polakami w różnych krajach. W ostatnich miesiącach byłam w Norwegii, Danii, w kilku miastach Niemiec, w Irlandii.

Zauważam ciekawą prawidłowość: Polacy po kilku latach życia na Zachodzie stają się pewni siebie, tryskają humorem, uwalniają się od kompleksów, mniej chorują, są dumni z siebie, o żadnych wstydach nie ma mowy, umieją się bawić bez alkoholu, nie jeżdżą po pijanemu, dla odpoczynku chodzą na tango albo na basen z dziećmi i tylko mają jedną słabość – jak mają problemy, to szukają psychologa z Polski, żeby im pomógł sobie z nimi poradzić.

Z ukrywania wstydu rodzi się też nadmiarowość: jak się wstydzę, to od razu zamieniam się w „najfajniejszą dziewczynę we wsi”. Muszę zakryć staraniem się, efektem to, że myślę o sobie nie najlepiej.
– Na takie zachowanie oraz np. na produkowane przez wstyd przejawy pychy mamy dużo przykładów w polskiej polityce.
Weźmy przykład: ktoś ma kompleks, że jest do niczego, no i jak ten kompleks ukrywa? Robiąc manifestacyjnie, jawnie różne prowokacje. „Popatrzcie, mogę, mogę!” – jak

ten kierowca, który czuje się małym robakiem, ale jak wsiada do auta po trzech piwach, to uważa, że on nam pokaże.

To strasznie żalosna forma ratunku przez autopromocję na siłę. Za pomocą nadmiarowych wyobrażeń o sobie, które taka osoba manifestuje, chce światu pokazać, że schowa kompleks tak głęboko, żeby się nikt nie domyślił, że nim tak naprawdę kieruje potworny strach, żeby się nie wydało, kim naprawdę jest. A on w gruncie rzeczy może być całkiem fajnym facetem.

Ale może zwykłym – to jest też straszne.
– Zwykłym, tak! Jest takim samym człowiekiem jak ja. Istotnie, to jest czasem najgorsze...

Czy każdy człowiek nosi w sobie jakiś wstyd?
– Skądże. Ja na przykład miałam zawsze wokół siebie dorosłych, którzy dosyć mnie lubili. Chyba miałam bardzo spokojne dzieciństwo. Chodziłam do żeńskiej szkoły, żadna moja koleżanka nie miała ojca, to było tuż po wojnie. Wszystkie przybyłyśmy ze Wschodu. Nasze mamy były zaradne, bo inaczej by nie przetrwały, i chyba dlatego, że przetrwały, naprawdę cieszyły się życiem.

To wystarczyło do szczęścia: że wojna się skończyła?
– Tak, dla nich wtedy po tylu przejściach pokój to był cud. Pamiętam same dobre rzeczy z tamtego czasu. W domu było dobrze, w szkole też, a jeszcze mama często powtarzała: „Popatrz, jakie my jesteśmy szczęściarzy: mamy wszystko, czego nam potrzeba”.
I ja, słysząc to, zastanawiałam się: no tak, rower mam, łyżwy mam, obiad był, kolacja będzie, mamę mam – faktycznie, mamy wszystko, czego nam potrzeba. Zresztą zostało mi to do dzisiaj, nadal tak myślę.

Marek Aureliusz mówił, że najlepiej na świecie jest pożądać rzeczy, które się ma. Że to jest szczęście. A jak uwolnić się od wstydu, co pomaga? Najbardziej znana na świecie badaczka poczucia przynależności, wrażliwości i wstydu Brene Brown mówi, że rozbijają go szczerość, empatia i mówienie o nim. Bardzo niepolskie.
– Ale u nas już też ludzie nawet książki piszą o swoich najszybszych problemach. W ten sposób powoli uczymy się wszyscy tolerancji i akceptacji. Tematy dotyczące zdrowia psychicznego weszły do mainstreamu zainteresowań społecznych. Coraz więcej ludzi uczestniczy w różnych formach wzajemnego wsparcia i pomocy psychologicznej.
Tam są bezpieczne miejsca, w których można zostawiać nie tylko codzienne troski, ale również głębokie problemy. Powoli uczymy się coraz lepiej dbać o własny dobrostan psychiczny. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ewa Woydyłło-Osiatyńska

• jest doktorem psychologii, przez kilkadziesiąt lat zajmowała się leczeniem uzależnień jako psychoterapeutka w Ośrodku Terapii Uzależnień Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. Przyczyniła się do rozpowszechnienia w Polsce leczenia według modelu Minnesoty opartego na filozofii Anonimowych Alkoholików. Autorka książek, m.in.: „Żyć lepiej”, „Zakręty życia”, „Ukoić siebie” i najnowszej „O wstydzie bez wstydu”. Za osiągnięcia w dziedzinie terapii i profilaktyki uzależnień otrzymała Medal św. Jerzego, za pracę z uzależnionymi w więzieniach – odznaczenie ministra sprawiedliwości.



Maria Lengren, wokalistka Wija, powinna zostać gwiazdą polskiego rocka, ale ma zbyt dużo innych zajęć.

W gumowych gaciach śpiewa o

skrzyploczy

Z WOKALISTKĄ ZESPOŁU WIJ
MARIA LENGREN
ROZMAWIA **JAREK SZUBRYCHT**

Jaka jest twoja ulubiona superbohaterka?

– Chodzi o komiksy? Jest taka jedna, na której wzorowano Harley Quinn. Grała na mandolinie, władała mocą snów i wskrzeszała umarłych, więc muszę ją lubić. W prawdziwym życiu chyba musiałabym ją złożyć z różnych części składowych. Trochę z Niny Hagen może bym wzięła, trochę z Annie Lennox...

Z Niny przede wszystkim odwagę do bycia kosmitką, a z Annie to, że choć nasiąkała soulem,

przeniosła jego wokalny ducha na zupełnie inną stylistykę.

A z Polski?

– Najbliżej mi do Kory. Też miała odwagę być kosmitką i całkiem fajnie jej to szło. Była lokalnym przeszczepem gwiazdy rocka na miarę Davida Bowiego.

Pozostaniemy jeszcze przez chwilę w świecie komiksu. Do niedawna pracowałaś w wydawnictwie Planeta Komiksów, więc tobie powinniśmy podziękować za sprowadzenie „Chłopaków” do Polski, prawda?

– Wydaliśmy ten komiks wiele lat przed serialem „Boys”. Jest paskudnie narysowany, równie pa-

skudną ma treść, ale jest w tym bardzo konsekwentny i w związku z tym dla mnie przekonujący.

Serial ci się podoba?

– Jako redaktorka serii komiksowej musiałam sześćset razy przeczytać każdy tom, więc już nie miałam w sobie aż tyle miłości do „Chłopaków”, żeby oglądać cały seria [4. sezony dostępne na Amazon Prime-red.]. Sprawdziłam kilka odcinków i myślę, że pod wieloma względami ekranizacja jest sprawniejsza od oryginału. Widać, że pracował nad tym cały pokój scenarzystów, a nie jeden biedny Garth Ennis.

Mam też wrażenie, że serial niesie więcej nadziei niż komiks.

Swoją drogą – „Chłopaki” to nie jest pierwsza dekonstrukcja superbohaterów. Polecam „Power and Glory” Howarda Chaykina, w mocno odjechany sposób jeszcze bardziej boleśnie przejechał się po Stanach. Przy jego pomysłach żarty z walenia konia i rzygania, tak częste w „Chłopakach”, wydają się lekkostrawne.

Świat komiksu to twoje dzieciństwo.

– Mój dziadek, Zbyszek Lengren, był jednym z pierwszych polskich komiksarzy. Natomiast mój ojciec komiksu nienawidził – właśnie z tego powodu. Nie lubił, kiedy czytałam komiksy, chociaż sam mi pierwszy sprezentował.

To był „Alinoe”, jeden z tomów „Thorgala”. Przerażający.

Ile miałas lat?

– Może dziesięć. Wcześniej, samodzielnie, odkryłam mangę.

Ratował cię „Thorgalem” przed mangą? To ciekawe.

– Tak. „Thorgal” był znośny dla tego europejskiej wrażliwości. Przypomniałam sobie jeszcze, że wiele lat wcześniej, kiedy zaczynałam się uczyć czytać, przyniósł do domu prawdziwą abominację, jaką był polski przedruk wydanej przez Marvela komiksowej adaptacji filmu „Łowca androidów”.

Abominację?



własnej głowie.

Czytałaś komiksy z dziadkiem?

Ile miałaś lat, kiedy zmarł twój dziadek?

– Czternaście.

– Tak. Dziadek był bardzo zamaszystą postacią, więc sam mnie uświadomił. Był dandysem war-

Czy to, że dzisiaj realizujesz się jako wokalistka zespołu metalowego, można wiązać z twoim zainteresowaniem komiksem? Zdaję sobie sprawę z tego, jak duże to uproszczenie, ale oba te artystyczne żywioły kochają

1 RP

skrajności, oba też są chętnie infantylizowane przez ludzi, którzy tych języków nie rozumieją. – Myślę, że to zasadne zestawienie. Możemy się cofnąć w czasie do lat 50. i wyjść od połączenia komiksu i rock and rolla, którego metal jest naturalną konsekwencją. To był załazek kultury nastolatków. Rysownicy, którym nie udało się dostać do świata sztuki czy najwyższych lotów ilustracji komercyjnej, zarabiali na swoje płatki śniadaniowe i piwo, za marne grosze rysując komiksy. W tej przestrzeni wszystko im było wolno, więc w pierwszych, pulpowych komiksach działały się niestworzone historie. W końcu wzięła się za nich cenzura. Dochodziło do głośnych procesów i palenia komiksów, niemal jak czarownic.

Komiksy budziły taki sam sprzeciw pocziwej klasy średniej jak Elvis i jego otwarcie seksualny wizerunek sceniczny. W rock and rollu granym w garażach czy piwnicach też wszystko było wolno i nikt tego nie kontrolował, dlatego działały się bardzo ciekawe rzeczy. Najpierw z tego wyszedł punk rock, potem coraz cięższe brzmienia... To wszystko się przenikało. Ziny komiksowe pełne były nawiązań do muzyki, tuzy komiksowe projektowały okładki płytowe – na przykład Tanino Liberatore, autor jednego z moich ulubionych komiksów „RanXerox”, zrobił okładkę Frankowi Zappie, a Richard Corben, autor świetnych horrorów komiksowych, współpracował z Meat Loafem. O Danzigu nawet nie wspominam, bo to przecież stary komiksiarz.

Były też zespoły, które prawdopodobnie uciekły z kart komiksów, choćby KISS i Manowar. – Tak, jak najbardziej. To wszystko bardzo mocno wiąże się z kategorią groteski. Ludzie mnie często pytają o teksty Wija – czy to pastisz, czy ja tak na poważnie? Wydaje mi się, że to wynika z niezrozumienia tego, czym jest groteska. Coś może być zarazem zupełnie serio i bardzo przerysowane. Takie pisanie przychodzi mi naturalnie. To nie jest poza, którą sobie wybrałam, ja tak widzę świat. Wydaje mi się w równej mierze ohydny i fascynujący. Nie jestem specjalną fanką przerażającego i paskudnego życia na Ziemi, ale trzyma mnie przy nim ciekawość – jakiego nowego kosmitę, jaką skrzyploczę wypłyje mi zaraz internet czy ogród zoologiczny. Śmieję się z tego, co mnie obrzydza, to mój sposób na życie.

Polska kultura ma piękne tradycje związane z groteską – w literaturze, teatrze, filmie – ale to chyba przeszłość. W powszechnym zastopowaniu wielowymiarową groteskę zastąpiła bardziej toksyczna ironia. – Złota era komedii z za żelaznej kurtyny ściśle związana była z groteską, a bardziej jeszcze z absurdem, bo nie wszystko można było powiedzieć wprost. Jednym z moich ukochanych filmów jest radziecka komedia science fiction „Kin-dza-dza!”, o facie, który wychodzi po makaron, ale kosmita porwuje go do swojej galaktyki. Wszyscy tam mówią tylko jedną sylabę „ku”, scenografia kosztowała pewnie jakieś 200 złotych i początkowo poziom absurdu wydaje się nie do zniesienia, ale jak już

człowiek odepnie wrotki, to można się w tym filmie zakochać. Czeski humor z tamtych czasów też oddaje bezsensowność systemu, ale zarazem ma w sobie czułość wobec żywych ludzi, którzy muszą w nim funkcjonować. Ironia to już broń ofiar tego systemu, ma w sobie więcej zgorzknienia. Często rozśmiesza mnie do łez, jednak bliżej mi do absurdu. Groteska i absurd budzą u nas lekki przestach, bo nie lubimy czegoś nie rozumieć. Boimy się wyjść na idiotów, co wynika z polskich kompleksów – chcemy być mądrzy, mieć zdanie na każdy temat. Ja już się z tego wyleczyłam. Wierzę w zwątpienie. Ono pozwala nam się nie zestarzeć, bo jak już się jest wszystkiego do końca pewnym, to człowiek rozwijać się przestaje.

Znam superćwiczenie, które chroni przed takim skapcaniem – czytanie tekstów patafizycznych. Był to żart francuskich surrealistów, którzy wymyślili naukę zwaną patafizyką, umieszczając ją jeszcze ponad metafizyką. Nowelki pisane w zgodzie z zasadami patafizyki do niczego nie prowadzą, są kompletnie odpięte od logiki. Na początku ciężko je wytrzymać, ale pozwalają otworzyć się na absurd. Wierzę, że tylko dzięki temu możemy spojrzeć w najprawdziwszą twarz rzeczywistości.

Zostańmy przy literaturze. Twoje teksty sporo jej zawdzięczają, choćby poezji Bolesława Leśmiana.

– Kiedy zakładaliśmy zespół, przeglądałam się warszawskiej scenie i byłam już zmęczona tym, że kumple dla kumpli śpiewają po angielsku, czasem nawet po angielsku zapowiadają utwory. W muzyce rozrywkowej, bardzo popowej, gdzie najczęściej mowa jest o tym, że idziemy na imprezę, kochamy się i jest zajeżdżenie, język polski nie do końca się sprawdzi. Do metalowego imaginariu, gdzie możesz się zabawić w wieszczą, trochę rzucającego kłutwy, a trochę otwierającego krainę fantazji – Leśmianową albo jeszcze mroczniejszą, Norwidową – polszczyzna bardzo pasuje. Dla mnie ciężar jest wpisany w język polski.

Roman Kostrzewski, wokalista Kata, dobrze to czuł, odkurżając Tadeusza Micińskiego. – Roman też był dla mnie wielką inspiracją. Gdyby wyjął jego teksty z kontekstu muzycznego, pewnie byłyby miejscami niezgrabne, ale dzięki konsekwencji płynie z nich jakaś moc, intensywność, opętanie. Lovecraft, totalnie przeziębiony przez popkulturę, też nie był zbyt dobrym pisarzem, ale jego teksty charakteryzuje taka intensywność, że jesteś w stanie uwierzyć, że on tych Przedwiecznych spotkał i że wali mu ten „Necronomicon” przez ucho.

Wróćmy do twoich tekstów. – Kat, ale też takie zespoły jak Dragon czy Wilczy Pająk ośmieliły mnie do stworzenia własnego języka, tylko ożywiłam go stworzeniami, które mnie kręcą. To żadne wyzwanie napisać metalową piosenkę o szatanie, ale zrobić tak, żeby krab, który ma trzy tysiące lat, wydawał się tworem szatana – to już jest zabawa.

Zachwyca mnie to, że znajduję w twoich tekstach fantastycznie



FOT. PIOTR FRANKASZCZUK

brzmiające polskie słowa, których nie znam, bo nie mam pojęcia o istnieniu tych wykwitów flory i fauny, które wynajdujesz. – Natura jest totalnie demoniczna. Odkryłam to już jako dorosła osoba, bo dorastałam w komisie i antykwariacie płytowym.

A tam tylko niesporczaki. – Tak, miałam do czynienia tylko z niesporczakami i roztoczami, nie byłam dzieckiem ulicy. Kiedy w końcu zaczęłam zapuszczać się dalej w świat, zafascynowała mnie natura, jej mroczny wymiar. Jest znacznie bardziej szatański niż chrześcijańskie wyobrażenie diabła. Wystarczy zobaczyć dowolny film na „National Geographic”, na którym lew rozszarpuje antylopę albo aligator pożera krowę, by uświadomić sobie, że to jest dużo bardziej gore’owe niż niejeden... obraz w katedrze. Nawet głos Krystyny Czubówny tego nie złagodzi.

Do kościoła też zaglądasz, ale z konkretnymi postulatami: „Dusza jest więzieniem ciała/ Gdy dasz stulą związać ją/ Nie paś wstydem klechy brzucha/ Klecho z raju won”. – Z kościołem nie jest mi po drodze. Miałam to szczęście, że do stałam wolny wybór. Matka była nastawiona bardzo antyklerykalnie, ojciec z kolei miał poczucie, że w jego inteligenckim świecie nie wypada się obnosić z religijnością, ale wisiołek ze św. Krzysztofa miał schowany w samochodzie. Wychowywałam się głównie z babcią od strony matki, która była bardzo wierząca, żyjący z nią dziadek miał natomiast za sobą duchowy romans z komunizmem. Z zainteresowaniem obserwowa-

Na pewno nie było moim celem dekonstruowanie gatunku, by porozstawiać mężczyzn po kątach i pokazać wszystkim, że można inaczej. Bardzo lubię tradycyjny metal. Jestem wielką fanką Manowaru i zupełnie nie przeszkadza mi to, że jest kiczowaty

Maria Lengren

• jest wokalistką zespołu Wji, którego album „Przestwór” był jedną z najciekawszych rockowych płyt 2023 roku. Absolwentka Łódzkiej Akademii Muzycznej. Tłumaczy i redaguje komiksy, pisze scenariusze, m.in. do gier wideo. Jej dziadek, Zbigniew Lengren, rysował dla „Przekroju” komiks o Filutku. Ojciec, Tomasz Lengren, był cenionym aktorem i reżyserem.

łam ich spór metafizyczny, ciągnący się przez 50 lat małżeństwa. Kto wie, może religia z założenia jest czymś dobrym, jednak ludzka narażała się na zepsuła. Odrzuca mnie też samo założenie, że osoba wierząca rozumie więcej. Myślę, że nikt nie wie niczego ważnego o życiu. Dobieranie się ludziom do majątek, do strachu przed śmiercią, chorobą, do żalu po utracie bliskich, widzę wzbudzanie poczucia winy – to wszystko wydaje mi się niebibliańskie, ale ludzkie, i to w najpodlejszym tego słowa rozumieniu.

Co przedstawia okładka „Dziwi-dła”, waszej pierwszej płyty? – Zaczniemy od tego, że dziwidło jest rośliną, która kwitnie raz na wiele lat, wydzielając przy tym wstrętną woń padliny, a więc skutecznie przyciągając do siebie muchy i inne robactwo, by móc się skutecznie rozmnożyć.

To coś z okładki nie wygląda jak kwiat. – W zespole nazywamy to pieszczołtliwie pizdoperzem (*śmiech*). Stworzył go Maurycy Gomulicki, mój przyjaciel i artysta, którego bardzo cenię. Chodziło mi o ukazanie kobiecości w sposób nieco inny niż ten, z którym mamy do czynienia na co dzień w popkulturze. Tak, my też jesteśmy istotami seksualnymi. Tak, możemy być czasami trochę obrzydliwe. Wielu facetów nie radzi sobie z żartami kobiet na swój własny temat. Z drugiej strony dziś dużo jest przywracania kobietom godności i podmiotowości, więc brakuje miejsca na żarty skierowane w ich stronę. Ktoś, kto odważy się niepowagą naruszyć tę odżywkę po setkach lat godność, może zostać natychmiast skancelowany. Ja czuję się dość pewnie we własnej skórze, by obnażyć ludzką śmieszność niezależnie od spektrum płci.

Pojawiają się w twoich tekstach tematy do tej pory w polskiej piosence rockowej nieobecne. „Poroniec” jest tego najlepszym przykładem. Czy ty przypadkiem nie próbujesz do zdrowego męskiego świata polskiego metalu wprowadzać tylnymi drzwiami tego strasznego feminizmu? – (*śmiech*). Nie z premedytacją. Jestem sobą i śpiewam o rzeczach, które mnie interesują. Być może już samo to, że jestem kobietą, a wchodzę w ten świat, wydaje się dziwne i niezwykłe. Owszem, coraz więcej jest kobiet w meta-

lu, również polskim, chociaż część z nich gra według ustalonych przez starszych kolegów zasad. Na pewno nie było moim celem dekonstruowanie gatunku, by porozstawiać mężczyzn po kątach i pokazać wszystkim, że można inaczej. Absolutnie nie, ja bardzo lubię tradycyjny metal. Jestem wielką fanką Manowaru i zupełnie nie przeszkadza mi to, że jest kiczowaty.

Seksistowski wymiar tego kiczu też ci nie przeszkadza? W świecie Manowaru miejsce kobiety jest u stóp wojownika. – Uważam, że to niegroźne, że to ten sam sort co przygody Conana. Męskie fantazy, które w pewnym sensie jest urocze. Pewnie mniej zabawne to było dla dziewczyn, od których wymagało się, że będą na swojego mężczyznę czekać z obiedem. Ja natomiast całe życie robię, co chcę, i żaden mężczyzna mi w tym nie przeszkadza, więc pocziwe chłopięce fantazy nie są dla mnie zagrożeniem. Z premedytacją stoję po stronie fantazji, bo uważam, że ich cenzurowanie nie jest w porządku. Nie uraża mnie czyjeś fantazjowanie o byciu wojownikiem z dwumetrowym mieczem, otoczonym wianuszkiem druidek w bikini, bo na tej samej zasadzie ktoś mógłby zaatakować moje fantazy. A bez nich nie przetrwam. Wierzę w to, że powinniśmy dawać upust swoim fantazjom, bo są skutecznym narzędziem do radzenia sobie z życiem. W japońskich horrorach czy włoskim kinie giallo jest znacznie więcej obrzydliwości niż w metalu, i to też mnie nie dotyczy. Z ciekawością badacza nurkuję w ludzką wyobraźnię, mając pełną świadomość, że bywa nikczemna.

Jesteś równie wyrozumiała dla tych osobników, którzy widząc cię na scenie, nie tylko popuszczają wodze fantazji, ale też głośno to manifestują? – Nawet kiedy zaczynałam i wychodząc na scenę, słyszałam okrzyki: „Pokaż cyce!”, nie było to dla mnie deprymujące. Dawało mi to kopa do działania, chciałam pokazać, kto tu rządzi. Mam jednak pełną świadomość tego, że nie każdy ma taką konstrukcję psychiczną jak ja i dla wielu młodych dziewczyn to może być bardzo zniechęcające. Być może pomaga mi to, że dorastałam w nieco mniej cieplarnianych warunkach niż dziewczyny z pokolenia Z.

Chociaż z jednej strony podziwiam to, że jak każdy przejaw seksizmu czy mizoginii jest dziś karcony, wydaje mi się dość naiwnym założenie, że ludzie nie będą postrzegać siebie nawzajem jako obiekty seksualne. Czym innym są boysbandy? Przecież dziewczyny też mówią: „Ale ciacho! Tego to bym brała, zrobiłabym z nim to i tamto”. Nie mogę więc być zszokowana, że ktoś na mnie spojrzy w podobny sposób, jak wyjdę na scenę w gumowych gaciach.

Możesz też nie wychodzić w nich na scenę. – Mogę, ale dorosłam, słuchając Manowaru, więc gumowe gacie są dla mnie czymś naturalnym. Przebieżanki to fajna zabawa. Nie chcę się przebierać w barchanowe majty ze strachu przed tym, że ktoś zwróci uwagę na mój tyłek. ●

O G Ł O S Z E N I E

CZYTAJMY NAJMŁODSZYM

Mała wyprawka – wielka wyprawa. Nie tylko w świat literatury

Codziennie czytanie wpływa pozytywnie na rozwój dziecka, jego zdrowie emocjonalne i relacje z najbliższymi – przekonuje Instytut Książki w swojej kampanii społecznej.

Instytut Książki od 2017 roku realizuje program „Mała książka – wielki człowiek”, w który z roku na rok angażuje się coraz więcej rodzin. Tegoroczna odsłona kampanii zachęca do czytania dzieciom już od pierwszych dni życia. Uświadamia rodzicom i opiekunom, że czytanie dziecku jest jednym z najlepszych sposobów wspierania jego rozwoju.

Wyprawka Czytelnicza

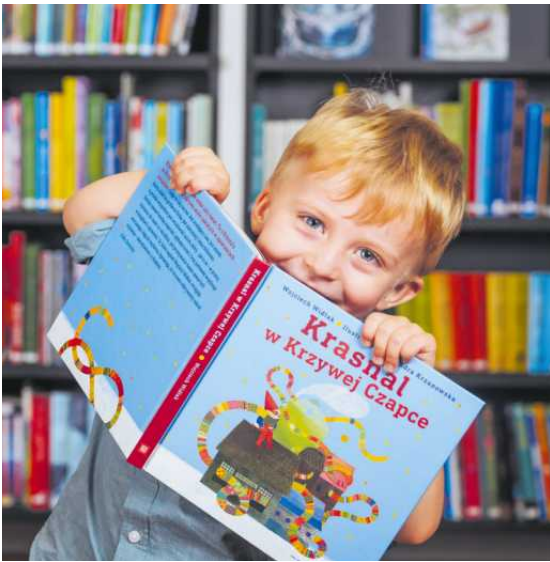
Od 2017 roku rodzice nowo narodzonych dzieci w szpitalach położniczych w całej Polsce otrzymują Wyprawki Czytelnicze. Są to zestawy zawierające książkę dla dziecka oraz ulotkę dla opiekunów, informującą o korzyściach wynikających z czytania od narodzin. W tym roku prezentem dla maluszków jest książka „Tyci, tyci” autorstwa cenionej współczesnej poetki Doroty Gellner, piszącej dla najmłodszych, oraz znakomitej ilustratorki Joanny Kłos. Warto wspomnieć, że program Instytutu Książki adresowany jest również do starszych dzieci w wieku przedszkolnym. Przedszkolaki otrzymują przygotowane specjalnie dla nich Wyprawki, odwiedzając jedną z blisko 7 tysięcy bibliotek zaangażowanych w program. Trzecia Wyprawka czeka na wszystkie dzieci rozpoczynające naukę w szkole podstawowej. Kampania dociera niemal do każdej rodziny, aby angażować ją w budowanie kultury czytelniczej. Rocznie Instytut Książki przekazuje dzieciom ponad 800 tysięcy książek.

Literatura jako narzędzie rozwoju i budowania więzi

Codziennie czytanie dziecku ma ważny wpływ na jego rozwój, zdrowie emocjonalne i relacje z najbliższymi. „Mała książka – wielki człowiek” to program, który podkreśla znaczenie wspólnej lektury będącej okazją do tworzenia trwałych rodzinnych więzi. Bliskość rodzica, jego głos, przytulanie w trakcie czytania – wszystko to wzmacnia w dziecku poczucie bezpieczeństwa. Sprawia, że czuje się ono kochane i ważne. To czas bycia razem, w oderwaniu od codziennej gonitwy. Wspólne czytanie stanowi nie tylko chwilę przyjemności, ale także fundament, na którym dziecko buduje swoją samoocenę i rozwija zdolności emocjonalne.

Rozwój językowy i poznawczy

Literatura odgrywa ogromną rolę w kształtowaniu umiejętności komunikacyjnych. Dziecko, któremu się czyta, uczy się mówić i wzbogaca słownictwo. A wiadomo, że umiejętność poprawnego wysławiania się pomaga w relacjach społecznych i zwiększa szanse na odniesienie sukcesu w życiu zawodowym. Czytanie można więc uznać za ważną inwestycję w przyszłość dziecka. Co więcej, pomaga ono w rozwijaniu u dziecka empatii, uczy wyrażania emocji i rozwija zdolność koncentracji. Dzięki książkom dziecko dostrzega zależności przyczynowo-skutkowe, lepiej rozumie własne myśli i uczucia, a także



potrafi interpretować emocje innych, co jest kluczowe w relacjach międzyludzkich.

Czytanie a nowe technologie

Nowoczesne technologie stanowią dużą konkurencję dla książek, oferując dzieciom łatwą i szybką rozrywkę. Telewizja, platformy VOD czy gry często przyciągają młodych odbiorców i przyzwyczajają do biernego przyswajania treści. Książka, w przeciwieństwie do tych form rozrywki, wymaga od dziecka większego zaangażowania, uczy cierpliwości oraz wytrwałości w osiągnięciu celów, takich jak np. przeczytanie tekstu do końca. Wspólne czytanie pomaga dziecku rozwijać nawyk sięgania po książki i pokazuje, że wysiłek przynosi satysfakcję. A literackie opowieści dostarczają odpowiedzi na ważne pytania, które dziecko stawia sobie i światu.

Obraz i głos

W pierwszych miesiącach życia mózg dziecka rozwija się bardzo intensywnie. Kontrastowe formy

graficzne pomagają w tworzeniu połączeń między neuronami. Ilustracje przyciągają uwagę niemowlęcia, wspierają jego rozwój sensoryczny i rozwijają zdolność koncentracji. Książki można ustawiać przed dzieckiem, aby podczas leżenia na brzuchu śledziło wzrokiem strony, co korzystnie wpływa na rozwój motoryki. W tym wieku ważne jest również słuchanie melodii głosu rodzica. Warto sięgać po teksty oparte na rymie i rytmie, ponieważ działają one uspokajająco i wyciszająco. Głos rodzica i sama bliskość tworzą atmosferę bezpieczeństwa.

Mała książka, wielka zmiana

Program „Mała książka – wielki człowiek” to inwestycja nie tylko w rozwój poszczególnych osób, ale również społeczeństwa. Kształtuje kolejne pokolenia ludzi o otwartych umysłach i pełnych empatii, którzy będą lepiej rozumieć świat. Z kolei dla rodziców, dziadków i opiekunów czytanie to okazja do budowania silnych więzi z dziećmi, atmosfery miłości, wsparcia i inspiracji. **Czytajmy dzieciom już od narodzin!**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Paweł Bem*

Fotografia reprodukowana na okładce tej książki (**patrz obok**) jest niezwykła. Bohater tomu w swoim żywiole: bawi damę. Ulizany jak Führer, jedną ręką przystawia do wargi przedmiot imitujący hitlerowski wąsik, drugą wykonuje gest nazistowskiego pozdrowienia. Kobieta się śmieje, bo wesołek dumnie przy tym ogłasza: „Tak wysoko skacze mój pies!”. Jest lato 1939 r. Na polskim morzu, widocznym w tle, lada moment pojawiają się niemieckie okręty.

Tadeusz Hollender, urodzony w roku 1910, był poetą i tłumaczem. Jego domeną była satyra. Przed wojną założył i redagował lwowskie lewicowe pismo „Sygnały”, które także dzisiaj imponuje intelektualnym rozmachem.

Jako literat i jako obywatel, zgodnie z linią „postępowego” periodyku, Hollender apelował o prawa mniejszości narodowych w Polsce, spierał się z nacjonalizmem, a tematem swojej dojrzałej twórczości satyrycznej uczynił walkę z faszyzacją kraju.

Gdy w 1935 r. we lwowskim oddziale Związku Literatów organizowano jego prelekcję, w zaproszeniu na to spotkanie zamieszczono anons: „jeden z najpiękniej rozwijających się talentów poetyckich młodego pokolenia we Lwowie”.

Hollender został także ścisłym współpracownikiem warszawskich „Szpilek”; na ich łamach spotykał się m.in. z Zuzanną Ginczanką, Stanisławem Jerzym Lecem czy wielbionym Tuwimem. Jego nazwisko pojawiało się na okładkach kolejnych numerów tego bezkonkurencyjnego pisma. Spełniał się jego młodzieńczy sen o potęgze. W drugiej połowie lat 30. satyryk święcił już w stolicy triumfy i nawiązywał nowe współprace.

„Zwarszawizował się całkowicie przybyły ze Lwowa Tadeusz Hollender - wspominał pisarz Józef Łobodowski. - Pisywał wówczas niezłe satyry i mocno retoryczne poezje, dużo i przeważnie dobrze przekładał z literatury ukraińskiej. Zamierzona antologia współczesnej liryki ukraińskiej, pt. »Sześćdziesięciu z tej i tamtej strony Zbrucza«, już nie zdążyła ukazać się przed wojną.

Hollender był chyba jedynym z młodych pisarzy nieżydowskiego pochodzenia, który stale współpracował z »Naszym Przeglądem«. Noszony na rękach przez liberalne środowisko inteligentkie, zbliżone do tego dziennika, pływał jak pączek w smalcu, a zwłaszcza bardzo sobie chwalił awanse pięknych warszawskich Sulamitek.

Mało kto spodziewał się, że ten niepozorny chudeusz o czerwonych ciągach wykaże tyle siły charakteru i zachowa się z taką godnością w okupowanym przez Sowiety Lwowie”.

Łobodowski nawiązuje do odmowy podpisania deklaracji polskich pisarzy, wyrażającej radość z okazji zjednoczenia Ukrainy pod władzą radziecką. Hollender początek okupacji spędził bowiem znowu we Lwowie. Przy różnych okazjach jawnie kpil z sowieckich żołnierzy. Nie tylko nie złożył sygnatury pod pismem - namiętnie przemawiał wśród literatów przeciw jego podpisaniu. Niechętnie i zapewne w poczuciu beznadziei zrobili to jednak m.in. bliscy mu Boy-Żeleński i Halina Górska (oboje zginęli wkrótce z rąk hitlerowców).

Podkreślam ten dzielny akt oporu Hollendera - było ich więcej - gdyż jest znamieny dla jego charakteru i stał się ważnym elementem za-

Biografia Tadeusza Hollendera

JESTEM POETA,
WŁADCA I WARIAT

Ten brawurowy kawalarz –
wspominał po latach Miłosz
– „łączył fikanie koziołków
wierszem i prozą z miłością
do prawdy”

poznanej dziś legendy: brawurowego kawalarza, który, jak po latach wspomni Czesław Miłosz, „łączył fikanie koziołków wierszem i prozą z miłością do prawdy”.

Po swoim antysowieckim geście Hollender uniknął śmierci - nie udało mu się to jednak już w Warszawie, do której przeniósł się raz jeszcze, gdy Niemcy zajęli Lwów. Był wziętym autorem podziemia, angażował się w konspirację, niezmiennie wyśmiewał sowiecizm i hitleryzm.

Aresztowany przez Gestapo trafił na Pawiak. Nie siedział tam długo. Został zamordowany przez Niemców w ruinach getta warszawskiego 31 maja 1943 r. - dzień po swoich 33. urodzinach. „Kule egzekucyjnego plutonu - napisze Miłosz krótko w roku 1957 - zabiły jedną z najcenniejszych możliwości polskiego piśmiennictwa”.

Miłoszowe intuicje były jak najsluszniejsze. Do niedawna nie zna-

liśmy skali owej „możliwości”. Ba, w ogóle jej nie znaliśmy. Książka, o której chcę powiedzieć, uzmysławia nam ten utracony potencjał.

Biografia „Hollender tulacz”, autorstwa Tadeusza Lubelskiego, choć o tragedii ludzi i cywilizacji traktująca, jest lekturą, powiem to od razu, rewelacyjną. Groziły jej mierzalne gatunku i dodatkowe okoliczności: bohater książki był rodzonym bratem matki autora. Historia tego typu przedsięwzięć - nomina sunt odiosa - każe o takich opowieściach myśleć więcej niż ostrożnie.

Zbyt wielka jest jednak klasa tego biografa, by wpadł w pułpkę rodzinnego sentymentu i jego konsekwencji. Relacja Lubelskiego, jego interpretacje życia i twórczości nie znają skrupułów. Hollender, którego obraz można sobie przedstawić po lekturze tej biografii, jest człowiekiem wielu wad. Dość po-

wiedzieć, że Lubelski decyduje się opublikować w swojej książce treść gimnazjalnego dziennika 16-letniego w owym czasie Hollendera.

Jest to świadectwo nie tylko typowych sztubackich doświadczeń („Lusi T. nawet pocałować nie mogłem, bo nie było jak, za to Wandę S. wymacałem i wycalowałem do woli”) - wynika z tych zapisów dość przewrotny mizoginizm młodziutkiego Hollendera, potworna megalomania („ja od niego [Piłsudskiego] większym będę”), przede wszystkim zaś - to zaskoczenie bodaj największe - antysemityzm przyszłego satyryka, który w roku 1927 notuje w swoim kajecie m.in.: „plaga ci żydzi”, i myśli nad antyżydowską propagandą.

Próba racjonalizacji tego elementu diariusza podjęta przez Lubelskiego wydaje się przekonująca: „Skąd mu się brały te młodzieńcze uprzedzenia? Nie z domu, z którym przecież wojował. Zapewne zewsząd, z klimatu towarzyskiego”. To smutna, ale zapewne słuszna konstatacja.

Szczęśliwie już na początku lat 30. Hollender napisze wiersz, w którym przyzna, że gdy w młodości „z laską za Żydami latał”, był „zaczadzony jak wszyscy okrzykami głupich”. Od tej pory będzie należał do grona literatów, którzy z największą siłą i pasją będą walczyli z tym coraz bardziej przecież duszącym zacządzeniem.

Pisarz Józef Łobodowski: „Mało kto spodziewał się, że ten niepozorny chudeusz o czerwonych ciągach wykaże tyle siły charakteru i zachowa się z taką godnością w okupowanym przez Sowiety Lwowie”

Lubelski, chwala mu za to, nie cofa się więc przed wątkami, które mogą kompromitować jego bohatera. Ta odwaga uczciwego zdania sprawy z pozornie nie bardzo wygodnych do opisu elementów literackiego konterfektu Hollendera jest imponująca i książka wiele na tej odwadze zyskuje.

Biograf nie boi się też pytań, na które odpowiedzi nie poznamy, i nie unika domysłów zdrowego rozsądku, do których współtworzenia - takie odnosi się wrażenie - chce zaprosić czytelnika. Chodzi o próby rozumienia konkretnych perypetii bohatera biografii, które, na szczęście, nie zawsze znajdują proste i przekonujące wytłumaczenie.

Lubelski rozpoznaje logikę i zbornosc tam, gdzie są bezsporne - nie narzuca ich w miejscach nieoczywistych, dając do zrozumienia, że logika nie zawsze może być skutecznym narzędziem pojmowania życia. W wielu miejscach książki dialoguje ze sobą, a niekiedy nawet sam siebie strofuje. Krok po kroku rekonstruuje losy legendarnego wuja, prowadzi literackie śledztwo na podstawie zachowanego domowego archiwum, próbuje łączyć rozproszone fakty.

Z każdą stroną tajemniczy obraz staje się coraz bardziej wyraźny, nie na tyle wszakże, by z końcem kolejnych rozdziałów pozostawiać czytelnika bez niedosytu. Świetna jest dramaturgia tej książki, ułożonej bardzo rozmyślnie: na pozór prosto, a jednak, co widać po lekturze całości, w sposób wielce wysublimowany.

Biografia jest także w jawny sposób opowieścią o autorze książki. Tadeusz Lubelski nie unika ocen, pisze w sposób otwarty o swoich osobistych rozterkach, o swoich poszukiwaniach, o niepowodzeniach. Słowem: o swoim życiu dawnym i dzisiejszym. Nie unika przy tym obciążenia koligacji. Przeciwnie - udaje mu się z tego „uwikłania” wyjść obronną ręką. Widzi Hollendera z krwi i kości, traktuje go z empatią, ale te uczucia kierują go w dobrą stronę: trzeźwego współczucia i zrozumienia, uwzględniającego wszystkie okoliczności. Powtórzę: Lubelski jest odważnym biografem.

Przedstawiona w tomie historia losów Hollendera to także - i wielka to zaleta tej książki - opowieść o ludziach najbliższych bohaterowi w kolejnych okresach jego życia. Wymienić tu należy przede wszystkim Teodora Parnickiego, Karola Kuryluka, Halinę Górską, Stanisława Blumenfeldową, ale też Juliana Tuwima, Józefa Wittlina czy Marię Kuncewiczową, którą połączyło z Hollenderem, jak można sądzić, wzajemne zauroczenie.

Nowe konteksty, odkryte przez Lubelskiego, rzucają inne światło na znane skądinąd postaci. Rewelacją biografii są bogato wykorzystywane w niej fragmenty korespondencji Hollendera. Zachowane listy, którymi dysponuje autor książki, pokazują współpracowników satyryka od strony nie w pełni dotychczas oświetlonej, a niekiedy wręcz nieznaney. Jestem pewien, że nikt nie byłby w stanie wykorzystać archiwum Hollendera z takim pożytkiem dla czytelników jak jego siostrzeniec Tadeusz Lubelski.

Historia lwowskiego satyryka kryje również celną minimonografię „Sygnałów”. Programowo przeciwne wszelkim dogmatom, jako lewicowa alternatywa „Wiadomości Literackich”, będąc najjaśniej błyskały przed wojną nad Lwowem. Na rok przed okupacją na redakcję „Sygnałów” napadła grupa oenerowskich bojówkarzy z łomami. Nie obyło się bez walki, ale sprawy w swoje ręce - dosłownie - wziął drobny i niepozorny Kuryluk, od kilku już

lat samodzielny redaktor naczelny pisma i jego spiritus movens.

Dlaczego bandyci napadli na literatów? Wadziło im zapewne, że „Sygnały” broniły godności i praw każdego człowieka, że walczyły o sprawiedliwość społeczną, a w owym czasie przecież nie każdy miał jej doświadczyć.

Idiotów z gazrurkami w dłoniach chciałoby się pominąć. I w tym rzecz - bo z wielu względów nie można. Dają pretekst do myśli na temat historiografii Lubelskiego.

Losy Hollendera bardzo ściśle wiążą się z walcem historii. Widziane z perspektywy, całe jego życie może się wydawać ucieczką z zamykającej się nieuchronnie paszczy Lewiatana. Autor biografii - w pełni słusznie - zasadniczo oszczędza nam szerszych opisów poszczególnych elementów historycznego tła omawianych okresów. Innego wyjścia zresztą nie ma. Literatura poświęcona międzywojniu, choćby samemu Piłsudskiemu, jest ogromna. Nie warto jej powtarzać.

Jeśli więc w ten sposób pojmie się narrację tej biografii, rozumiejąc jej przemilczenia, niedopowiedzenia i ujęcia lapidarne, stanie się jasne, dlaczego, by trzymać się przykładu marszałka, pada w książce np. wyłącznie jedno zdanie o przewrocie majowym. Kluczowe wydarzenia lat 20. i 30. XX wieku - zrab książki dotyczy tego czasu - są oczywiście, jakoś trzeba je jednak w książce tego typu zarysować.

Imponuje w opowieści Lubelskiego to, co najtrudniejsze: synteza. Zdania syntetyczne szkicują celnie historyczne tło życia Hollendera, dając dyskretnie pojęcie o erudycji autora, który potrafi wydobyć konteksty najistotniejsze i każdorazowo, w kolejnych rozdziałach, stworzyć z nich zgrabną, jednolitą i wyważoną historię. To potrafią wyłącznie najlepsi.

Od tej zasady, jak myślę, winno być w tej książce jedno odstępstwo. Ambicją Hollendera, powtórzmy, było występowanie przeciwko dyskryminacji, w pierwszej kolejności Ukraińców i Żydów. Dla „Sygnałów” Lwów był miastem kultury kilku narodów. Mniejszości znajdowały opiekę na lamach pisma oraz w twórczości Hollendera.

Obsesyjnie zależało mu na przybliżeniu polskim czytelnikom problemów i dzieł poetów ukraińskojęzycznych, a przetłumaczona przez niego i ułożona, planowana do wydania przez Rój antologia poezji ukraińskiej mogła odegrać kapitalną rolę w stosunkach polsko-ukraińskich. „Wątkowi ukraińskiemu” Lubelski poświęca odrębny, odkrywczy rozdział.

Szeroko zaś opisany w książce, by tak rzec, filosemicki projekt literacki Hollendera nie zyskał, jak sądzę, dość wyraźnego tła kontrastowego. Owszem, mówi się w tej książce wielokrotnie o antysemityzmie, niezdawkowo, ale ten własnie wątek należałoby dodatkowo zaznaczyć i mimo wszystko rozwinąć, podając konkretne przykłady hańby tamtego czasu.

Nie chodzi mi wszakże o powielanie rzeczy nam znanych. Jestem pewien, że Lubelski, w trakcie swoich licznych kwerend, które poprzedziły powstanie książki, odkrył i w tej mierze treści nowe, wciąż jeszcze w szerokiej literaturze poświęconej przedwojnemu antysemityzmowi nieopisane. Hollender miał wyraźnego wroga. Trzeba tego wroga łapać za słowa. Trzeba nazywać tych słów konsekwencje.

Weźmy pod uwagę choćby ludzi ówczesnie młodych, czyli środowisko Hollendera. W II Rzeczypospolitej najwięcej Żydów studiowało w Wil-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Natalia Belczenko*

Drohobycz

„....czas z drugiej ręki”.

Bruno Schulz

*Czy doskonale miasta dłonie
Zbolały utrzymają gwóźdź:
Człowieka, co chodził po sobie –
Jak lunatyk po dachach? Już
Runęło wszystko. Czarne schody
Wojenna wymacuje złość
I nieodtworzone przygody
Stają mu w gardle niby kość.*

*Jest druga ręka – by pochwycić,
Otworzyć się na pamięć słów.
Ulotne palce-belemnity
Z czasów, po których chodził Schulz –
Czyje im dłonie ścisnąć, jakie
Wśród latarń i ulicznych bruzd
W mieście, gdzie wciąż stygmaty takie
Bezdomny pozostawia gwóźdź.*

przeł. Bohdan Zadura

***Natalia Belczenko** – ur. w 1973 r. w Kijowie, ukraińska poetka i tłumaczka. Jej poezja była tłumaczona m.in. na niemiecki, francuski, angielski, koreański, polski, litewski i włoski. Rezydentka Fundacji Wisławy Szymborskiej (2022).

Utwór z wyboru jej wierszy „Wilga”, przekład zbiorowy, Kolegium Euro-py Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Wrocław-Wojnowice 2024



FOT. ANDRZAJ GUZDEK/CC BY-SA 3.0



nie i właśnie we Lwowie. Skutki nacjonalizmu lat 30. widać w liczbach: w roku akademickim 1937/38 niemal o połowę w porównaniu z początkiem dekady spadła liczba studentów żydowskich. To są tysiące ludzi.

Jesienią 1937 r. getto ławkowe zostało wprowadzone na Uniwersytecie Warszawskim. Nawet w broszurze „Polska idea imperialna” z roku 1938, czyli w programowym wystąpieniu grupy skupionej wokół pisma „Polityka”, kierowanego przez Jerzego Giedroycia - nie waham się powiedzieć: późniejszego męża stanu - znajdujemy propozycję „walki z zalewem żydowskim” i polityki, która miałaby doprowadzić „do radykalnego zmniejszenia się odsetka ludności żydowskiej w Polsce”.

Co w pierwszej kolejności sugerują autorzy programu? „»Numerus clausus« na wyższych uczelniach oraz w wolnych zawodach”, a dalej: „nieprzyjmowanie żydów na posady publiczne, specjalnie zaś na żadne kierownicze stanowiska”. Znajdziemy tu także opis wielu innych rozwiązań gospodarczych, haniebnych, które zmusić miały Żydów do rychłej emigracji. Pismem pogrubionym wydrukowano w książeczce postulat: „stanowcze odseparowanie się od rozkładowych wpływów kultury żydowskiej”.

Nie są to sprawy nieznane, i to wszystko Lubelski, rzecz jasna, wie. Ale wie też więcej, tego jestem pe-

wien. Zabrakło mi w jego książce syntetycznych ustępów na temat tej grozy, a przecież to walce z tą imperialną mitologią mocarstwa, nakręcanego nacjonalistycznym motorem, Hollender oddawał się bez reszty.

Już w pierwszej połowie lat 30. hasło „numerus clausus” zastępowano hasłem „numerus nullus”. Lubelski nie wspomina o getcie ławkowym. Pisze, ale względnie mało, o tym, jak propaganda zmieniała się w walkę czynną i jak w drugiej połowie lat 30. młodzież narodowa, wspierana także przez ludzi nauki i pióra, rosła w siłę, osiągała swoje „sukcesy”.

To przecież w mieście Hollendera, na Politechnice Lwowskiej, władze po raz pierwszy próbowały na czas zajęć oddzielić studentów żydowskich - na przełomie 1935 i 1936 r. niektóre wydziały tej uczelni rozdzielały ławki: dwa rzędy dla Polaków, jeden dla Żydów.

„A jako student dziewczyno,/ a jako student,/ bzdur bym nie multiplyli kował,/ lecz swojej ławki pilnował/ ze swoim brudem” - tego typu strofami w 1938 r. Konstanty Ildefons Gałczyński bawił czytelników pisma „Prosto z Mostu”. A oni śmiali się głośno. Ten śmiech słyszeli chłopcy „narodowcy”. Rury szły w dłoń.

Syntetyczny opis tego zjawiska, wzbogacony wynikami żmudnych badań Lubelskiego, lepiej zarysowałby atmosferę, w której ludzie tacy jak Tadeusz Hollender, Karol Kuryluk czy Halina Górka przeciwstawiali się złu. „Nie po to tylko żyłem na świecie,/ bym mrówczą chwałę w spiż zakuć miał,/ lecz żebym śpiewał, żebym siedł przeciw/ wielbiącym siłę, przemoc i gwałt” - memento Hollendera z roku 1936.

Nie chcę kończyć tym subiektywnym zastrzeżeniem, być może przesadnym. Koda mojej wypowiedzi jest następująca: uczciwa i odważna książka Tadeusza Lubelskiego jest nie tylko ważna, nie tylko niebywale odkrywcza, nie tylko erudycyjna, ale też doskonale napisana. Talent i warsztat biografą nie ulegają kwestii.

Wuj, zerkający z portretu pędzla Leona Chwistka, nieodżałowany „poeta, władca i wariat”, nie mógł trafić na lepszego literackiego portrecistę. „Był jednym z młodych wyrazicieli najlepszych cech inteligencji polskiej, jej światłego krytycyzmu, naturalnych demokratycznych skłonności, patriotyzmu i bezinteresowności” - tak wspominał Hollendera Artur Międzyrzecki.

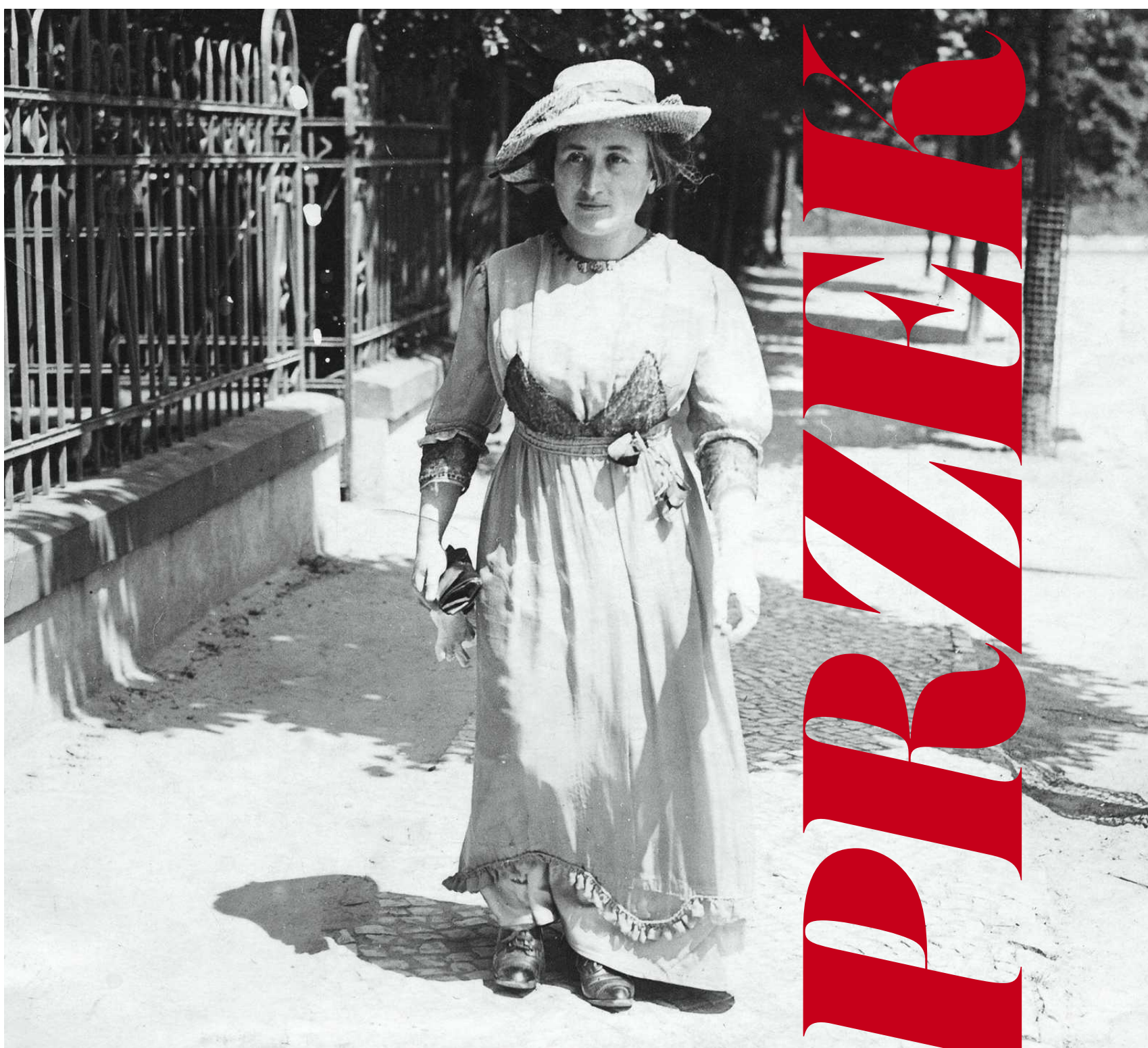
Istotnie, ten lwowski „kpiarz i trunkowiec” stanowił wzór patrioty. Byłby zasmucony dzisiejszą Polską i dzisiejszą Europą, w której na nowo tak głośno „rozbrzmiewa huczek narodowy”. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*dr Paweł Bem

● literaturoznawca, pracuje w Instytucie Badań Literackich PAN, kierownik Ośrodka Badań Filologicznych i Edytorstwa Naukowego. Zajmuje się m.in. historią literatury polskiej XX wieku i literaturą dokumentu osobistego. Wydawca „Wierszy wybranych” Tadeusza Hollendera (Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”, Lublin 2022).

Róża Luksemburg

WŁASNĄ DROGĄ

Pisano i mówiono o niej „żydóweczka”, „pyskata”, „histeryczna”, „swarliwa”. Seksistowskie i antysemickie epitety towarzyszyły jej stale. Była niepokorna i niewygodna pod każdym względem.

WPROWADZENIE

◄ **Róża Luksemburg (1871-1919) w Berlinie w 1914 roku** .FOT. ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Z **WERONIKĄ KOSTYRKO**
ROZMAWIA **WALDEMAR KUMÓR**

WALDEMAR KUMÓR: Rozmawiamy mniej niż 50 metrów od miejsca, gdzie mieszkała w Warszawie rodzina Róży Luksemburg. Dowiedziałem się o tym z twojej książki.

WERONIKA KOSTYRKO: Przed wojną Złota 16. Tu po wojnie, tuż przed Pałacem Kultury, stała przez niemal cały PRL kamienna trybuna, przed którą odbywały się defilady pierwszomajowe, tu w 1956 roku przemawiał Władysław Gomułka.

Fundamenty kamienicy na rogu Złotej i Zielnej zobaczyłam, dopiero gdy rozkopano teren wokół Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Ale to nie ja odkryłam, gdzie w Warszawie mieszkała rodzina Róży po przeprowadzce z Zamościa. Ustalili to w ostatnich latach Holger Politt z niemieckiej fundacji imienia Róży Luksemburg oraz polski historyk Krzysztof Pilawski. W archiwach warszawskich i zamojskich odnaleźli więcej adresów, zrekonstruowali losy wielu przodków i krewnych. Obalili przy tym kilka mitów. Biografie opublikowane wcześniej należałoby właściwie napisać od nowa.

Luksemburgowie – co to była za rodzina? – Spolonizowana, żydowska. Z rodziny matki Róży pochodziło kilku znakomitych rabinów; ona też była bardzo religijna. I jak na tamte czasy dobrze wykształcona – uwielbiała niemiecką i polską literaturę. Rodzina ojca to z kolei kupcy i przedsiębiorcy, bodaj wszyscy majątni z wyjątkiem ojca Róży – jemu jakoś nie szło w interesach, dlatego m.in. wyprowadził się z Zamościa. W Warszawie też mu się zdarzało zastawiać obrusy w lombardzie.

Edward Luxenburg od czasów młodości interesował się haskałą, czyli żydowskim oświeceniem. Zwolennikom haskali chodziło o to, by – zachowując religię – Żydzi przyjęli języki i obyczaje krajów, w których mieszkają. W takich domach mówiło się po polsku, dzieci miały polskie imiona. Uczono je nauk ścisłych, filozofii i języków obcych.

Sformułowana w Niemczech haskala na ziemiach polskich nigdy nie stała się tak popularna jak chasydyzm. Nie była nurtem religijno-filozoficznym, tylko programem społecznej modernizacji. Jej idee dość celnie i krótko ujął poeta Jehuda Lejb Gordon: „Bądź Żydem w domu, a człowiekiem na ulicy”.

Jakim dzieckiem była Róża?

– Bardzo inteligentnym i wrażliwym. Myślę, że na jej osobowość mocno wpłynęło to, że przez cały rok – gdy miała pięć-sześć lat – leżała unieruchomiona w gipsie z powodu choroby stawu biodrowego. A ponieważ źle ją wtedy leczono, kulała do końca życia.

W chorobie zaczęła czytać i pisać wiersze. Uczyła ją matka – ta uduchowiona kobieta poświęcała jej mnóstwo czasu, także na czytanie polskiej literatury. Brat Józef wspominał, że gdy Róża zaczęła chorować, tata kupił jej kanarka, a ona ułożyła wierszyk na jego powitanie. A potem, po roku, ułożyła elegię na jego śmierć: 30-wersowy tren!

Pod koniec życia Róża Luksemburg napisała gorzko, że jej matka „była tylko po to na świecie, by napychać wiecznie głodne gęby męża i dzieci”. A przecież najmłodsza córka była jej oczkiem w głowie, to z nią spędzała najwięcej czasu na lekturach i rozmowach.

– Róża napisała to ze współczuciem do matki i z pretensją do ojca, który był niezaradny i na dodatek kapryśny. To matka zajmowała się prowadzeniem domu z piątką dzieci, w którym nie brakowało książek, ale zawsze brakowało pieniędzy.

Mówisz i piszesz o niej: Róża. Zakumpłowałabyś się z nią w szkole?

– O niej trudno myśleć inaczej, tak była żywa i bezpośrednia. W jej państwowym gimnazjum dla dziewcząt był straszny rygor, dzieci poddawano intensywnej rusyfikacji. Uczennice karano za używanie języka polskiego nawet na przerwach.

Chodziły tam: Rosjanki, Polki i Żydówki, i właśnie Żydówki traktowano najgorzej. Nauczyciele wręcz tępilli samodzielne myślenie. Znalazłam wspomnienie jej koleżanki Jadzi Sikorskiej o tym, jak dostały do rozwiązania zadanie matematyczne, które zaliczyć można było tylko według określonego wzoru. Róża rozwiązała je szybciej niż inni, w dodatku po swoimu. Nauczyciel ją za to ukarał.

Na koniec gimnazjum Róża nie dostała wyróżnienia i medalu, choć miała znakomite oceny. Myślę, że kulejąca uczennica z ubogiej żydowskiej rodziny, która w tak opresyjnej sytuacji miała odwagę artykułować własne poglądy, na pewno by mi imponowała. I próbowałabym się z nią zaprzyjaźnić.

I dlatego napisałaś o niej książkę? U nas na hasło „Róża Luksemburg” otwiera się szuflada: komunista-Żydówka, która nie chciała niepodległej Polski.

Po raz pierwszy została skazana nie za socjalizm, a za obronę polskości. Sąd niemiecki skazał ją w 1901 roku na grzywnę za to, że skrytykowała pruskiego ministra oświaty za germanizację polskich dzieci we Wrześni

– Nie można w Polsce powiedzieć nic gorszego, prawda? Róża przez całe życie szła własną drogą; była niepokorna i niewygodna pod każdym względem. A doszła naprawdę daleko – na szczyty ówczesnej polityki europejskiej, jej gorącego tygla, jakim była wówczas niemiecka socjaldemokracja. I to mnie zaintrygowało. W języku niemieckim jest określenie, które dobrze oddaje, kim ona była: Querdenker, czyli osoba myśląca w poprzek. Taka, która nie idzie z prądem, na każdy temat ma własne zdanie. Lubię o sobie myśleć, że jestem trochę podobna.

„Gazeta Robotnicza” związana z Polską Partią Socjalistyczną pisała tak: „Polska Żydóweczka z moskofilską duszą, a zatem wroga polskości, a panienka dość sprytna literacko, przeto i z kół socjalistów znalazły się osoby, które zaczęły ją ubóstwiać”. Albo: „Panna Róża Luksemburg znana ze swego warcholenia w socjalistycznym ruchu polskim”.

– „Żydóweczka” i „panienka”, tak o niej mówiono i pisano, a jeszcze, że „pyskata”, „histeryczna” i „swarliwa niewiasta”. Sekсистowskie i antysemickie epitety towarzyszyły jej stale. Nie tylko w Polsce – wtedy w całej Europie kobiety w polityce były absolutną rzadkością, a antysemityzm był praktycznie na porządku dziennym, żeby tylko wspomnieć sprawę Dreyfusa. Język polemik prasowych był naprawdę ostry.

Jakoś reagowała?

– Zasadniczo uważała, że to poniżej jej godności. Że nie będzie się zniżała do takich argumentów. Ale rzeczywistość miała ostry język i umiała go użyć. Była doskonałą polemistką na piśmie i na żywo, i to w kilku europejskich językach.

Jej inteligencja powodowała, że faceci się jej bali, i stąd te prymitywne teksty?

– Gdy po raz pierwszy błyskotliwie przemówiła w Zurychu na kongresie Drugiej Międzynarodówki w 1893 roku, gazety odnotowały, w jakim kolorze jest jej sukienka, a nie o czym mówi i jakich używa argumentów. Weszła na krzesło – miała wtedy zaledwie 22 lata! – i śmiało przemówiła do kilkuset

delegatów z kilkunastu krajów, w tym do Engelsa i Plechanowa.

Ona zresztą nie dzieliła ludzi na kobiety i mężczyzn. Sama żyła tak, jakby nie była kobietą: utrzymywała się z pracy intelektualnej, na forum Międzynarodówki prowokowała wielkie debaty teoretyczne i polityczne. A przecież nigdzie w Europie kobiety nie miały wówczas prawa głosu w wyborach parlamentarnych, nie mogły nawet należeć do legalnej partii politycznej, kandydować na stanowiska. Tymczasem Róża w pełni korzystała z wolności, jaką dawała jej pozycja outsiderki: mogła swobodnie wypowiadać poglądy niepopularne, iść pod prąd.

A czy Róża potrafiła też czarować swoich adwersarzy, korzystając z tego, że jest kobietą?

– To można prześledzić na przykładzie późniejszego premiera Belgii, socjaldemokraty Camille’a Huysmansa. Ona z rozbawieniem wspominała to tak: „Przez dziesięć lat należeliśmy oboje do Biura Międzynarodówki i przez dziesięć lat się nienawidziliśmy, o ile moje gołębie serce potrafi kogoś nienawidzić. Dłaczego – trudno powiedzieć. Myślę, że on

im bliżej ideowo do Piłsudskiego i tradycji PPS. Wciąż traktuje się Różę jako zdrajczynię polskości.

Masz mocny przykład, że tak nie było? I nie chodzi mi o to, że lubiła czytać „Panna Tadeusza”...

– Mało kto wie, że ona po raz pierwszy została skazana nie za socjalizm, ale za obronę polskości. Sąd niemiecki skazał ją w 1901 roku na grzywnę za to, że ostro skrytykowała pruskiego ministra oświaty za germanizację polskich dzieci we Wrześni. Po tym wyroku dalej angażowała się w obronę polskości na forum międzynarodowym.

I nie można lekceważyć tego, że naprawdę uwielbiała polską literaturę, a Mickiewicza szczególnie. Przy czym wcale nie próbowała doszukiwać się u niego zaczątków socjalizmu. Uważała po prostu, że on należy do dziedzictwa klasy pracującej jako „największe uosobienie polskiej kultury narodowej”. Każdy kontakt z żywym językiem polskim mocno przeżywała. Agituując dla SPD na Śląsku, pisała w listach, że słysząc polską mowę, czuje się „jak odrodzona”, jakby „znowu znalazła grunt pod nogami”. Jej zdaniem w społeczeństwie przyszłości Polacy zasługiwali na szczególną autonomię właśnie ze względu na bogatą tradycję kulturalną.

Chciała dać Polakom więcej autonomii niż innym narodowościom?

– Więcej niż na przykład: Litwinom, Żydom, Słowakom czy Ukraińcom. Lenin się śmiał z Róży Luksemburg, że tak wyjątkowo traktuje Polaków. Nie chodziło jej tylko o ochronę języka i kultury polskiej. Ta szczególna autonomia miała gwarantować, że „sprawy dotyczące specjalnie naszego kraju załatwiane były przez ludność naszego kraju za pomocą własnych urzędników i swojego sejmu krajowego, obieranego przez całą dorosłą ludność kraju drogą powszechnych, równych, tajnych i bezpośrednich wyborów”. Narodowy samorząd miał kontrolować politykę gospodarczą w rolnictwie, górnictwie, transporcie i leśnictwie, miał też organizować szkolnictwo i ochronę zdrowia. Narodowy sejm miał nadzorować polskie sądy.

Na Zachodzie rozpowszechniony jest pogląd, że Luksemburg właściwie nie miała tożsamości narodowej. Też tak uważasz?

– Róża większość życia spędziła w Szwajcarii i w Niemczech. W listach do przyjaciół zdarzało jej się o Niemcach napisać protekcjonalnie „moje niemiaszki”, o Rosjanach „moskale”, a o Żydach nawet „żydlacy”. Ale gdy w artykułach dla prasy niemieckiej pisała „nasz język”, „nasza narodowość” „nasza literatura”, to miała na myśli zawsze: polski język, polską narodowość, literaturę polską. Hannah Arendt uważała, że podczas studiów w Zurychu Różę uformowało kosmopolityczne środowisko żydowskich emigrantów z Imperium Rosyjskiego. Sama zawsze osobna Arendt podkreślała jej osobność: „Róża Luksemburg była outsiderką nie tylko dlatego, że była polską Żydówką w kraju, którego nie lubiła [Niemcy], i w partii [SPD], którą wkrótce zaczęła pogardzać, ale także dlatego, że była kobietą”. Ale ja myślę, że Róża tak by o sobie nie napisała. Nie chciała się zamykać w żadnym tożsamościowym getcie.

Hannah Arendt uważała, że kto jest atakowany jako Żyd, powinien się bronić jako Żyd. Róża wolala te ataki ignorować?

– Nie wytrzymała tak naprawdę w 1910 roku, gdy zaatakował ją Andrzej Niemojewski. Wcześniej związany z PPS Niemojewski po 1905 roku zaangażował się publicystycznie w „odżyzdzenie polskiego socjalizmu”. Przekonywał, że zaangażowanie Luksemburg w niemiecki ruch socjalistyczny działa na szkodę polskich interesów narodowych. Używał przy tym brutalnie antysemickiego języka, na co Róża odpowiedziała w końcu artykułem zatytułowanym „Po pogromie”. Wezwała w nim lewicę do odrzucenia kategorii ras i narodów,





bo „na świecie są dziś w istocie tylko dwa narody – wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych”. Zmobilizowała też kilkunastu przywódców Międzynarodówki do podpisania listu otwartego przeciwko lewicowym rzeźnikom tego rzekomo „postępowego antysemityzmu”.

No to jeszcze jeden stereotyp: Róża Luksemburg zrobiła karierę dzięki facetom i ich pieniądзом. Przykład: jej związek z rewolucjonistą Leonem Jo-gichesem.

– Bez żartów. Ona karierę polityczną zrobiła wbrew niemu, musiała ostro walczyć o siebie w tym związku. Leon to była jej pierwsza miłość, która trwała aż 15 lat. To prawda, że pochodził z bogatej rodziny żydowskiej, ale wcześniej zaangażował się w socjalizm. Poszukiwany za działalność rewolucyjną musiał uciekać z rodzinnego Wilna. Znamienne i ciekawe, że był rówieśnikiem Józefa Piłsudskiego, chodzili do tego samego gimnazjum, ich drogi przecięły się także w ruchu socjalistycznym przy okazji nieudanego zamachu na cara.

Róża poznała Leona w Zurychu jako studentka nauk przyrodniczych. Po roku przenieśli się oboje na prawo i ekonomię i założyli razem socjalistyczną gazetę. On był bystry i czytany, zorientowany w sprawach politycznych, ale miał blokadę pisarską, a Róża umiała pisać biegle w czterech językach, więc się uzupełniali. Z początku ona ustalała z nim dokładnie, o czym napisze i jakich użyje argumentów. Z czasem nabrała pewności, nie chciała korzystać z uwag Leona. On się o to strasznie wściekał, na jego autorytarny charakter skarżyli się zresztą wszyscy współpracownicy.

Po przeprowadzce do Berlina Róża została wziętą dziennikarką. Tylko w Niemczech ukazywało się wtedy kilkadziesiąt gazet o profilu socjalistycznym, a jej teksty bywały także drukowane w prasie innych krajów. Mogła się więc utrzymać z pisania samodzielnie jako jedna z pierwszych kobiet w Europie.

W Berlinie znalazła mieszkanie w tak zwanej dobrej dzielnicy. Nie chciała zamieszkać z robotnikami, o których przyszłość walczyła.

– Ona nie była społecznicą, tylko intelektualistką, teoretyczką marksizmu. W listach pisała, że do pracy potrzebna jest jej cisza i zieleni, wygodny fotel do czytania i kojący widok z okna. Że nie może mieszkać w dzielnicy proletariackiej, bo tam jest niezdrowe powietrze. To jakieś pęknięcie w jej wizerunku, ale takie niejednoznaczności są dla mnie ciekawe. Lubiała przemawiać do robotników, sama na Śląsku rozdawała ulotki. A potem wypoczywała w alpejskich wioskach. Żyła po mieszczańsku.

Na czym polegał jej talent retoryczny?

– Pisała z pasją, obrazowo, ale konkretnie i precyzyjnie. Umiała do każdego odbiorcy dobierać właściwe argumenty i odpowiedni język. Wiemy o tym, bo zachowało się mnóstwo jej listów, tylko do Leona ponad 900. A o tym, że Róża świetnie przemawiała, świadczą relacje prasy niemieckiej. Zupel-

nie inaczej mówiła na kongresie Międzynarodówki, a inaczej do robotników na Śląsku.

Zachowany w poznańskich archiwach raport policyjny pozwała zrozumieć, na czym polegał jej talent wiecowy. Ona koncentrowała się na jednym temacie. Przytaczała liczby i fakty, ale tak, żeby nie zanudzić słuchających. Tłumaczyła jasno i prosto, dlaczego rosną ceny żywności – że winne są cła. I że trzeba posłać do parlamentu takich ludzi, którzy się o te cła zatroszczą. Nie było w tym demagogii, ale były emocje, bo w opowieść o taryfach celnych potrafiła wpleść cytaty z wiersza Heinego.

Czy ona spotkała się kiedyś osobiście z Józefem Piłsudskim?

– W Londynie na zjeździe Międzynarodówki w 1896 roku on reprezentował PPS, ona – SDKPiL. Piłsudski pisał wówczas w listach protekcyjnie o „ogródku luksemburskim”. Starli się wtedy ostro o rezolucję w sprawie niepodległości Polski. Co ciekawe, ani jednej wzmianki o Róży nie ma w podstawowej dziś biografii Marszałka pióra Andrzeja Garlickiego liczącej niemal 1000 stron.

W październiku 1918 roku oboje zostali tego samego dnia zwolnieni z niemieckich więzień. Róża utknęła na 24 godziny we Wrocławiu, bo w ogarniętym rewolucją kraju nie działała kolej. Gdyby nie to, musieliby wpaść na siebie w zrewoltowanym centrum Berlina, po którego ulicach oprowadzali wtedy Piłsudskiego niemieccy dyplomaci.

Przekonaj mnie jeszcze, że nie była – jak uważał prof. Leszek Kołakowski – „doktrynalną marksistką”.

– Róża Luksemburg twórczo rozwinęła – a zdaniem Hannah Arendt nawet przekroczyła – myśl Marksa w swoim najważniejszym dziele teoretycznym „Akumulacja Kapitału”. Jako pierwsza ekonomistka w historii ujmowała kapitalizm jako system globalny, który czerpie siły żywotne z niekapitalistycznych peryferii. Jako pierwsza opisała też wzajemne sprzężenie kapitalizmu, imperializmu i militarysty. To ona pierwsza stwierdziła, że rządy mogą regulować koniunkturę przez zamówienia zbrojeniowe. A największym błędem w teorii Marksa było to, że nie docenił roli państwa w niwelowaniu sprzeczności systemu kapitalistycznego.

W Polsce nie ma dzisiaj śladu po Róży Luksemburg. Żadnej ulicy, żadnego pomnika.

– Jest jedna uliczka na osiedlu w Gliwicach i jedna tablica na kamienicy w Poznaniu. Ale może lepiej głośno o tym nie mówić? Kilka lat temu skuto tablicę pamiątkową w Zamościu, gdzie się urodziła. Była tam ulica Róży Luksemburg, to ją przemianowano na Peowiaków, czyli członków Polskiej Organizacji Wojskowej założonej w 1914 roku przez jej rywala Piłsudskiego. Tam, gdzie skuto tablicę, na świeżym tynku ktoś uparcie pisze kredą: „Różę pamiętamy”. Zapewniam, nie ja to robię. ●

Weronika Kostyrko

• Wieloletnia dziennikarką „Gazety Wyborczej” (od 1991 roku), pierwsza naczelna „Wysokich Obcasów” (1999-2005); w latach 2012-16 kierowała serwisem Culture. pl; autorka książki „Tancerka i zagłada. Historia Poli Niereńskiej” (2019).

CO ZOSTAŁO Z PSL?

Dlaczego książki o najchlubniejszym momencie w historii PSL nie chciał wydać sam PSL?

To zaniechanie w dużej mierze pokazuje, czym stała się dziś ta partia.

Krystyna Naszkowska

Politycy PSL lubią powoływać się na własną historię, na ponad 130 lat trwania na scenie politycznej. I mają rację: naprawdę jest się na co powoływać, jest się czym chwalić. A kto nie wierzy, może przeczytać wydaną właśnie książkę zmarłego tragicznie w 2021 roku Jana Lityńskiego „PSL. Model oporu”.

To syntetyczne, precyzyjne i jasne przedstawienie głównego pola walki o kształt Polski w latach 1945-47. Latach dramatycznych, które decydowały o ustroju kraju na następne kilkadziesiąt lat. PSL stanęło do nierównej walki z komunistami, za którymi stał reżim Stalina. Przegrało, bo od początku chyba nie miało szans, ale historia tej walki, jej zwroty, emocje, dylematy dowódców, tworzy fascynującą historię naszego kraju. I pokazuje, że opór kolektywny i oparty na ideach ma sens.

Kiedy dziś tak często słyszymy, że już najwyższa pora, by PSL zszedł ze sceny politycznej, tym bardziej warto spojrzeć na fenomen tej partii. I na to, jak wiele dylematów ówczesnych liderów możemy wprost przenieść do dzisiejszych czasów.

O CO TOCZYŁA SIĘ GRA?

Pisze Lityński: „To była próba uratowania Polski przed naporem komunistycznym, przed systemem totalitarnym i nadchodzącą epoką stalinizmu. Próba nie powiodła się. Klęska PSL ma niewątpliwie wymiar sięgający poza granice naszego kraju, była porażką nie tylko narodu polskiego, lecz także narodów tej części Europy, która zgodnie z traktatami w Jalcie i Poczdamie znalazła się w strefie wpływów ZSRR”.

I dalej: „Ustępliwa postawa aliantów zdecydowała o tragicznym losie zarówno narodów Ukrainy, Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi, jak i narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Musimy o tym pamiętać, gdy przystępujemy do analizy gry politycznej podjętej przez ludowców, nie tylko w Polsce, ale i na Węgrzech, Rumunii i Bułgarii. Była to gra o uratowanie biologicznej substancji narodu. Ludowcy nie mieli złudzeń co do Stalina i charakteru PPR, nie liczyli na cudowne wydarzenia, działalność opierali na realnych przesłankach i dążeniu do wykorzystania maksimum szans w sytuacji, w której uzyskanie czegokolwiek było niezwykle trudne. Praktyka polityczna ludow-

ców polegała na odwołaniu się do sił istniejących w polskim społeczeństwie – do ducha demokratycznego oporu. Uzyskali poparcie ogromnej większości społeczeństwa”.

O tym jest ta książka.

POUCZAJĄCA HISTORIA

Dlaczego Lityński ją napisał? On sam przyznaje, że był zafascynowany ruchem ludowym tamtych lat i w pełni podzielał rację jego działaczy. Pisał to w połowie lat 70. Miał już za sobą doświadczenia oporu wobec PRL – wyrok więzienia, siedział za udział w protestach 1968 roku.

Prof. Andrzej Friszke, autor posłowania, pisze tak: „Środowisko opozycyjnej młodzieży, do którego należał Lityński, prowadziło w latach 1974-75 seminarium samokształceniowe, na którym analizowano alternatywne wobec Polskiej Partii Robotniczej projekty ideowe i polityczne pierwszych lat powojennych, nim PPR ustanowiła swój totalny monopol. Szukano atrakcyjnych dla siebie wzorów myślenia o ideach, o Polsce demokratycznej, pluralistycznej, szanującej prawa obywateli”.

To się pokrywa z tym, co mówi pewien mój znajomy:

„W latach 70. ciągle zastanawialiśmy się, jak walczyć z komuną. Nie było recept, nikt nie podpowiadał. Żołnierze wyklęci? To nie była recepta na sukces. Endecja? Też nie, roztopiła się w komunizmie. Tradycje patriotyczne? Już w latach 60. odwoływali się do nich niektórzy komuniści, np. Mieczysław Moczar. Dlatego historia oporu PSL wydawała się pouczająca”.

Lityński, który nie miał dostępu do tajnych archiwów, wiedzę czerpał w dużej mierze z prasy, głównie „Gazety Ludowej” ukazującej się od listopada 1945 roku. Z powodu stałego deficytu papieru miała okrojony nakład – 65 tys. egzemplarzy (przy potrzebach około miliona). W Warszawie była sprzedawana tylko w jednym lub dwóch kioskach i jedynie w określonych godzinach. Kolportaż był utrudniony, wysyłane pocztą egzemplarze ginęły w tajemniczych okolicznościach.

„PSL. Model oporu” opublikowała na początku 1982 roku „Krytyka” na fali poluzowania solidarnościowego. Obecne wydanie jest na tamym tekście oparte.

Jak książka przeszła próbę czasu? – Przeszła dobrze – odpowiada prof. Friszke. Przeszła dobrze, mimo iż Lityński nie miał dostępu do tego, co działo się za kulisami, wiele spraw zostało odtajnionych dopiero w latach 90.



• Przywódca PSL Stanisław Mikołajczyk w sierpniu 1944 roku, po wizycie w Moskwie
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Na protesty
Mikołajczyka,
że referendum
zostało
sfalszowane,
Gomułka miał
powiedzieć:
„Leć Pan na
skargę do
Churchilla”.
W tych słowach
zawierało się
przekonanie,
że z Zachodem
już liczyć się
nie trzeba

SILA WSI

Aby zrozumieć tragizm sytuacji, w jakiej znaleźli się po wojnie politycy PSL, trzeba przypomnieć, w jak dramatycznych warunkach wtedy działali. Z jednej strony czuli swoją siłę – to była realna armia, w Polsce 70 proc. ludności mieszkało na wsi, byli naturalnym elektoratem tej partii, a członków Stronnictwo miało ok. miliona.

W 1945 roku ludowcy jak żadne inne stronnictwo byli przygotowani do odegrania kluczowej roli w polskiej polityce – mieli Stanisława Mikołajczyka, przywódcę, który posiadał doświadczenie na arenie międzynarodowej z kontaktami na najwyższych szczeblach, mieli setki tysięcy zwolenników, dziesiątki działaczy w strukturach Polski podziemnej, żołnierzy z Batalionów Chłopskich.

PSL było gotowe przejąć odpowiedzialność za kraj pod warunkiem uzyskania realnego wpływu na sytuację. Było praktycznie jedyną partią zdolną do nawiązania przyjaznych kontaktów zarówno ze Wschodem, jak i Zachodem, jedyną, która mogła przekonać społeczeństwo do przyjaznej postawy wobec ZSRR. Dlatego przywódcom wydawało się logiczne, że Stalin nie będzie dążył do likwidacji PSL, bo będzie zmuszony liczyć się z nastrojami społecznymi w Polsce. Próbowali odebrać komunistom monopol na kontakty z Kremlm. Jak się okazało, pomylili się. I to mocno. Stalin widział w PSL siłę prozachodnią, próbującą się przeciwstawić sowieckiej dominacji, i to przesądziło o losie ludowców, o konieczności zniszczenia PSL.

Liderzy Stronnictwa liczyli na międzynarodowe naciski, na wsparcie USA i Wielkiej Brytanii. Tu też zawiedli się w swoich rachubach.

JEDYNA NADZIEJA

Już w październiku 1945 roku Władysław Gomułka nazwał PSL „prawym skrzydłem obozu demokratycznego”, co tylko z pozoru wydaje się łagodną krytyką. Ta przemowa Gomułki była sygnałem do szeroko zakrojonej kampanii przeciwko ludowcom. Rewizje, aresztowania, przesłuchania członków partii, akcje propagandowe, ograniczenia środków finansowych, usuwanie ludzi z urzędów, uprowadzenia i mordy, niedopuszczenie do zebrań, rewizje w sie-

dzibach PSL, konfiskowanie dokumentów, skazywanie na wieloletnie więzienia.

W czerwcu 1946 roku komuniści zorganizowali referendum ludowe pod hasłem „Trzy razy tak”. Społeczeństwo miało odpowiedzieć, czy chce zniesienia Senatu, gwarancji trwałości granic na Odrze i Nysie Łużyckiej oraz wprowadzenia reformy rolnej. PSL opowiadał się za utrzymaniem Senatu, tak tylko mógł zaznaczyć swoją odrębność, gdyż trudno było ludowcom odrzucać zachodnią granicę czy reformę rolną.

Tuż przed referendum plan rozbicia PSL przyspieszył. W maju doszło do serii skrytobójstw, zginęło wtedy 22 działaczy partii, wielu brutalnie pobito. Spalono całą wieś w powiecie puławskim. Były aresztowania i włamania.

Ale obok ataków pojawił się też inny element: w dokumentach z I Zjazdu PPR można przeczytać, że członkowie partii zostali wezwani do nawiązywania ścisłych kontaktów z ludowcami wykazującymi krytyczny stosunek do polityki Mikołajczyka, do odrywania terenowych organizacji od stronnictwa. To była próba rozbicia PSL od wewnątrz.

Ataki i represje nie zmniejszyły wcale popularności ludowców. Wręcz przeciwnie – Stronnictwo stało się jedyną nadzieją dla obywateli na poprawę sytuacji.

PUNKT ZWROTNY

Kwadraturą koła nazywa Lityński ewentualną zgodę na przystąpienie do bloku wyborczego z Polską Partią Socjalistyczną – taka oferta pojawiła się ze strony socjalistów z poparciem komunistów. To mogła być szansa, ale też groziła utratą politycznej niezależności, co zresztą stało się wkrótce z PPS. Do tego różne było podejście w samym PSL do ewentualnej współpracy z innymi partiami: „doły” partyjne były przeciwko, „góra” szukała jakiegoś porozumienia.

To widać na pierwszym i, jak się później okazało, ostatnim kongresie PSL 19 stycznia 1946 roku, gdzie głosy delegatów terenowych były na ogół ostrzejsze od głosów przedstawicieli centrali. Gdy „doły” postulowały zniesienie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, „góra” apelowała o spokój. Referendum, które odbyło się 30 czerwca 1946 roku, było momentem zwrotnym – PSL szedł do niego w roli faworyta, ale oficjalnie je przegrał, gdyż wyniki zostały sfalszowane.

W 1990 roku prof. Andrzej Paczkowski odnalazł w odtajnionym archiwum Bolesława Bieruta prawdziwe sprawozdania z referendum. Wynika z niego, że zgodnie z wytycznymi PSL zagłosowało 40 proc. obywateli, 33,1 proc. odrzuciło wszystkie trzy pytania referendum, zaś na blok z PPR oddało głos 29,6 proc. Co może oznaczać, że w wyborach do Sejmu, gdzie nie startowały partie prawicowe, na listę PSL mogło oddać głos nawet 70 proc. Polaków.

Na protesty Mikołajczyka, że referendum zostało sfalszowane, Gomułka miał powiedzieć: „Leć Pan na skargę do Churchill”. W tych słowach, jak pisze prof. Friszke, zawierało się przekonanie, że z Zachodem już liczyć się nie trzeba.

OPÓR MA ZNACZENIE

Od chwili ogłoszenia wyników było oczywiste, że PSL, mając przeciwko sobie cały aparat przemocy, nie wygra wyborów. Mimo to kierownictwo partii zdecydowało się na podjęcie walki i odmówiło wejścia do bloku z socjalistami i komunistami, co oznaczałoby poddanie się kontroli PPR.

W styczniu 1947 roku w więzieniach było już kilka tysięcy ludowców, działalność PSL została zawieszona w 36 powiatach, w 10 okręgach wyborczych nie dopuszczono list PSL, prawie 500 tys. osób pozbawiono czynnego prawa wyborczego. W efekcie ludowcy wywalczyli 28 mandatów w Sejmie, resztę zgarnął blok socjalistyczno-komunistyczny.

PSL wybrało drogę konfrontacji z władzą i choć przegrało, to jawne działanie stworzyło możliwości, jakich nie mieli ci, którzy

zdecydowali się pozostać w podziemiu lub na emigracji. Realści ponieśli klęskę, ale pokazali, że opór ma znaczenie. Skutki to: zmniejszenie terroru, ograniczenie do minimum wywózki na Wschód, amnestia dla tysięcy ludzi, zwiększenie pomocy gospodarczej z Zachodu, co uchroniło od głodu wielu ludzi, dostęp do wolnej prasy. Z realistycznego punktu widzenia to bardzo dużo.

Tę historię zamyka ucieczka Mikołajczyka z Polski w październiku 1947 roku, na kilka dni przez spodziewanym aresztowaniem. Niektórzy liderzy PSL zdołali wówczas uciec, niektórym to się nie udało. Ci, którzy zostali, a nie potępił Mikołajczyka, nie odcięli się od własnej dzielności, byli usuwani z pracy, aresztowani i skazywani na więzienie. Z kierownictwa wyrzucono wszystkich wiernych dotychczasowej linii politycznej, a niektórzy wcześniej powszechnie szanowani, jak Czesław Wycech czy Władysław Kiernik, brutalnie ich publicznie atakowali – wyrzekali się samych siebie za cenę przetrwania w życiu publicznym.

Skończyło się stare PSL, zaczęła się niechlubna historia Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego aż do 1989 roku.

Jak pisze prof. Friszke w posłowie, Lityński rozumiał sens prowadzonej gry politycznej i jej cenę, umiał wydobyć najważniejsze jej cechy i okoliczności, pokazać fronty walki, patrzył na ludowców z sympatią, ale chłodnym okiem, ze świadomością, jak wielka była stawka w tej walce.

KTO NIE CHCIAŁ TEJ KSIĄŻKI?

I aż dziw bierze, że tej książki nie wydało PSL. Ma takie możliwości, ma Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, które wydaje rozmaite materiały poświęcone ruchowi ludowemu. Szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz nawet publicznie zapewniał, że książkę ludowcy wydadzą. Ale nie wydali. Wydał Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza i tą publikacją rozpoczął właśnie swoją działalność wydawniczą. Dlaczego tak się stało?

Elżbieta Bogucka–Lityńska, wdowa po Janie Lityńskim, nie ma wątpliwości, że za blokował to szef Muzeum Janusz Gmitruk. Mówiła o tym otwarcie podczas dyskusji o książce w siedzibie Instytutu.

A zablokował prawdopodobnie nie tyle z powodu jej treści, co ze względu na autora posłowania – prof. Andrzeja Friszkego.

Gmitruk stoi od lat na czele Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego i pilnuje archiwów związanych z tym ruchem. W 1997 roku dyrektorem mianował go minister kultury z PSL Zdzisław Podkański. Nominacja była na pięć lat, ale od tej pory cały czas jest odnawiana. W 2013 roku sąd lustracyjny orzekł wobec Gmitruka karę pięciu lat zakazu pełnienia funkcji publicznych uznając, że w 2007 roku złożył fałszywe oświadczenie lustracyjne, w którym zataił swoją współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa PRL w latach 1974-80. W teczkach IPN zachowały się dowody tej współpracy, czyli donosy m.in. na Andrzeja Friszkego. To właśnie prof. Friszke oskarżył Gmitruka, że swoimi donosami utrudnił mu karierę naukową.

Zostajemy więc z pytaniem: jak wiele dziś siejszy PSL ma wspólnego z tym z lat 40.? ●



PSL. Model oporu

Jan Lityński
Instytut Narutowicza



NIBY RENESANS, PRAWIE

roko

Wiek XIX z jednej strony rozkręcił rewolucję przemysłową i dał nam: silnik parowy, żarówkę, telefon, fotografię, maszynę do pisania i rower. Świat zmieniał się w szaleńczym tempie. Z drugiej strony pielęgnował kult przeszłości.

Można było siedzieć na wygodnych, wyściełanych kanapach, ale nowoczesny wiek uznał, że to *démodé*, i wyciągnął *cassapanke*, czyli twarde skrzynie z wysokim oparciem. Nikt ich wprowadzić nie robił od końca XVII wieku, odgniaty użytkownikom mniej szlachetne części ciała, ale miały patynę, za którą ludzie tęsknili.

Albo fotele nożycowe zwane we Włoszech *fotelami Savonaroli* (od nazwiska kaznodziei i schizmatyka spalonego na stosie w 1498 roku), które powinny być dozwolone tylko do lat 18, bo starszych użytkowników ortopeda zrujnuje. Za to wyglądają tak renesansowo, że wiek XIX nie był w stanie im się oprzeć.

Lub pułtynki, czyli przenośne sekretarzyki i bogato zdobione gabinety z mnóstwem szuflad, schowków i pulpitem do pisania listów. Niefunkcjonalne od 200 lat, ale za to demonstracyjnie historyczne.

Nowoczesne materiały i maszyny pozwoliły stworzyć tańsze kopie drogich sprzętów. Tak doskonale, że nawet doświadczeni muzealnicy uznali je za meble renesansowe czy barokowe.

Tekst: Beata Maciejewska, zdjęcia: Tomasz Pietrzyk / Agencja Wyborcza.pl

1 RP

◀ **Cassapanki** czyli skrzynie do siedzenia z wysokimi oparciami, wyszły z mody już w końcu XVII wieku, wyparte przez wygodniejsze kanapy. Wróciły na fali historyzmu, meblując nie tylko pałacowe komnaty, ale mieszczańskie pokoje. Produkowały je głównie warsztaty włoskie i niemieckie, poszukiwane były cassapanki gdańskie w stylu neobarokowym

▼ **Fotel Savonaroli** (polska nazwa „karło”), Niemcy, 1880-1890. Popularny od XV wieku, konstrukcja wywodząca się od znanego w starożytnym Rzymie składanego krzesła kurulnego. Zabierana była w podróż lub na wojnę. Prawo zasiadania na nim mieli urzędnicy kurulni, jak konsul i pretor



– Sięgano do wielu dawnych stylów, wykorzystywano również motywy blisko i dalekowschodnie – opowiada Małgorzata Korżel-Kraśna z Muzeum Narodowego we Wrocławiu. – W Anglii modny był neogoty, w Austrii neorokoko, we Włoszech neorenesans. Nie można ustalić ich chronologii, przeplatały się ze sobą, a połączone w jednym dziele reprezentowały eklektyzm. Stolarzy eklektyzm pociągał, wydawał się oryginalny, bo wymagał od nich kreatywności, ale czasem powstawały zaskakujące formy i zestawienia. Prezentację ponad 200 zabytkowych sprzętów z okresu historyzmu można oglądać w Muzeum Narodowym we Wrocławiu.

TE ORNAMENTY, TE DRAPERIE

– Mamy w zbiorach kilka sprzętów, którym po wnikliwych badaniach zmieniliśmy metrykę urodzenia. Te pomyłki to efekt profesjonalizmu XIX-wiecznych stolarzy, którzy w swojej pracy wykorzystywali dawne techniki, a nawet archaiczne narzędzia – mówi Małgorzata Korżel-Kraśna, wybitna znawczyni zabytkowego meblarstwa. Przygotowała kilkadziesiąt wystaw rzeźmiosła artystycznego, w tym pięć nagrodzonych Sybillą, długą listę publikacji, badała wszystkie rodzaje mebli i przyznaje, że przed wydaniem werdyktu „kopia czy oryginał” trzeba czasem wykonać pracę detektywa. Znaleźć element, który zdradzi twórcę, a właściwie odwrotnie – połączenie czopowe z odsadkami zamiast wyłącznie czopowego, wypolerowane wnętrze szuflady, podwójny kolek rozporowy albo klej syntetyczny. Zaraz po wojnie do wrocławskich zbiorów trafiła bogato rzeźbiona szafa z drewna

▼ **Lwy na zakończeniach podłokietników fotela gdańskiego**



orzechowego i jesionowego ze sceną „Ostatniej wieczerzy” i kartuszem z datą 1641. Wewnętrzne ścianki zachowały ślady dłuta, którym w renesansowych meblach wyłazano powierzchnię, a zamek zamontowano tak, jak robiono to kilkaset lat temu. Ale ta szafa nie ma kilkuset lat, tylko ok. 120 i została wykonana w fabryce Heinricha Sauermanna we Flensburgu – zdradza Małgorzata Korżel-Kraśna. – Data 1641 to czas powstania pierwowzoru. Nasz mebel jest kopią pierwszej szafy Berenda Cornelissena, znakomitego stolarza-rzeźbiarza z Husum. Szafa od Sauermanna była dla zamożnego klienta, który umiał docenić sztukę wykonania i wybór modelu. Te ornamenty wolutowe, małżowinowe i kwiatowe, wiszące draperie, płaskorzeźbione sceny biblijne, kule i kolumny musiały kosztować. Ale mniej zamożni też chcieli mieć w domu podobne meble. Tworzące się państwa szukały swoich stylów narodowych, grzebiąc w epokach, które uznawano za czas rozkwitu. W kajzerowskich Niemczech za styl narodowy uznano na przykład północnoniemiecki renesans. Bo Luter, bo Dürer, bo Holbein. Urządzanie gabinetu pana domu takimi sprzętami było niemal deklaracją patriotyczną, a gabinetu burmistrza lub sali sesyjnej rady miejskiej – obowiązkiem politycznym. Do tego niskie boazerie, powyżej tapeta naśladująca brokaty i gobeliny, a w oknach witraże. Ciemne brązy, czernie, zielenie i zapach starości.

BOULLE DLA KAŻDEGO

W XIX wieku uznaniem cieszyły się meble epatujące bogactwem dekoracji, łączące Europę z Orientem – kształty rokokowe, ale pokryte czarną pseudolaką, ozdobione malowanymi kwiatami, w które wpuszczono żyłki mosiężne, inkrustacje z macicy perłowej i kości słoniowej.

Jeszcze popularniejsze były meble dekorowane techniką Boulle’a. To synonim luksusu, Wersal był kiedyś nimi zastawiony. – Charles Andre Boulle był słynnym ebenistą pracującym dla króla Ludwika XIV. Technika, którą stosował, była rodzajem inkrustacji z użyciem cyny, szylkretu, złoczonego mosiądzu lub kości, kładzioną na płaszczyznach mebli z hebanu – tłumaczy muzealniczka. – Mamy egzemplarze mebli z czasów cesarza Napoleona III, czyli 150 lat młodsze, autorstwa wybitnych stolarzy, idealnie wykonane, z bardzo cennych materiałów, ale obok tych niezwykle okazów są też meble z materiałów tylko imitujących szlachetne drewno i dekorację. Zamiast hebanu stosowano czernione drewno gruszy, zamiast szylkretu masę z celulozoidu lub kości rogowej, barwioną w charakterystyczne wzory, a srebrną inkrustację zastąpiła mieszanina cynku, rtęci i kleju. – Najpiękniejsze imitacje hebanu powstawały, gdy drewno wygotowywano w rybitym kleju, potem w wywarze z kory dębowej, a następnie wykańczano zaprawą żelazową – opowiada kuratorka wystawy. Liczył się tylko wygląd.

Ciekawym patentem było też wygrawerowanie miedzianej płytki i zrobienie odbitki dekoracji w gutaperce (substancja z żywicy drzewa rosnącego na Półwyspie Malajskim), a potem pokrycie odcisku warstwą miedzi i pomalowanie powierzchni werniksem przypominającym japońską lakę. Na Allegro można kupić za średnią krajową ławy, biurka, sekretarzyki, witryny, a nawet całe wyposażenie salonu. Na pierwszy rzut oka nie wyglądają gorzej niż biurko, które Boulle zrobił dla króla Jana III Sobieskiego. Potrzebny jest drugi, a nawet trzeci rzut oka, żeby odkryć fałszyfikat. To nie są meble dla króla, ale niemal każdy może je mieć i są chętnie wybierane jako



▲ **Fotel gdański** - drewno dębowe i skóra. Dekorowane szarfą z napisem „Nec temere nec timide” (Ani zuchwale, ani trwożliwie) i herbem Gdańska, podtrzymywany przez lwy

◀ **Siedzisko fotela gdańskiego**, wyścielane, ze sprężynami, ale niezbyt wygodne. Do oglądania, a nie siedzenia

◀◀ **Putto na posłaniu z liści bananowca**, zdobiące poręcz fotela z Wenecji. Mebel naśladuje dzieła Andrei Brustolona, weneckiego artysty z XVII wieku





dodatek do wnętrz urządzonych w nowoczesnym stylu.

PRZYBYŁEM, ZOBACZYŁEM, ZROBIŁEM

Trudno odróżnić XIX-wieczne meble z poszczególnych krajów i regionów. Rzemieślnicy, fabrykanci i projektanci posługiwali się tymi samymi wzornikami, korzystali z tych samych patentów i materiałów, instalowali podobne maszyny. Nowinki i same towary rozprzestrzeniały się błyskawicznie po Europie i Nowym Świecie, do czego przyczyniły się wielkie światowe wystawy, fetysz belle epoque, miejsca pielgrzymkowe dla ludzi ery nowoczesności.

Ta pierwsza została zorganizowana w 1851 r. w Londynie z inicjatywy księcia Alberta. Ściągnęła 17 tys. wystawców, którzy pokazali chyba wszystko, co ludzkość wymyśliła i wyprodukowała – od silników parowych do budzików.

Aż 6 mln zwiedzających ruszyło oglądać mechaniczną żniwiarkę – skrzyżowanie taczki z rydwanem, jak twierdzili obserwatorzy – która była w stanie ścinać więcej zboża niż tuzin mężczyzn z kosami, zamrażarkę do lodów, ogromne tokarki, wypchanego słonia przywiezionego z Indii i słynny diament Koh-in-Noor.

A to wszystko upakowano w Pałacu Kryształowym, który sam w sobie był godny wystawy – zaprojektowana przez Josepha Paxtona konstrukcja z żeliwa i taflí szkła miała 549 m długości i 43 m wysokości.

Zamknęła w środku kilka drzew z Hyde Parku razem z gnieźdzącymi się w ich koronach wróblami, więc książę Albert martwił się, że ptasie kupy spadające na jedwabne suknie zniszczą radość ze zwiedzania. Stary książę Wellington, bohater spod Waterloo, zapytany przez Alberta, jak pokonać wróble, powiedział chłodno tylko jedno słowo: krogulce.

DOM DLA KLASY PRACUJĄCEJ

– Na wystawie londyńskiej pokazano „modelowy dom dla klasy pracującej”, w którym zainstalowano takie nowości jak żeliwne meble do siedzenia, gięte krzesła Michaela Thoneta i metalowe łóżka. Łatwiej było wycisnąć je z pluskiew – wyciągnąć materac i przejechać szczotką po metalu. Triumf święciły też meble i dekoracje neogotyckie. Co więcej, Thomas Brown Jordan pokazał opatentowane przez siebie urządzenie do rzeźbienia i grawerowania drewna. Zwiedzający mogli obejrzeć ekran z realistycznym przedstawieniem zwierząt łownych i liści – opowiada Małgorzata Korżel-Kraśna.

A po londyńskiej przyszły następne wystawy i przyciągnęły tłumy. Ekspozycję w Chicago obejrzało ponad 27 mln osób, a wystawę paryską w 1900 r. aż 48 mln. Kształtowały gusta.

W zbiorach wrocławskiego Muzeum Narodowego znalazły się przedziwne krzesła, które pokazano w 1903 r. na wystawie rolniczej w Miechowie. Nie miała światowego rozmachu, ale była pierwszą wystawą włościańską w Kongresówce. „Chłopstwo szło na wystawę pieszo po kilkanaście wiorst, zaprowiantowani w butelkę mleka i pajdę chleba żarnowego, szli nasycić oczywiście, czego nigdy przedtem nie widzieli, szli po wiedzę, aby ulepszyć swoje gospodarstwo” – można przeczytać na stronie regionalnego muzeum.

Takich krzeseł z pewnością nie widzieli, utrzymane w stylistyce secesyjnej, mają oparcie w formie rzeźby syreny i konika morskiego. Autorem był Józef Deskur, malarz i rysownik po studiach w Monachium i w Paryżu, właściciel majątku i pałacu w Sancygniowie. Dla upiększenia rodowej siedziby projektował meble i elementy małej architektury. Krzesła zrobił mu miej-



• **Krzesła pokazane w Miechowie na pierwszej rolniczej wystawie włościańskiej w Kongresówce. Projekt Józefa Deskura, malarza i ziemianina, zarządzającego majątkiem w Sancygniowie. Inspirowane orientálną fantastyką „Baśni z tysiąca i jednej nocy”**

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

scowy stolarz, więc zwiedzający wystawę wiedzieli, u kogo zamawiać.

Nie tylko wystawy miały podnosić poziom wzornictwa, muzea też poczuły, że mają misję, więc zaczęły prezentować dawne rzemiosło. Pojawiły się wyspecjalizowane muzea artystyczno-przemysłowe, jak Victoria and Albert Museum, gromadzące dawne i współczesne wyroby rękodziela i przemysłu.

RZEŹBY BEZ RZEŹBIARZA

Najważniejsze decyzje zapadały jednak w gabinetach fabrykantów. Bo historyzm wprowadził i zaakceptował produkcję fabryczną. Mniejsze warsztaty żyły z zamówień indywidualnych klientów, którzy chcieli mieć meble niepowtarzalne i najwyższej jakości.

– Z tym się wiązała zmiana sposobu powstawania danego przedmiotu. Wymusiła oddzielenie procesu projektowania od procesu wytwarzania. Kiedyś rzemieślnik sam projektował i sam mebel robił, teraz zajął się technicznymi i technologicznymi kwestiami, projekty robili artyści i architekci – mówi Małgorzata Korżel-Kraśna.

Meble taniały, ale ich produkcja wymagała skomplikowanych maszyn i nowych, tańszych materiałów.

Forniry pilowane ręcznie miały grubość 2 mm, a za pomocą maszyn – od 0,9 mm.

Obrabiarki do drewna pojawiły się we Francji po 1851 r., a jednym z pierwszych przedsiębiorstw, w których pracowały, była firma Ribaillier Aine et Cie Mazareol, która produkowała wysokiej jakości meble neorenesansowe m.in. dla cesarowej Eugenii.

Rzeźbione meble produkowano bez udziału rzeźbiarza lub utalentowanego stolarza, a wyglądaly równie dobrze jak te, przy których wypalić wzór w zwilżonym drewnie za pomocą żelaznej formy, co wymagało nacisku rzędu 10-30 ton, albo wykorzystać patent Charles'a le Page'a z 1855 r.: rozdrobnić trociny drewna różanego na proszek, zmieszać z wodą i krwią zwierzęcą, włożyć do matrycy z wzorem, poddać działaniu temperatury i wysokiego ciśnienia, a potem cieszyć się materiałem o właściwościach zbliżonych do hebanu.

Michael Thonet opatentował już w 1842 r. metodę gięcia drewna na gorąco i przewoził swoje meble w postaci luźnych elementów, które były skręcane dopiero na miejscu, co znacznie obniżało koszty transportu. Jego krzesła zawojoywały rynek meblarski.

NIE ZŁOTE, ALE NIESKROMNE

Elita finansowa nie wstydziła się zamawiać do swoich pałaców mebli fabrycznych. Rodzina Scheiblerów z Łodzi, która wybudowała w Kwietnie na Dolnym Śląsku wspaniały pałac w stylu północnego renesansu, zamówiła wyposażenie we wrocławskiej fabryce braci Bauerów, najstarszej wytwórni mebli w mieście.

Otoczeni siedzibami szlachty śląskiej i burżuazji musieli zadbać o podkreślenie swojego statusu, a stać ich było nawet na klamki z czystego złota, po śmierci Karola Scheiblera, łódzkiego „króla bawelny”, odziedziczyli krocie. Ale fabryka Bauerów okazała się dla nich wystarczająco dobra.

Na zdjęciach archiwalnych widać salon gościnny z meblami w stylu ludwików, salon muzyczny z meblami neorokokowymi, pokój japoński z meblami stylizowanymi na orientalne, jadalnię w stylu neorenesansowym (kasetonowy strop z barwionego stiuku, wytłaczane tapety przywodzące na myśl kurdyban, ciężkie skrzynie-siedziska, kredens, prostokątny stół i krzesła obite skórą) i gabinet pana domu w stylu eklektycznym (biurko i obite bogato zdobioną tkaniną fotele, krzesła oraz otomana).

– Obowiązywała zasada urządzania pomieszczeń tylko z użyciem garniturów mebli, które składały się z określonej liczby sprzętów. Nie można było ustawić w jednym pokoju mebli o różnej stylistyce – mówi Małgorzata Korżel-Kraśna.

GWIAZDY WYSTAWY

Pytać kuratorkę wystawy o ulubione eksponaty, to jak pytać rodziców o ulubione dzieci. Ale Małgorzata Korżel-Kraśna pokazuje ulubieńców. Trzy fotele.

Pierwszy – jak dla papieża, prawdopodobnie z Wenecji, ok. 1880-1900. Wyściełane siedzisko, przednie nogi z pełnoplastycznych figur Maurów, na obu poręczach wylegują się na posłaniu z liści putta, czyli uskrzydłone postacie dziecięce. Jedno przytrzymuje ptaka, drugie baranka.

– To fotel w stylu neobarokowym, który kopiuje modele sprzętów do siedzenia i dekoracje rzeźbiarskie Andrei Brustolona, XVII-wiecznego artysty weneckiego. Jego meble cieszyły się wielkim uznaniem, a ten fotel jest bardzo starannie wykonany. Przypuszczam, że może być dziełem Valentina Pancieri, który zdobywał złote medale na kolejnych wystawach światowych i pracował dla europejskich dworów królewskich – mówi kuratorka wystawy.

Numer dwa to fotel gdański, nie do siedzenia, ale do propagandy.

Siedzisko wyściełane, oparcie z herbem Gdańska podtrzymywanym przez lwy i gdańską dewizą *Nec temere nec timide* (Ani zuchwale, ani trwożliwie) umieszczoną w 1610 r. w Ratuszu Głównego Miasta, pojawiającą się często na XIX-wiecznych meblach gdańskich.

Dla ówczesnych Polaków gdańskie wyroby były traktowane jak narodowe pamiątki, więc charakterystyczne meble stały m.in. w neogotyckim pałacu Działyńskich w Kórniku, w pałacu Sierakowskich w Waplewie i rezydencjach Kossakowskich w Widokach i Wojtkuszkach.

Numer trzy to fotel Savonaroli, utrzymany jednocześnie w stylu neorenesansowym i osmańskim.

– Forma włoska, ale zdobnictwo bliskowschodnie. To technika inkrustacji, certosina, która polega na wklejaniu w wycięte w drewnie wgłębienia małych kostek wykonanych z kości, macicy perłowej, metalu i drewna, dowód na wielkie zainteresowanie ówczesnych Europejczyków wzorami orientalnymi – tłumaczy kuratorka.

Fotel jest tak efektowny, że można mu wybaczyć brak wygody. Palisander, orzech i heban. Trudno w nim drzemać, ale miło popatrzeć. Ma już 130 lat i prawdziwą patynę.

– Takie meble zalegały strychy i komórki. Wystawiano je masowo na rozmaitych giełdach staroci. Bardzo długo były lekceważone. Dopiero teraz pojawiło się nowe pokolenie badaczy, którzy mają już dystans, więc mogą ocenić i docenić zjawisko historyzmu. Wiek XIX stworzył ludziom ogromne możliwości – dał nowe materiały, technologie, przemysłne rozwiązania, które wykorzystali do naśladownictwa dzieł uznanych za wzorcowe – mówi Magdalena Korżel-Kraśna. – Nie dlatego, że nie mieli pomysłu na nowe formy artystyczne, ale z konieczności oswajania się z nowymi wyzwaniem i docenić zjawisko historyzmu. Wiek XIX stworzył ludziom ogromne możliwości – dał nowe materiały, technologie, przemysłne rozwiązania, które wykorzystali do naśladownictwa dzieł uznanych za wzorcowe – mówi Magdalena Korżel-Kraśna. – Nie dlatego, że nie mieli pomysłu na nowe formy artystyczne, ale z konieczności oswajania się z nowymi wyzwaniami diametralnie zmieniającego się świata.

Kuratorka wystawy podkreśla, że jesteśmy w podobnym przełomowym momencie cywilizacyjnym.

– Stawiamy sobie pytanie o naszą kondycję, o otwartość na wykorzystanie nowych narzędzi technologicznych jak sztuczna inteligencja czy drukarki 3D – mówi Małgorzata Korżel-Kraśna. – Czy sztuczna inteligencja przejmie od człowieka twórcze zmagania? Czy tylko je wesprze? Przyszłe pokolenia ocenią, jaką kreatywną postawę przyjęliśmy wobec naszych wyzwań.

Nie są to jednak dzieła fałszerzy i dowody przestępstwa. Klient wiedział, co kupuje, a nową kopię cenil często wyżej niż stary oryginał. ●

Muzeum Narodowe we Wrocławiu.

„Plagiat wszech czasów. Historyzm w meblarstwie” – wystawa do 23 lutego 2025

Antypolityka historyczna

Siedem świątyń

Skąd się wzięło ormiańskie miasteczko
w sercu Karpat?



Na 29 sierpnia 2024, czwartek, prognozy przewidywały deszcz całodzienny. Szliśmy (we trzech) na północ grzbietem wschodnich Karpat rumuńskich i doszliśmy właśnie w okolicę pięknego wąwozu Bicz, którym biegnie malownicza szosa z Mołdawii do Siedmiogrodu, w poprzek gór. Chcieliśmy wędrować dalej ku Górom Kelimeńskim, lecz nikomu się nie uśmiechało maszerować w deszczu z plecakiem przez cały dzień. Postanowiliśmy przeczekać.

Lokalnym autobusem zjechaliśmy jakieś 20 km na zachód i kilkadziesiąt metrów w dół, do miasteczka. Rzut oka – nic specjalnego. Zniszczone domki, na słupach płataniny obwisłych kabli; stare, nierówne płyty chodnikowe.

Na ścianie tabliczka: „Telefon – 500 m” i strzałka. Nikt jej jakoś nie zdjął od czasu, kiedy straciła sens w wyniku rozpowszechnienia komórek.

Byliśmy w prowincji Hargita, zamieszkaną w większości przez Szeklerów, prawie dwumilionową ludność węgierską o splątanej przeszłości (o której innym razem). Nie dziwi więc, że miejscowość jest głównie węgierska. Po węgiersku nazywa się Gyergyószentmiklós, po rumuńsku Gheorgheni, po niemiecku Nikla-smarkt. Zwiedzamy.

Niedaleko rynku kościół barokowy, ładny, ale dość typowy, pod wezwaniem św. Mikołaja, patrona miasteczka. W samym zaś rynku mały kościółek z wieżą. Przed nim popiersie Gábora Bethlena, księcia Siedmiogrodu. Wszystko jasne: to czołowy przedstawiciel węgierskiego kalwinizmu. Kruchta XIX-wieczna, nawa główna zaś rozbudowana już po upadku komunizmu, świadectwo żywotności wspólnoty kalwińskiej.

Idziemy dalej, gapiąc się na mapy w komórkach. Oto duży nowy gmach wspólnoty baptystów. Niedaleko – międzywojenna synagoga, zamknięta, ale zadbana. Opoдал – nowa cerkiew prawosławna.

I najciekawsze – malowniczy barokowy kościół ormiańsko-katolicki otoczony murem obronnym z basztami. Na wysokiej wieży inskrypcje ormiańskie, ale na tablicy ogłoszeń wszystko po węgiersku.

We wrześniu będą jakieś uroczystości religijne – czyli społeczność żyje. Wewnątrz ładny, prowincjonalny barok, prawie taki, jak

w kościołach rzymskokatolickich. Nie zgadlbym, że jestem w kościele obrządku wschodniego.

Trafiamy jeszcze na małą świątynię unitariańską przerobioną ze zwykłego domu za pieniądze – czytam na tablicy – unitarian z Ameryki. Razem – siedem świątyń siedmiu wyznań.

Wszystkie nazwy ulic dwujęzyczne: rumuńskie i węgierskie; te ostatnie zarówno alfabetem łacińskim, jak i – zaskoczenie – rumuńskimi. Szeklerzy w średniowieczu używali czasem własnego alfabetu runicznego, który ostatnio podlega zabiegom reanimacji. Pomnik Petőfi (żołnierz i poeta, adiutant generała Józefa Bema w 1848 roku) – jak w każdym węgierskim miasteczku. Wielki gmach gimnazjum – późna secesja albo wczesny modernizm, plus minus 1910 rok. Na potężnym kamiennym portalu stary węgierski napis: „Królewsko-Węgierskie Gimnazjum Państwowe”. Na tympanonie – historyczny herb Węgier na tarczy trzymanej przez dwóch aniołów. Jednak Rumunia jest państwem liberalnym – myślę.

Po powrocie do domu zacząłem szukać. Przewodniki z początku XX wieku piszą: miasto niemal w całości ormiańskie. Skąd się wzięło ormiańskie miasteczko w sercu Siedmiogrodu? Ormianie przybyli tu z Mołdawii w 1672 roku przez wąwóz Bicz. Ci, którzy przechodzili przez inne przełęcze, osiedlili się w innych miasteczkach, z których głównym była Gherla, siedziba biskupstwa ormiańsko-katolickiego.

A jak ormiańskie miasteczko przemieniło się w miasteczko siedmiu wiar? Szeklerzy byli tu „od zawsze”, Żydzi napływali od połowy XIX wieku, Rumuni po przyłączeniu tych ziem do Rumunii w wyniku I wojny światowej. Baptysty są zapewne nowi, unitarianie za to mają w Siedmiogrodzie tradycję prawie 500-letnią. Ormianie się zmadziaryzowali w ciągu XX wieku. Żydów żyło tu przed Zagładą około 600, spis z 2002 roku wykazywał zaś siedem osób wyznających religię żydowską.

W 2021 roku miasto miało ok. 16 tys. mieszkańców, z tego ok. 67 proc. katolików, ponad 7 proc. kalwinistów, 6 proc. prawosławnych, garstkę innych. Jest więc bardziej jednolite, niż wygląda na pierwszy rzut oka, a siedem świątyń w szeklerskim miasteczku pozostaje dla mnie zagadką.

Wróciliśmy autostopem w góry i o szóstej wieczór wyruszyliśmy dalej na północ; przed nocą zdążyliśmy jeszcze przejeść parę kilometrów. Wbrew prognozom deszcz nie spadł. ●

Maciej Janowski

– historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

Jasne strony dziejów

Gina ludzie, a my się kłócimy

Polacy i Ukraińcy powinni się stuknąć
w czoło – nigdy jeszcze między obu krajami
nie było tak wielkiej szansy na dobre relacje.
A że Ukraińcy walczą z Rosją, Polacy powinni się
stuknąć dwa razy. Za siebie i sąsiadów.

Brzeziecki

Z rozrównieniem wspominam nieodległy czas, gdy stosunki polsko-ukraińskie wydawały się dobre, a na pewno zapowiadały się na jeszcze lepsze. Tak było po pomarańczowej rewolucji, która wybuchła na Ukrainie w listopadzie 2004 roku, gdy próbowano wbrew wyborcom w fotelu prezydenta tego kraju posadzić prorosyjskiego Wiktora Janukowycza. Polacy poparli Ukrainę bez żadnych „ale”. Wtedy Ukraińcy jedynie protestowali. Minęło 20 lat, Ukraińcy dziś walczą o swoją niepodległość, warunki wydają się w obliczu wojny sprzyjać wzrostowi sympatii i solidarności zarówno na poziomie rządów, jak i zwykłych ludzi. A jednak jest gorzej. Dlaczego?

Nigdy przecież w historii sąsiedztwa polsko-ukraińskiego nie było tak klarownej sytuacji. Granica obu państw nie jest kwestionowana, my jesteśmy w Unii Europejskiej, do której chcą się dostać Ukraińcy. Polska ma silną gospodarkę, jest w NATO, a Ukraińcy walczą z państwem, którego Polska od stuleci obawiała się najbardziej.

Walczący z Rosją Ukraińcy oraz ci żyjący i pracujący w Polsce są żywym dowodem na to, że nasz, czyli europejski, model życia jest ich marzeniem. To ziszczenie się snów: Józefa Piłsudskiego, Jerzego Giedroycia, Włodzimierza Bączkowskiego, Jacka Kuronia i wielu innych żyjących Polaków, którzy chcą współpracy z Ukrainą nie tylko z powodu romantycznych sentymentów, ale też dlatego, że taki jest interes Polski.

Polacy okazali Ukraińcom w 2022 roku niebywałą solidarność. To się nie powinno zdarzyć w kraju tak wewnętrznie skłóconym, podzielonym, zwaśnionym – a jednak wyszło. Dziś sondaże pokazują spadek sympatii dla Ukraińców. Denerwują nas, bo się tu panoszą. Czy ktoś jednak policzył, ile Polska zarabia na byciu państwem przyfrontowym?

Bądźmy szczerzy albo cyniczni – ta wojna oznacza dla nas wiele korzyści, w tym gospodarczych i politycznych. Nasz eksport i nasze inwestycje w Ukrainie rosną. Obecnie wymiana handlowa między naszymi krajami jest trzykrotnie

korzystniejsza dla nas niż dla Ukrainy. Zarabiamy na tej wojnie, potrzebujemy też Ukraińców w Polsce – nie zabierają nam pracy, ale napędzają naszą gospodarkę.

A jednak ludzie o mentalności cinkciarzy zarówno w Kijowie, jak i w Warszawie psują stosunki polsko-ukraińskie. Trwa wojna, giną ludzie, ważą się losy kontynentu, a Polska i Ukraina kłócą się o sprawy sprzed 80 lat – o pomnik i ekshumację. Ważne, bolesne, ale przecież niedecydujące o naszej przyszłości. Prof. Grzegorz Motyka w jednej ze swych wypowiedzi na ten temat ubolewał, że obie strony, motywowane patriotycznym wzmożeniem, weszły w rosyjską prowokację jak w masło.

Józef Piłsudski, który zawarł z Ukraińcami Symona Petlury sojusz, ale wycofał się z niego po zawarciu pokoju z bolszewikami, powiedział ukraińskim żołnierzom, którzy zostali na lodzie: „Panowie, ja was bardzo przepraszam”. Dziś wszystkim tym, którzy po obu stronach granicy psują współpracę polsko-ukraińską, należałoby powiedzieć: „Panowie, my was bardzo pier...my”.

Dokładnie 20 lat temu w Ukrainie wybuchła pomarańczowa rewolucja. Różnie można oceniać jej bezpośrednie skutki. Rewolucja, jak to ma w zwyczaj, zjadła swoje dzieci. Jej liderzy się pokłócili, skompromitowali, do władzy doszedł Wiktor Janukowycz, czyli ten, przeciwko któremu Ukraińcy wyszli na Majdan. A jednak wtedy ukraińskie społeczeństwo dało jasny sygnał, że chce do Europy, uruchomione zostały procesy, które dały o sobie znać w latach 2013-2014, gdy Ukraińcy wzięli rozbrat z Rosją.

Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski w 2004 roku nie zadawał zbędnych pytań, ale wsiadł w samolot i poleciał do Kijowa, by pomóc Ukraińcom zawrzeć porozumienie i być może ustrzec się przed rozlewem krwi. Kwaśniewski – były polski komunista – pomógł Ukraińcom opowiedzieć się za demokracją. Polacy mogli być wtedy dumni z prezydenta i z siebie samych. To był jeden z jaśniejszych punktów naszej współczesnej historii. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta



Oficjalnie zaczęło się w 1949 roku, choć rzecz jasna freediving, czyli swobodne nurkowanie, na wstrzymanym oddechu, człowiek uprawiał od niepamiętnych czasów. Jak czytamy na stronie stowarzyszenia freediving.pl, najstarsza z pereł, odkryta na Półwyspie Arabskim, a świadcząca o podwodnych aktywnościach ludzi, datowana jest na około 5500 rok p.n.e.

Ale 75 lat temu, w pobliżu Capri Włoch Raimondo Bucher zszedł na głębokość 30 m, na wstrzymanym oddechu, ustanawiając pierwszy, oficjalny rekord świata. Który zresztą kilka lat później pobili. Wcześniej, w 1913 roku Grek Stotti Georghios zszedł na metrów 60, do wraku włoskiego okrętu, ale on używał do nurkowania balastu w postaci kamienia, przywiązanego do liny połączonej z lódką.

Ton podwodnemu wyścigowi nadawali głównie Włosi: Alberto Novelli, Ennio Falco czy wreszcie legendarny Enzo Maiorca, który, co ciekawe, jako dziecko bał się wody, choć pływać i nurkować zaczął w wieku czterech lat.

To Maiorca jako pierwszy zszedł na głębokość 45 m (1960), 50 m (1961) – co zdaniem lekarzy musiało skończyć się odną oplucnową i śmiercią nurka, wreszcie, na 59 m.

A potem na scenie pojawił się Francuz Jacques Mayol, człowiek-delfin. W 1966 roku zszedł na głębokość 60 metrów, w tym samym roku dołożył kolejne dwa metry.

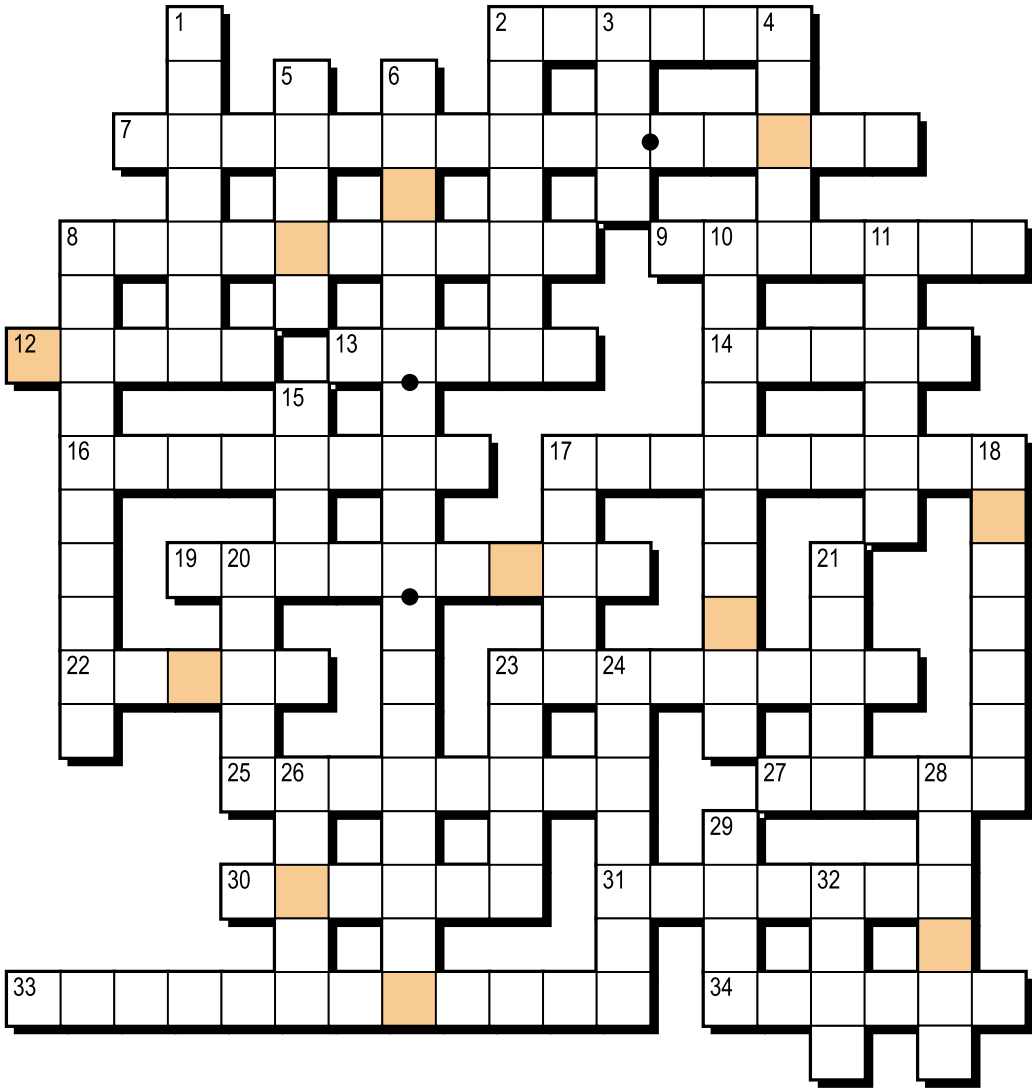
Rywalizacja tej dwójki, sportretowana przez Luca Bessona w kapitalnym „Wielkim błękitie” – choć Maiorca protestował, że postać wzorowana na nim, Enzo Molinari, pokazana została w sposób karykaturalny (grał go Jean Reno) i doprowadził do zakazu wyświetlania filmu we Włoszech – wyśrubowała rekord na poziomie ekstremalnym. Mayol pierwszy przebił granicę 70 metrów, Maiorca odpowiedział zejściem na głębokość 80 m. W 1975 roku Mayol zanurkował na głębokość 92 metrów. Było jasne, że bariera 100 m padnie prędzej czy później. Pytanie brzmiało, kto ją pobije.

23 listopada 1976 roku, w okolicach Elby, Mayol zszedł pod wodę i dotarł do mitycznej głębokości 100 m. Próba zajęła mu 3 minuty i 40 sekund, a wyczyn potwierdził Włoski Komitet Badań Podwodnych. Testy pokazały, że serce Francuza, podczas tej próby, zwolniło do tempa zaledwie 27 uderzeń na minutę.

Mayol zanurkował później jeszcze głębiej, na 105 m. Miał wtedy 56 lat. Do 70. nurkował regularnie. Maiorca też złamał granicę 100 metrów – w 1988 roku. Austriak Herbert Nietsch w 2007 roku, w pobliżu greckiej wysp Spetses, zszedł na głębokość 214 m, co dziś jest uznawane za oficjalny rekord świata we freedivingu.

Dzisiejszą „Weekendówkę”, w rocznicę tamtego niezwykłego wyczynu Jacquesa Mayola, poświęcamy więc nurkom i nurkowaniu. Zapraszamy, podobnie jak na kolejny seans „Wielkiego błękitu”.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 129 z 16.11:

Poziomo: 5) czytanie, 7) kroki, 9) śniadanie, 10) rzut oka, 12) lekarz, 14) wodór, 15) tło, 17) strzał, 18) rej, 20) ślub, 21) okręt, 22) prymus, 24) Korczak, 27) towary, 29) ogień, 30) załoga, 32) imię, 33) role, 34) Skaldowie, 36) naiwna, 37) dama, 38) Hłasko.

Pionowo: 1) Anna Jantar, 2) cesarz, Rzymu, 3) skrzypce, 4) kontakt, 5) ciekawość, 6) taniec, 8) siwy włos, 11) liderowanie, 13) prototyp, 16) runda, 18) rycerz, 19) jaskółka, 23) Brygada, 25) kobieta, 26) milion, 28) ochotnik, 31) świat, 35) liga.

HASŁO:
AWANGARDA

NURKOWANIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) wie, jak sprawić, by myśliwiec zanurkował
7) skojarz: Bizet, kompozycja, nurkowanie
8) najprostsza forma nurkowania, z twarzą zanurzoną tuż pod powierzchnią wody (z angielskiego)
9) film z Jamesem Bondem, który otwiera podwodna animacja
12) największy akwen
13) bąbelki powietrza
14) inna dla płetwonurka, inna dla Zorro
16) niejeden w warszawskim Muzeum Nurkowania
17) element balastu nurkowego; ciężarek

- 19) strój płetwonurka
22) „Wodny ...”, film z Kevinem Costnerem w roli mutantu ze skrzelami
23) entuzjasta, miłośnik oddający się ulubionemu hobby
25) aparat ze sprężonym powietrzem lub tlenem, umożliwiający oddychanie pod wodą
27) opustowe, prądowe, z hakiem – stosowane w nurkowaniu (jak hiperłącza w internecie)
30) ... przeciwpływowa, pozwala utrzymać automat nurkowy pierwszego stopnia w czystości
31) nakręcała poczynania bohaterów filmu Luca Bessona „Wielki błękit”
33) ... pływalności BCD (siły wyporu), stosowane w nurkowaniu
34) książeczka z określenia 29 pionowo

Pionowo:

- 1) ... dekompresyjna (DCS), może wystąpić, gdy nurek zbyt szybko wynurzy się na powierzchnię
2) potocznie o dowolnym przyrządzie pomiarowym
3) O jak oddychanie
4) szkolenia np. dla adeptów nurkowania
5) rurka umożliwiająca oddychanie przy pływaniu pod wodą
6) u północno-wschodnich wybrzeży Australii, z bajecznym podwodnym światem
8) hermetyczność sprzętu, odzieży do nurkowania
10) strój płetwonurka
11) tajniki wiedzy, np. o nurkowaniu
15) żywioł skłaniający do zanurzeń i wynurzeń
17) dzieło z określenia 7 poziomo
18) ... nurki, wodne chrząszcze

- 20) poziom uprawnień nurka zawodowego (I, II lub III)
21) zatopione okręty penetrowane przez miłośników podwodnych przygód
23) narządy oddechowe w klatce piersiowej
24) znaki, którymi nurkowie komunikują się pod wodą
26) skrzynia umożliwiająca prowadzenie prac na dnie zbiornika wodnego
28) chroni śmiałką, który postanowił skorzystać z atrakcji „nurkowanie z rekinami”
29) kapitan MO z dawnych książeczek; tytuł jednej z jego przygód to „Tajemniczy nurek”
32) lina służąca do mocowania łodzi do nabrzeża

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976



Jak naprawdę wygląda wielka amerykańska kariera – opowiada Michael Cunningham



Dlaczego Hłascie nie udało się w Ameryce?

W sprzedaży



Zamów magazyn z darmową dostawą na: Prenumerata24.pl

Więcej na: Wyborcza.pl/ksiazki